PRZEGLĄD KLASYCZNY

1939 V 1-2



NAKŁADEM FILOMATY, LWÓW, UNIWERSYTET

SPIS RZECZY:

NA OKŁADCE: OFIARA PARTHYJSKA.

Znane od 1922 r. malowidło ścienne w Galihiye obok Dura Europos należy do szeregu dużych, epokowych fryzów dekoracyjnych. Lewa, główna część tego wieloosobowego fryzu przedstawia na różowym tle budowli Syryjczyka Konona wraz z dwoma kapłanami. Mają oni na sobie długie, białe tuniki z rękawami, a Konon ubrany jest ponadto w płaszcz, którego koniec na sposób grecki przerzucony jest przez lewe ramię. Poza tym na ubraniu Konona widoczne są ozdoby koloru różowego. Szaty ożywione są równoległymi, lekko zacieniowanymi fałdami. Konon wyróżnia się ponadto okrągłą, czerwoną czapką i obuwiem. Białe, stożkowate czapki wschodnie wydłużają i tak wysokie postacie kapłanów, którzy zgodnie z rytuałem wschodnim występują boso. Wszyscy trzej są przedstawieni frontalnie. Konon trzyma podłużny diadem i jakiś przedmiot o dwu kulach. Środkowa postać zanurza gałąź w wysokie, ozdobne naczynie, napełnione wodą i trzyma dzban oraz czarę z dwoma nożami w lewej ręce. Podobnie trzyma dwa noże i naczynie trzecia postać i skierowuje prawą rękę ku wysokiej dymiącej się kadzielnicy ofiarnej. Brunatne, słabo zarośnięte, asketyczne twarze skierowane są w dal. W nich nie widać żadnego zainteresowania się czynnością rąk. Stopy przedstawione są jak gdyby u postaci unoszących się w powietrzu, co przypomina podobny fryz mozaikowy z Iustinianem i Theodorą w St. Vitale w Ravennie. Wspólne obu fryzom byłyby też bogate odcienie kolorów, wydłużone postacie, skąpe operowanie światłocieniem, a wreszcie sama treść: gloryfikowanie ofiarnej, pobożnej rodziny (zob. Przegl. Klas. 1937, nr. 1—4). Fryz z rodziną Konona pochodzi z drugiej połowy I w. po Chr. Malowidło jest naszym najlepszym przykładem ówczesnego malarstwa grecko-syryjskiego i wschodniego malarstwa przedbyzantyńskiego. J. ST.

DYDAKTYKA

REGINA SCHÄCHTERÓWNA

NA MARGINESIE ŁACIŃSKIEGO TEKSTU

(Część I. Realizacja programu w klasie I gimn.)

W artykule tym podejmę próbę ugrupowania wszystkich zagadnień łączących się z nauką języka łacińskiego około jednej wytycznej, która jest źródłem i celem tej nauki — około łacińskiego tekstu. Wychodząc z założenia, że podstawą poznawania języka łacińskiego jest tekst, a wynikiem tego poznawania rozumienie tekstu, nie będziemy dalecy od twierdzenia, że na marginesie łacińskiego tekstu leżą wszystkie drogi, prowadzące do osiągnięcia wymaganych przez program wyników nauczania łaciny w gimnazjum. Nauka języka łacińskiego osiągnie swój cel wtedy, kiedy będzie konsekwentnie traktowana jako egzegeza tekstu, ale egzegeza taka, która objaśniając rzecz bieżącą przygotowuje grunt pod pracę przyszłą.

Jeśli już od początków nauki w klasie I żądamy, by za punkt wyjścia obierać tekst i na podstawie tekstu poznawać znaczenie wyrazów oraz funkcje form gramatycznych, to z pewnością nie czynimy tego po to, by przedłużyć na przykład ułożenie paradygmatu. Każdy z nas wie dobrze, że napisanie paradygmatu na tablicy jest dla nauczyciela wygodniejsze niż wydobywanie form z analizy tekstu a dla młodego ucznia jest mechaniczne nauczenie się odmiany bez porównania łatwiejsze niż mozolne nieraz dociekanie do znaczenia danej formy na podstawie tekstu. Łatwiejsze — ale czy korzystniejsze? Czy w ogóle korzystne? Czy opanowanie odmiany jakiejś daje uczniowi cośkolwiek, jeśli nie jest ona związana z żywym zdaniem łacińskim, z którego czerpie dla siebie soki żywotne? Doświadczenie nauczyło nas, że nawet najsprawniejsze opanowanie paradygmatu i znajomość dłu-

gich kolumn słówkowych, ba nawet teoretyczne wiadomości ze składni języka łacińskiego w sumie nie dadzą tego, czego musimy wymagać od ucznia — nie doprowadzą do zrozumienia tekstu, nie stworzą pojęcia o właściwościach języka łacińskiego, nie rzucą światła na punkty styczne między językiem łacińskim a polskim, nie będą kształciły świadomości językowej ani nie ułatwią zrozumienia kultury rzymskiej i jej związku z kulturą polską. Tym mniej doprowadzą do tych wyników odrębne lekcje tak zwanej kultury, jeśli będą oderwane od nauki języka, a tym samym nie wyjdą poza granice nauki w szkołach bez łaciny.

Jeżeli program wymienia poszczególne strony — że nie powiem działy — nauki jak lektura, gramatyka, słówka, ćwiczenia językowe, wiadomości z życia Rzymian to nie dlatego, by chciał między nimi przeprowadzić linie graniczne, tylko w tym celu, by zwrócić uwagę na konieczność ich uwzględnienia w nauce i nie dopuścić do przypuszczenia, jakoby systematyczna nauka łaciny mogła się bez nich obejść. W rzeczywistości bowiem cały program opiera się na stwierdzeniu zasady, że podstawą nauki jest łaciński tekst. Znajomość gramatyki i zasób leksykalny są środkiem do rozumienia tekstu, wiadomości tyczące się kultury klasycznej są odpowiednią formą interpretacji tekstu. Nauka gimnazjalna nie obejmuje bowiem systematycznej nauki historii kultury starożytnej, lecz opiera się na wybranych zagadnieniach, które we właściwy sposób oświetla podręcznik danej klasy. Wchodzi tu więc w grę tekst łaciński i ustępy czytanki polskiej, pogłębiające i rozszerzające zagadnienia poruszone w tekście. Te ustępy polskie są więc pewną formą interpretacji tekstu.

Jak zatem wygląda realizacja programu w klasie I, pojęta jako egzegeza tekstu?

Uwagi programu tyczące się nauki w klasie I podkreślają przede wszystkim konieczność gruntownego przyswojenia materiału leksykalnego i opanowanie wiadomości z gramatyki, zwłaszcza z morfologii. W wynikach nauczania wymagana jest prócz tego biegłość w tłumaczeniu przerobionych ustępów łacińskich i przyswojenie sobie wiadomości z życia Rzymian w ramach przerobionego materiału. Uważam, że wszystkie te wymagania mieszczą się w granicach właściwego traktowania tekstu łacińskiego.

Przystępując zatem do lektury danego ustępu łacińskiego w kl. I winniśmy pamiętać, co on ma dać uczniowi według wymaganych wyników nauczania: 1. ma dostarczyć pewnych wiadomości o życiu Rzymian względnie Greków, 2. ma dać substrat do rozszerzenia zapasu słówek, 3. prowadzić do umiejętności rozróżniania, a częściowo i tworzenia, form odmiennych części mowy, 4. rozwijać zdolność przeprowadzenia analizy zdania, 5. być ćwiczeniem sprawnego przekładania zdań łacińskich na język polski.

Co do punktu pierwszego zwraca wprawdzie program uwagę, że wiadomości z życia Rzymian uczeń przyswoi sobie przygodnie, prawie mimochodem, wskazane jest jednak byśmy zdali sobie dokładnie sprawę z zakresu możliwości wchodzących tu w grę oraz przyjęli jakieś wytyczne w tej sprawie. Jeżeli skonstatujemy, że omówienie treści danego ustępu łacińskiego ma być podłożem realizowania tego punktu programu, zapewne nie odbiegniemy od intencji programu. Na pierwszy rzut oka wyda się ta rzecz zupełnie prostą. Jak to? Omówienie treści ustępu? To przecie rzecz naturalna! Po co na to uwagę zwracać? O tym i tak każdy wie! — Zapewne. Nie przeczę, że to rzecz zupełnie naturalna. Ale dlatego, że naturalna, często pomijana i lekceważona, A tymczasem omówienie treści poprowadzone w odpowiedniej formie uczy bardzo wiele: a) daje wiadomości o życiu Rzymian, b) rozszerza i pogłębia wiadomości językowe łacińskie (zarówno z zakresu słownictwa jak i fleksji, syntaksy, nawet stylu), c) uczy właściwego stylu polskiego.

Z góry zaznaczam, że to omówienie treści odbywa się w języku ojczystym. Omawianie treści w języku łacińskim jest dla ucznia ze względu na szczupły zasób jego słownictwa i jeszcze szczuplejszą znajomość składni koszlawym łamaniem form językowych, przy którym wszelka myśl jest spętana i nie dochodzi nawet w przybliżeniu do właściwego wyrazu. Treść zaczyna się w takim wypadku wikłać, zamiast niej zjawiają się licho powiązane wyrazy podane prawie zawsze w formie błędnej; uczeń posiada bowiem zbyt mało wiadomości językowych, aby mógł równocześnie skupić uwagę na treści i na formalnej stronie języka. Podanie treści w języku ojczystym pozwala na podkreślenie odpowiednich momentów z życia Rzymian, na właściwe uwypuklenie ich, ewentualnie

rozszerzenie i zestawienie z kulturą polską; wydobywanie treści z ustępu łacińskiego zmusza ucznia do dokładnego zrozumienia tego ustępu, co więcej często dopiero przy zdawaniu sprawy z treści uczeń poznaje i wykazuje, że nie zrozumiał w wystarczającej mierze tekstu, choć go przetłumaczył, a nawet i gramatycznie zanalizował. Funkcje przypadków, znaczenie czasów, ba nawet często i stosunek wzajemny wyrazów dochodzi do świadomości ucznia w całej pełni, gdy zaczyna on zastanawiać się nad treścią tego, co przeczytał. Konieczność oddania myśli przeczytanego ustępu w języku polskim i to we właściwej formie, podkreślającej istotną treść tekstu, ale wolnej od jego struktury, jest dla ucznia także ćwiczeniem stylistycznym języka ojczystego.

Rzecz naturalna, że przy omawianiu treści ustępu padną też uwagi wychodzące poza ramy zdań jego, a oświetlające jaśniej lub rozwijające szerzej zawarte w nim zagadnienie związane z życiem Rzymian lub Greków. Uprzednie przeczytanie (w domu) odnośnej czytanki polskiej zainteresuje ucznia danym zagadnieniem, a w związku z tekstem łacińskim ugruntuje do pewnego stopnia jego wiadomości. O ile uczeń nauczy się jeszcze charakterystycznych tu zdań łacińskich na pamięć (jak np. Sinko, *Disce puer Latine* ust. 74: *Iuppiter deorum pater et hominum rex erat* itd. Kowalski-Golias, *Puer Romanus,* ust. XIII *Saturnalia,* Auerbach-Dąbrowski, *Disce Latine,* ust. XXV: *Discite, pueri, leges XII tabularum* itd., Skimina, *Elementa Latina,* ust. XXI: *Familia Romana non solum ex viro et femina, ex pueris et puellis, sed etiam ex servis constabat* itd.) — można będzie liczyć na to, że uczeń zbliży się do poznania życia rzymskiego i przyswoi sobie pewien zasób odnośnych wiadomości bez większego natężenia i bez zbytniego zajmowania się danym zagadnieniem poza ramami swego podręcznika łacińskiego.

Drugi punkt objęty wymogami programu to rozszerzenie zapasu słówek (do 300 wyrazów). Wychodzimy znów z założenia, że podstawą i ośrodkiem nauczania jest tekst łaciński. Poznanie wyrazu nowego jest wynikiem zastanowienia się nad znaczeniem zdania podanego w kontekście. Uczeń poznaje więc wyraz w zdaniu. Czy to poznanie jest wystarczające do opanowania wyrazu i wchłonięcia go w zapas słówek ucznia? Stanowczo — nie! Ono jest tylko pierwszym

krokiem na tej drodze. W kontekście uczeń chwyta wyraz drogą intuicji w sposób nieraz błyskawicznie szybki, nie wolno nam jednak zapominać, że z równą błyskawicznością wyraz taki ulatuje z pamięci, gdy te podpory psychiczne, które służyły jego zrozumieniu, znikają. Zanotowanie wyrazu w preparacji z podaniem znaczenia polskiego jest bez wątpienia jednym z środków utrwalenia go w pamięci. Ale stanowczo nie jest środkiem wystarczającym choćby dlatego, że odbywa się bez wysiłku myślowego, a zatem i bez skupienia większej uwagi na sobie. Czy uczenie się go na pamięć w formie znanego kucia słówek ze strony prawej w lewą i z lewej w prawą będzie właściwym sposobem przyswojenia go sobie? Jeśli ono się odbywa głośno, uczeń odniesie tę korzyść, że wyraz we właściwym brzmieniu utrwali się w jego pamięci słuchowej i mięśniowej, gdy jednak idzie o zapamiętanie znaczenia wyrazu, wynik jest bardzo wątpliwy. Samo dźwiękowe kojarzenie wyrazu łacińskiego i polskiego nie może być wystarczające do wytworzenia kojarzenia wtórnego przy zetknięciu się z danym wyrazem w tekście, zwłaszcza że tego rodzaju uczenie się słówek polega na wbijaniu w pamięć tylko podstawowej formy wyrazu (a więc nominativu choćby i z genetivem, pierwszej osoby itd.). Każdy z nas widział zapewne tak przygotowanych (nieraz i przez długie lata) uczniów, którzy chcąc poznać wyraz w tekście, muszą sobie półszeptem wszystkie jego formy przypomnieć, by wreszcie nawet nie znaleźć tego, czego szukali. Jeśli sądzimy, że myśmy się tak słówek uczyli i znaliśmy je oraz pamiętali, mylimy się częściowo; pamiętaliśmy je nie dlatego, że w ten sposób wbijaliśmy je w pamięć, ale przede wszystkim dlatego, że temu mechanicznemu opanowaniu wyrazów od strony dźwiękowej towarzyszyło częste rozpoznawanie ich w zdaniu dzięki obfitej lekturze, która dawała obszerne pole do powtarzania, a więc i do coraz gruntowniejszego opanowania wyrazu od strony znaczeniowej. Dziś zakres lektury jest znikomo mały, stąd i znajomość wyrazów nie opiera się na dosyć szerokiej podstawie i musi znaleźć jakieś środki, które przy małej bazie operacyjnej częściowo choćby uzupełnią wynikłe na jej tle niedomagania. Jeśli zdajemy sobie sprawę z tego, że znajomość wyrazu znajdowała ugruntowanie w częstym stykaniu się z nim na terenie tekstu, wypada nam albo rozszerzyć

teksty naszych podręczników przez dodanie ustępów nie wprowadzających nowego materiału gramatycznego i operujących prawie tylko znanymi wyrazami albo prowadzić odpowiednie ćwiczenia zdaniowe na marginesie niejako tekstu. Forma pierwsza — rozszerzenie tekstów podręczników szkolnych — pociąga za sobą przede wszystkim podwyższenie ceny podręczników; już z tego względu napotykałaby na trudności (W pewnej mierze wprowadzają takie teksty nasze podręczniki szkolne, ale w liczbie małej, choć niestety przyznać musimy, że istnieją zespoły klasowe, w których się takie ustępy opuszcza jako rzekomo niekonieczne!). Rozszerzenie tekstu drogą ćwiczeń językowych polegających na metafrazie zdań zawartych w podręczniku, ma tę dogodną stronę, że stosować je można w miarę potrzeby w mniejszym lub większym zakresie zależnie od stanu wiadomości danej klasy. Pewne, początkowo niezbyt daleko idące przesunięcia w zdaniach ukazują poznany wyraz w innym złożeniu, oświetlają go nieraz z innej strony, prowadzą do lepszego zrozumienia, a przede wszystkim do oswojenia się z nim. Rzecz naturalna, że na tle nauki w klasie I nie można jeszcze mówić o stosowaniu wyrażenia w rozmaitych zwrotach, lub o daleko sięgającym uwzględnieniu różnic między realnym a przenośnym znaczeniem wyrazu, bo tak pojęte ćwiczenia wykraczałyby poza zakres nauki w tej klasie i wprowadziłyby dla uczniów szereg nowych trudności. Idzie tu natomiast o przesunięcia, które podają wyraz w innym przypadku, liczbie albo połączeniu (Np. *Puer Romanus*, ust. II: *Marcus amicis equos monstrat — amici Marco equum monstrant;* ust. XI: *Ego et Porcius, amicus meus, in Campaniam properabimus — ego cum Porcio, amico meo, in Campaniam properabo; Disce puer Latine,* ust. XXII: *Publius parvam sororem Gaiam habet — Publio parva soror Gaia est — in tabula Gaiam parvam sororem Publii spectamus — Publio et et Gaiae pulchri libri placent — Publius cum Gaia in hortum properat; Disce Latine,* ust. IX: *Multa viro pecunia est, magni sunt agri — opulenti viri magnos agros habent — agri opulentorum virorum magni sunt; Calpurnius Marci pueri curam Eutycho servo mandat — Eutychus servus curam Marci habet — Eutychus Marcum curat; Elementa Latina,* ust. XIII: *Templum magnam portam habet — in templo magna porta est — magnam templi portam spectamus* itd.). Takie przesunięcia

stosowane są zapewne w każdej klasie, idzie jednak o to, by odbywały się one planowo, to znaczy, by nauczyciel zdawał sobie sprawę z tego, co należy przećwiczyć i to nie tylko ze względu na nową lekcję, ale i przede wszystkim na lekcje stare, by wplatał w tok nowej lekcji wyrażenia, które wymagają szczególnego utrwalenia, a stosował je rzadziej tam, gdzie już zostały zupełnie dobrze przyswojone; tak na przykład będzie nauczyciel w kl. I przez szereg lekcji ćwiczył *dativus possessoris* oczywiście na coraz nowych wyrazach. W dalszym ciągu jest rzeczą wskazaną, by uczeń sam umiał dokonać małych przesunięć na tle tekstu swojej czytanki; ale tu chodziłoby nie tylko o to (co zresztą jest powszechnie stosowane i to także przy nauce języków nowożytnych), by zamienił liczbę pojedynczą na mnogą, czas teraźniejszy na przeszły itp., ale by umiał przeprowadzić małą choćby przebudowę zdania albo zastosować nawet inne podobne znaczeniem wyrażenie (jak np. *palla mihi placet* — *palla mihi grata est, libenter ludimus* — *libenter ludum agimus).* Wreszcie należy uwagę zwrócić na należyte wpisywanie tzw. słówek do zeszytu. Ile razy spotykamy się z tym, że uczniowie odpisują ‘słówka’ z preparacji swego podręcznika albo i wprost pytają: po co pisać słówka, są przecie wszystkie w preparacji drukowanej. Otóż co do tego słowa ‘wszystkie’ musimy mieć poważne zastrzeżenia. Gdyby tak było, moglibyśmy zrezygnować z pisania słówek. Bo chyba nikt z nas nie sądzi, że piszemy je tylko po to, by uczeń, przepisując wyraz, łatwiej go sobie zapamiętał! Bo w takim wypadku pięciokrotne na przykład przepisanie byłoby zapewne świetną formą uczenia się słówek. I oto mielibyśmy doskonałą receptę: „niech uczeń przepisuje każde słowo kilka razy, a będzie słówka umiał“. Ale widzimy chyba sami, że to absurd. Bo czy uczeń będzie ‘umiał’ ustęp polski, jeśli go przepisze, choćby i kilka razy? Nie! Nie będzie zaś umiał dlatego, że dokonał tego przepisywania mechanicznie albo i — powiedzmy wprost — bezmyślnie. I to samo dzieje się z przepisywaniem słówek. Choćby i uczeń chciał inaczej, będzie w większej choćby części przepisywał bezmyślnie. Na tyle czynnej uwagi trudno się zdobyć nawet dorosłemu człowiekowi, by skupiał uwagę na pracy, która może być wykonana mechanicznie. Wynika więc z tego, że przepisywanie

słówek z preparacji nie ma najmniejszego znaczenia. Do czegóż więc służy ta preparacja drukowana? Do tego właśnie, by ułatwić uczniowi pierwszą orientację w tekście, by ucznia niezorientowanego w formach gramatycznych i w strukturze zdania nie wprowadzać jeszcze przez użycie nieznanych wyrazów w gąszcze, w którym żadnej ścieżki nie odnajdzie. Dlatego też usuwamy drukowaną preparację tam, gdzie formy gramatyczne należy już uważać za opanowane, a więc z chwilą wprowadzenia tekstów oryginalnych (Tak bodaj jest w naszych podręcznikach, bo ostatecznie możnaby uczyć gramatyki elementarnej także na tekstach oryginalnych i próby tego rodzaju zostały już nie bez korzyści podjęte, choćby i u nas w podręczniku Auerbacha-Dąbrowskiego — materiał przeznaczony na I półrocze klasy trzeciej).

Jak więc przedstawia się sprawa z pisaniem słówek? Weźmy dla przykładu ust. XLVII książki Auerbacha-Dąbrowskiego dla kl. I. W drukowanej preparacji uczeń znajdzie: *educatio antiqua, educationis antiquae* (por. *educo, -as), — filia: -ae* (por. *filius*, fr. *la fille), — ipse, ipsa, ipsum* — *scriptus, -a, -um* (por. *scribo, -is, -ere* 'skrypt') — Cato Censorius. Pisząc swoją własną preparację, która właściwie odbywa się *post lectionem* a nie *prae lectione* uczeń zaznaczy: *Augusti temporibus, — tempus, temporis* l. mn. *tempora, — liberi, liberorum, — cura liberorum, — mando curam, antiquus, antiqua, antiquum — antiquior, antiquius — Romani ipsi educabant, — doceo, docere, — domi, — curam habeo — eius curam habeo, — mater, matris, — litterae, litterarum, — litteras monstro, — magnis litteris scribo, — litteras disco (discipulus) — manus, manus — manu patris scriptus* (manuskrypt). Ktoś tu może zarzuci, że to strata czasu, gdyż słówka te 'już były'. Zapewne że były, ale szczęśliwe dziecko, które je pamięta dokładnie i we właściwym brzmieniu tylko dlatego, że były. Powiem więc wprost: cały ten proces pisania słówek, tak jak widzieliśmy powyżej, ma na celu powtórzenie materiału dawnego — na tle nowego i w zastosowaniu do niego. Niektóre wyrazy wystąpiły w połączeniach z jednej strony dlatego, że chodziło o zwroty jak *Augusti temporibus, cura liberorum,* z drugiej dlatego, żeśmy na oku mieli ścisłe sprecyzowanie wyrazu takiego jak *ipse,* który bez oprawy nie występuje dosyć jasno, wreszcie chodziło przy takim

zestawieniu jak *litteras monstro* i *litteras disco* (można by i dodać *litteras doceo)* o zwrócenie uwagi na jednolitość dopełnienia przy czasownikach wymagających w języku polskim składni rozmaitej. Należałoby jeszcze wytłumaczyć, czemu formy pisane są w brzmieniu pełnym, a nie ma skrótów ograniczających się do podania charakterystycznej końcówki. Skróty dobre są w książce ze względu na ekonomię miejsca, a także ze względu na samodzielność ucznia, który na podstawie tej wskazówki utworzy sobie pełną formę. Ale uczeń, zwłaszcza na poziomie najniższym, wykaże swoje zrozumienie słowa, jeśli poda brzmienie pełne, nieraz będzie musiał się potrudzić, by dojść do tego brzmienia pełnego, nieraz napisze je źle, ale właśnie przez to przekona się przy omówieniu lekcji starej, gdzie i jak zbłądził, i błąd swój naprawi. Pisanie skrótów w zeszycie jest jeszcze jednym dowodem mechanicznego przepisywania z książki, pisanie pełnych form natomiast dowodem rozumowego zastosowania tego, co się w książce znalazło.

Do tych słówek uczeń dopisze — rzecz naturalna — znane mu wyrazy pokrewne (choć ich w klasie I jeszcze niewiele) oraz wyrazy polskie pochodzenia łacińskiego, które częściowo chociażby sam może znaleźć, bez pomocy nauczyciela. Że to pisanie nie jest dla opanowania odpowiedniego zasobu wyrazów wystarczające i musi być uzupełnione głośnym nieraz kilkakrotnym odczytywaniem nie tylko wypisanych słów, ale i całego ustępu, rozumie się samo przez się. Od rodzaju pamięci ucznia zależy nasilenie tej pracy, że tak powiem, ustnej; ale to należy do pracy domowej, w szkole uwidocznią się jej wyniki, gdy uczeń objawi swoją biegłość w rozróżnianiu i rozpoznawaniu wyrazów łacińskich przy ćwiczeniach wychodzących poza obręb tekstu łacińskiego.

Ćwiczenia tego rodzaju służą też wymogom programu, które ujęliśmy w punkcie 3. — mianowicie rozszerzeniu umiejętności rozróżniania, a częściowo i tworzenia form. Wiemy dobrze, że samo nauczenie się paradygmatu nie rozwija umiejętności rozróżniania form. I w tym wypadku odstraszającym dla nas przykładem będzie uczeń, który cichym szeptem warg jedzie po całym paradygmacie, by znaleźć formę odnośną, — a często nawet po to, by jej nie znaleźć. Uczniowi

potrzebne są ćwiczenia, w których funkcje przypadków występują wyraziście; możliwe to jest oczywiście tylko wtedy, kiedy odnośna forma gramatyczna nie wisi w powietrzu jako coś samodzielnego lecz w związku z innymi wyrazami, bo ten związek dopiero uwydatnia daną formę. Przyznać musimy, że z form imion tylko przypadki niezależne żyją pełnym życiem, przypadki zależne natomiast same przez się nic nie oznaczają. Jeśli zapytam ucznia, co znaczy wyraz *homines* wprawię go w kłopot, bo czy ma on odpowiedzieć ‘ludzie’ czy też ‘ludzi’, żeby mnie zadowolić. A jeśli naodwrót zapytam, co znaczy ‘ludzi’, wprawię go w równy kłopot, czy ma podać formę *hominum* czy też *homines*. Spotykamy jeszcze tu i ówdzie taki sposób odpytywania, pisania i uczenia się: *bonus homo* — dobry człowiek, *boni hominis* — dobrego człowieka, *bono homini* — dobremu człowiekowi itd., cały paradygmat po łacinie i po polsku. I tak doprowadza się do sztucznego, mechanicznego kojarzenia znaczeń wyrazów obu języków, mimo że te znaczenia w rzeczywistości nie zawsze sobie odpowiadają; bo funkcje przypadków łacińskich nie pokrywają się z funkcjami przypadków języka polskiego. Więc do czegóż ta rzecz zmierza? Chyba tylko do tego, żeby wywołać kojarzenia, od których potem trzeba będzie siłą myśl ucznia odciągać. Był czas, kiedyśmy uczyli się lub drugich uczyli długich i bardzo nieprzyjemnych dla ucznia uwag: „Odmiennie od języka polskiego kładzie się w języku łacińskim accusativus po...“. I z całą pewnością nie byłyby te uwagi zostały w pamięci uczniów, gdyby nie były znalazły praktycznego zastosowania w całym szeregu ćwiczeń polsko-łacińskich, gdzie uczeń tak długo stosował swoje *administro rem publicam*, aż wyraz *administro* bez biernika znikł prawie zupełnie z jego świadomości i na każde zawołanie zjawiał się z właściwym połączeniem, choćby nawet dany uczeń nie umiał wyrecytować z pamięci, po których słowach kładzie się odmiennie od języka polskiego accusativus. Była to droga dosyć długa, na nasz dzisiejszy wymiar godzin łaciny wprost bezgranicznie długa. Bo gdybyśmy dziś mieli tak uczyć, skończylibyśmy może w drugiej klasie liceum materiał dawnej klasy trzeciej, a już co najwyżej i w najlepszych warunkach — klasy czwartej. Ale czy to rzecz konieczna? Czy zrozumienie względnie rozumienie funkcji przypadków uwarunkowane jest teore-

tycznym zestawieniem ‘odmienności’ składni łacińskiej i polskiej? Jeżeli nasz uczeń uzupełni preparację danego ustępu w sposób, jaki wyżej był przytoczony, i sam z ustępu swego wyłowi takie wyrażenia, jak *sedeo ante vias, ignoro labores, pareo tibi, fugio pravitatem (Puer Romanus,* ust. XXIX—XXX), zrobi pierwszy krok na drodze rozumienia tych wyrażeń. Idzie tylko o to, czy uczeń potrafi ten krok zrobić samodzielnie. Zależy to zapewne od stopnia orientacji ucznia, od jego bystrości, spostrzegawczości, nawet od pilności. W szkole musimy się jednak liczyć przede wszystkim z uczniem przeciętnym. Dlatego korzystnie będzie zapoczątkować tę pracę w szkole z tym, że inicjatywę pozostawia się uczniom zdolnym, oni będą formułowali dane wyrażenia po łacinie i po polsku, po pewnym jednak czasie inicjatywa zacznie przechodzić i do rąk przeciętnego, a nawet słabszego ucznia. Bo rzeczą naszą pamiętać o tym, że nie idzie nam o pole popisu dla ucznia zdolnego, ale o pole ćwiczenia i rozwijania umysłu k a ż d e g o ucznia w klasie. Mówiliśmy jednak, że to pierwszy krok do zrozumienia danych połączeń wyrazowych, uwydatniających funkcje przypadków i znaczenie form słowa. Drugim krokiem będą ćwiczenia przeprowadzone na zdaniach, zawierających te połączenia wyrazowe. Będą to więc ćwiczenia na marginesie tekstu, operujące znanymi wyrażeniami i stosujące rozmaite ich formy. Rzecz naturalna, że nauczyciel wyzyskuje tu sposobność wprowadzenia także wyrazów poznanych dawniej, a więc przypomnienia ich, oraz zestawienia form podobnych, które w zdaniu uwydatniają swe znaczenie (a więc dla przykładu: *curas* — forma rzeczownika i czasownika, *iacio* — *iaceo; properamus in circum* — *currimus tamquam circum Troiam* itd.). Uczeń otrzymuje zdania, w których musi rozróżniać znaczenie i formę wyrazu łacińskiego, wobec czego zmuszony jest do ciągłej uwagi, nawet do pewnego wysiłku myślowego, który staje się dla niego zarówno ćwiczeniem form gramatycznych, jak i kształceniem sprawności umysłowej.

Ważną rolę w ćwiczeniu form gramatycznych odgrywa jeszcze odmiana rzeczownika, względnie innych imion — w zdaniach. Jest to próba układania zdań, w których by dane imię występowało kolejno we wszystkich przypadkach. Jeśli uczniowie zastosowują tu zdania napotykane w książce,

— to tego rodzaju odmiana jest dobrym ich powtórzeniem a zarazem dowodem, że rozumieją należycie funkcje przypadków w tym zdaniu; uczniowie częściej jednak próbują układać inne zdania, zwłaszcza gdy się tego żąda od nich, a tu mamy już do czynienia z samodzielnym tworzeniem form, z właściwym rozumieniem funkcji przypadków oraz konstrukcji zdania.

Tego rodzaju ćwiczenia prowadzone przede wszystkim w klasie, a potem dopiero zadane ewentualnie do wypracowania domowego, są korzystne jako powtórzenie i ugruntowanie materiału poznanego w ustępach łacińskich, jako środek usprawnienia poznanych form fleksyjnych (zarówno co do rozróżniania jak i tworzenia tych form), jako droga wiodąca do rozumienia budowy zdania. Ćwiczenia te nie wykluczają — rzecz naturalna — formalnej nauki fleksji, są raczej jej uzupełnieniem, pogłębieniem i podłożem do praktycznego jej stosowania; podkreślić też należy jeszcze raz ich znaczenie jako pomostu prowadzącego od fleksji do składni.

Punkt czwarty naszych rozważań miał się zająć wymogami programu, według którego nauka w kl. I ma rozwijać zdolność przeprowadzenia analizy zdania. Zastanówmy się więc nad tym, jakie zdanie ma uczeń analizować, znane czy nieznane; — czy analiza ma polegać na obserwacji szczegółów po ujęciu całości zdania, czy też ma być drogą do ujęcia tej całości?

Dla porządku zaznaczmy, co to jest właściwie analiza zdania. Odpowiedź dana została w poprzednim zdaniu: jest to obserwacja i rozpoznanie szczegółów po ujęciu ogólnym całości. Jak nie analizujemy utworu, w języku ojczystym podanego, przed przeczytaniem tego utworu, tak nie możemy analizować ustępu czy zdania łacińskiego przed czytaniem go. Ale to czytanie nie będzie polegało na głośnym wypowiedzeniu tego, czego się zgoła nie rozumie, tylko na zaznajomieniu się z tekstem, które doprowadza bodaj znaczną część jego w ogólnych zarysach do świadomości. Analiza zdania ma więc pogłębić jego zrozumienie, ma zwrócić uwagę na szczegóły, których uczeń sobie nie uświadomił od razu, ma dzięki poznaniu tych szczegółów nadać zdaniu właściwe oświetlenie. Zdaje się, że tu z góry dana już jest odpowiedź na pytanie,

kiedy uczeń klasy I może przeprowadzić analizę zdania. Bo z uczniem zaawansowanym sprawa nieco inna. Ale w klasie I analiza zdania nie może być formą podejścia do niego, tylko ćwiczeniem rozumienia jego budowy — po zaznajomieniu się z nim. Natomiast formą podejścia do tekstu w klasie I będzie częściowo przekład syntetyczny w zdaniach o budowie zupełnie prostej, częściowo zaś konstruowanie. Przekład syntetyczny, polegający na tłumaczeniu wyrazu po wyrazie, nadaje się przede wszystkim do zdań tego rodzaju[1]: *Ludi Romanorum in circo sunt. Liberi domi manent et patris reditum exspectant. Magistra cum puellis in silvam properat. Cornelia et Iulia cum puellis non sunt, nam silvam non amant. Quintus Iunius cum exercitibus in Hispania bellum gerit.* Ale w zdaniu: *Forum Romanum clarorum aedificiorum plenum est* uczeń będzie konstruował: *Forum Romanum plenum est*, a więc będzie wprost łączył przedmiot z orzeniem, a następnie szukał bliższych określeń — jak się tu okaże — określenia orzeczenia. Tak samo postąpi ze zdaniem: *Septimus agricolae miseri filius est*, albo *Chiron Achillis discentis animum gravibus sententiis excolebat.* Dla lepszego zrozumienia tych zdań uczeń z wielką dla siebie korzyścią zaznaczy w swoim zeszycie: *filius miseri agricolae, animus Achillis discentis, gravibus sententiis excolo.* Tym samym przeprowadza już analizę.

Weźmy pod uwagę zdanie złożone: *Nunc, Marce, in Campum Martium, qui non semper saluber est, non properabimus.* Uczeń przetłumaczy to zdanie zupełnie łatwo metodą syntetyczną — słowo po słowie. Konstruowanie jest tu zupełnie zbędne, wyglądałoby nawet dziwacznie. Zdanie jest łatwe, treść jego przejrzysta. Ale zdanie to nadaje się szczególnie dobrze do przeprowadzenia analizy. Będzie ona polegała na wysunięciu zdania głównego, którego tok przerwany został zdaniem względnym, na podkreśleniu zdania względnego, na uwydatnieniu wyrazu, który został zdaniem względnym określony, na zrozumieniu znaczenia zdania względnego w tym miejscu, określającego formalnie wyraz *Campus Martius*, a logicznie podającego przyczynę czynności zdania głównego. Odpowiednie przesunięcie w budowie tego zdania, zaznaczone w zeszycie — w rodzaju *in Campum Mar-*

[1]) Zdania zaczerpnięte z podkręczników dla klasy I.

tium non semper salubrem non properabimus albo *quia non semper saluber est* itd. — pozwoli na lepsze zrozumienie zdania względnego tak w języku łacińskim, jak i polskim.

Oto przykład ćwiczenia w rozumieniu budowy zdania czy też przykład analizy zdania na marginesie łacińskiego tekstu. Pamiętać nam wypada, że przeprowadzenie analizy zdania w klasie I ma w głównej mierze znaczenie przygotowawcze dla pracy późniejszej, a celem, który już na samym początku należy mieć na oku, jest budzenie świadomości językowej oraz rozwijanie zdolności wnikania w objawy języka tak ojczystego, jak i łacińskiego. Przykłady zatem, które na pierwszy rzut oka mogą robić wrażenie zupełnie prostych i nie wymagających analizy, mogą być dobrym wprowadzeniem w tok pracy nad analizą tekstu, która sama przez się nie jest rzeczą łatwą.

Według założenia punktu piątego ma być nauka w klasie I ćwiczeniem w sprawnym przekładzie tekstu łacińskiego na język polski. Pozornie mogłoby się zdawać, że materiał klasy I daje jeszcze mało sposobności do uwzględnienia tego postulatu. Zdania jeszcze krótkie, nieskomplikowane, budowa ich tak przejrzysta, że mowy właściwie nie ma o jakichś trudnościach przekładu. A jednak wiemy, że już pierwsze przekłady naszych uczniów grzeszą latynizmami i pozostawiają wiele do życzenia, tak co do budowy zdania, jak i co do samych wyrażeń. Przede wszystkim więc to sławne orzeczenie na końcu zdania! Dalej błędne używanie zaimka, lekceważenie swoistej cechy języka polskiego, wymagającej użycia zaimka zwrotnego tam, gdzie w języku łacińskim stoi zaimek dzierżawczy danej osoby. A więc zdanie — *civitatem nostram templaque deorum virtute vestra servate* [2]) — uczniowie będą prawie z reguły tłumaczyli „państwo nasze i świątynie bogów męstwem waszym ocalacie“ zamiast „ocalacie swoim męstwem nasze państwo i świątynie bogów“; *neque tu tuorum liberorum curam habebis* [3]) — „ani ty o twoje dzieci troski mieć nie będziesz“, zamiast „ani ty nie będziesz się zajmował dziećmi swoimi“.

Na czym więc polega ćwiczenie sprawności we właści-

---

[2]) *Puer Romanus,* ust. XXI.

[3]) *Disce Latine,* ust. XLVIII.

wym przekładzie zdań łacińskich? W pierwszym rzędzie na zrozumieniu tego, co autor powiedział, dalej na próbie wyrażenia tej myśli słowami języka ojczystego, wreszcie na rewizji swego przekładu — czy tej myśli nie można wyrazić lepiej. Tu jednak należy się zastrzec przeciw zbyt swobodnemu przekładowi, który często jest tylko podaniem treści zdania łacińskiego, a nie jego przekładem. Uczniowie muszą już w pierwszej klasie przyzwyczajać się do ścisłości przy równoczesnym jak najdalej idącym uwzględnianiu wymogów języka polskiego. Jeśli te wymogi lekceważymy w klasie I, trudno je stawiać w klasach następnych, bo uczniów przestają razić niewłaściwe wyrażenia przekładu. Aby więc praca nad czystością przekładu miała podstawy realne, jest rzeczą wskazaną, by 1. cała klasa brała w niej udział, 2. by przekład polski charakterystycznych w tym względzie zdań i ustępów znalazł się w zeszycie ucznia — jako ćwiczenie domowe po przerobieniu danego ustępu w szkole.

Wobec tego będą w zeszycie ucznia zawarte uwagi, które uczeń notuje z reguły po przerobieniu ustępu; są to objaśnienia tego ustępu, częściowo pisane w szkole, częściowo w domu. Objaśnienia te obejmują: 1. wyrażenia (tak nowe jak i stare, które występują w nowym połączeniu), 2. wyrazy, które uleciały z pamięci ucznia, 3. w miarę możności zestawienia etymologiczne, 4. uwagi gramatyczne, względnie tylko przykłady danego zjawiska gramatycznego, 5. częściowe metafrazy zdań, 6. ewentualną analizę zdania, 7. uwagi rzeczowe, co do treści ustępu, 8. przykład tłumaczenia niektórych zdań. Weźmy dla przykładu ustęp XXI z podręcznika *Puer Romanus*. Uczeń zaznaczy w swoim zeszycie: 1. *clara oratio — recito claram orationem;* 2. *periculum magnum, ex Italia pello;* 3. *virtus — vir;* 4. *servo mea virtute — servas tua virtute — miles servat sua virtute — servamus nostra virtute* itd.; 5. *Marcus claram orationem recitat: Civitas nostra in magno periculo est. Virtus militum civitatem nostram servabit* itd.; 6. analizę zdań: *Aut militibus Romanis victoriam dabitis et Poenos ex Italia pelletis, aut miles Poenus templa vestra vastabit. Romae et Scipioni, duci nostro, dei victoriam dabunt.* 7. Krótka wzmianka o niebezpieczeństwie, jakie zagrażało Rzymowi ze strony Hannibala i uwaga o ćwiczeniach retorycznych w szkołach rzymskich. 8. Przekład poprawny przemówienia.

Przytoczony tu został przykład, w którym zebrane zostały wszystkie charakterystyczne uwagi. Nie znaczy to jednak, że każdy ustęp ma wszystkie te uwagi uwzględnić. Przerobienie każdej lekcji tym sposobem byłoby ze względu na ekonomię czasu niemożliwe, a czasem nawet zbyteczne. Warunki pracy, wymagania jej ze względu na zapowiadające się wyniki wskażą w każdym wypadku co, jak i kiedy, należy podkreślić wydatniej, co więcej ćwiczyć, co ewentualnie pominąć lub rzadziej stosować. Zmechanizowanie form pracy jest dla jej wyników zawsze niebezpieczne.

M. K. Sarbiewski, Leśne przygrywki (Silviludia).

Pierwsza przygrywka

(która zabrzmiała, kiedy król polski Władysław IV jechał na łowy w birsztańskie knieje).

Gąszcza zielone
i tajemne głusze
w mrok otulone!...
Mego władcy duszę,
która pod ciągłą trosk nawałą słabnie,
rzeźwym oddechem pokrzepcie!
Beztroską twarzą spójrzcie nań powabnie,
nieście otuchę w zephyrów poszepcie!
O knieje!
Wszystko, co w koło widnieje,
twoi to, królu słudzy najszczersi!
Nymphy toltańskie, co wątłe kwiatuszki
sycą pokarmem z perłowej swej piersi,
na spotkanie twe śpieszą srebrzystymi nóżki...

Ptaszkowie, lasów lutniści,
w zespole zbiegłszy się licznym,
witają-ć koncertem muzycznym...
Brzoza drżącymi piórkami swych liści
rwie się ku tobie w tęsknocie —
i gdyby tylko umiała,
to by na skrzydłach gałązek
do ciebie królu, leciała
i przyleciała by do cię...
Sosna ci zdala się kłania
i kornie śle powitania
jak każe jej obowiązek.
A z wiatrem-heroldem w tropy
kwiatek podbiega za kwiatkiem,
upada pod twoje stopy,
całując je z cicha ukradkiem.

Przełożył JÓZEF BIRKENMAJER

KURT VON FRITZ

NOWE DROGI INTERPRETACJI W FILOLOGII KLASYCZNEJ

Może wydać się dziwnym, że tak bez niczego mówię o nowych drogach w filologii klasycznej, choćby się to tylko ograniczało do nowej metody interpretacji. W tym wypadku nasuwa nam się na myśl interpretacja sięgająca raczej w głąb, która stara się bardziej ująć dzieło jako całość, niż ta dotąd panująca, zwrócona więcej ku szczegółom. Możliwe, że ostatnio nastąpiły przesunięcia na korzyść 'wyższej interpretacji', z czego należałoby się cieszyć, o ile rezultaty są odpowiednie. Lecz byłoby to za wiele twierdzić, że „interpretacja wyższa w tym znaczeniu jest zdobyczą ostatnich dziesięcioleci. Jeśli tedy to, co mówimy o nowej metodzie interpretacji, ma mieć jakiś sens, nowe musi zawierać coś więcej, niż sam wysiłek sięgnięcia do jądra przedmiotu, lub ujęcia dzieła jako całości; musi ono zarazem być czymś ogólniejszym niż udoskonaleniem metody, które na pewnym stopniu rozwoju nauki może polegać tylko na coraz lepszym przystosowaniu się do specjalnego przedmiotu. To, co tu jest nowe, ukaże się jednolite w całej swej różnorodności traktowania, zależnie od każdorazowego przedmiotu; a to może mieć miejsce tylko wtedy, o ile ten nowy rodzaj interpretacji jest wyrazem nowej postawy wobec rzeczy wogóle, a zatem nie tylko nową drogą, lecz także drogą do nowego celu. A zatem, zanim przystąpimy do nowej metody, należy przede wszystkim wziąć się do dokładniejszego określenia tego celu.

Ważne to jest z dwu względów. Po pierwsze nie odrzucono od razu starych metod, skoro odkryto nową. Właśnie filologia klasyczna zachowała tu ciągłość i nie zniszczyła starego aparatu, dlatego że trzeba go było częściowo odnowić lub zmienić celem przystosowania do nowego zadania. Dlatego właśnie musi być ono poznane, aby jasno odróżnić stare od nowego.

Ważniejsze jeszcze jest co innego: Owo nowe nie stanowi też jednolitego obrazu. Pomijając już to, co jest samo

---

[1]) Kurt von Fritz, *Die neue Interpretationsmethode in der klassischen Philologie* (Neue Jahrbücher für Wissenschaftt und Jugendbildung 1932 s. 339—354).

przez się zrozumiałe, że każdy przedmiot wymaga odrębnego sposobu traktowania, nawet i podstawowa tendencja nie wszędzie jest jednolita. Pojawienie się nowej metody niemal zbiega się w czasie z powstaniem owego prądu, który zwykle określa się jako 'nowy humanizm'; ten znowu nie bardzo odbiega w czasie od spopularyzowania się ideału *scienza nuova* kół Georgego. To wskazuje na pewien wewnętrzny związek, który i tak zresztą daje się wyczuć.

Również i koła *scienza nuova* próbowały zająć się antykiem w dziedzinie nauki. Próby te nauka odrzuciła, odrzucili nawet nowohumaniści. Jednak i w obrębie filologii klasycznej nowość ta nie jest wcale własnością wyłączną 'nowego humanizmu' w ściślejszym zrozumieniu. Właściwie niektóre z najważniejszych i przełomowych dzieł na początku stają zupełnie poza nim. To też od pierwszej chwili ukazuje się pewna trójdzielność, aczkolwiek, mimo wszelkich sprzeczności, nie da się zaprzeczyć w tym wszystkim pewnych rysów wspólnych. Możliwe, że 'nowy humanizm', który chce być całkowicie nauką w dawnym znaczeniu, a przecież programowo wprowadza nową postawę ogólną wobec antyku, jest najbardziej kompetentny do wypowiedzenia się w sprawie nowości, o którą tu chodzi.

Program, który nowohumaniści przedstawiają, wyraża się najzwięźlej w tym, że antyk znowu jest 'normą i wzorem'. To wiąże go z humanizmem renesansu, oraz neohumanizmem tzw. klasyczności, a przeciwstawia 'relatywizmowi historycznemu', który panował w drugiej połowie XIX wieku. Jednak klasyczna filologia nawet t e g o okresu nigdy nie urzeczywistniła 'historycznego relatywizmu', w takim zrozumieniu. Właśnie najwybitniejsi jej przedstawiciele byli humanistami w tym znaczeniu, że dla nich hellenizm przynajmniej w okresie rozkwitu nie był jednym z wielu zjawisk kulturalnych, lecz czymś wyjątkowym, czymś jeszcze i nas obowiązującym. Mimo to humanizm ten ma zupełnie inne oblicze i koła *scienza nuova* odrzucają go jeszcze bardziej stanowczo niż historyzm bez domieszki humanizmu. Lecz i stanowisko tych kół wobec antyku nie byłoby możliwe, gdyby nie obraz starożytności pod wielu względami bardziej ponury i surowy, nie mniej o wiele bogatszy, jaki dopiero w. XIX przeciwstawił obrazowi 'dostojnej prostoty i cichej wielkości', utworzonemu przez klasyków. Aby zatem określić, na czym nowość polega, potrzeba bardzo precyzyjnych pojęć.

Najudatniej może wypadnie określenie przeciwieństwa ‘nowego humanizmu’ do jego przeciwników w dziedzinie historii. Nowe nie polega w żadnym wypadku na tym, że ujęcie historyczno-rozwojowe zastępuje niehistorycznym. Aby to wykazać, wystarczy przykład Aristotelesa. Jego filozofia najdłużej opierała się historyczno-rozwojowemu traktowaniu. Jeszcze przed piętnastu laty jego system uchodził za taki, w którym nie daje się dostrzec żadnego rozwoju. Dopiero z kół nowego humanizmu wyszły prace, w których zasada rozwojowa została całkowicie przeprowadzona także odnośnie i do tych dzieł. Lecz tu także uwidacznia się nowy sposób patrzenia. Jeżeli udało się naukę Aristotelesa rozwiązać rozwojowo, nie znaczy to, że teraz przedstawia ona ‘jeszcze tylko’ pewien interes dla historii myśli ludzkiej. Sprawa przedstawia się wręcz przeciwnie. Jak długo praca Aristotelesa wydawała się systemem zwartym w sobie, raz na zawsze gotowym, tak długo uchodziła w najlepszym wypadku za układ takich nauk, które i dziś jeszcze są słuszne i mają znaczenie dla wszystkich czasów, nawet tam, gdzie były one naciągane i wytłumaczalne tylko historycznie. Odkąd wykazano, że i ta tak zwarta w sobie filozofia przeszła też swój rozwój, po przez ciągłe borykanie się z całkiem konkretnymi problemami, ustaje możliwość naiwnego traktowania nauk Aristotelesa jako mniej lub więcej niedoskonałych odpowiedzi na nasze własne pytania i zagadnienia. Teraz raczej musi się i można w każdym wypadku postawić pytanie, jaki zupełnie bezpośrednio narzucający się problem i jaki związek zjawisk i zagadnień wówczas z nimi związanych wpłynął na jakąś określoną teorię lub na zmianę w niej. W takim wypadku nauka ta przedstawia się nie jako system, który można rozbić na części użyteczne i bezużyteczne, lecz jako żywy, przechodzący swój rozwój organizm, który należy ująć jako całość. Jego więc wartość filozoficzna nie leży dla nas w tym, że w owej nauce poszczególne pytania znalazły rozwiązanie ostateczne po wszystkie czasy; toteż nie będziemy z niej wybierali martwego budulca, którego można znowu użyć, jak marmuru rozbitej greckiej rzeźby, lecz przyda nam ona większej swobody w myśleniu i tworzeniu sobie światopoglądu, ucząc jak się wyzwalać z ograniczeń narzuconych przez czas współczesnej myśli, i pokazując jak wygląda perspektywa tych samych wiecznych zjawisk i problemów z innego punktu widzenia.

To jest tylko jedna strona zagadnienia. Organizm, który ukazuje się w swym żywym rozwoju, gdy tak nań patrzeć będziemy, jest o wiele bardziej jednolity niż system, który przedtem na jego miejscu widziano. Takie ujęcie nie 'relatywizuje' go i nie czyni nie dającą się wydzielić falą w nurcie rozwoju historycznego. Owszem, wyłania on się stąd w pełnej wyrazistości swych kształtów i w całej swej odrębności, która mimo jej uwarunkowania czasowego nigdy nie straci swej doniosłości. Ta historycznie uwarunkowana jedność, lecz niezatracająca się w historii, daje obraz rozmaity, zależnie od stanowiska, z którego się ją ogląda: jużto bierze się pod uwagę osobistość filozofa jako zwartą duchowo postać, jużto jego dzieło, jako twór ducha i jego kształt wewnętrzny, jużto z punktu widzenia filozoficznego jako jednolity, oraz jedyny obrany punkt widzenia, z którego wszystko ukazuje się w specjalnej perspektywie. Nie odrzuca się zatem ujęcia historycznego samego w sobie. Nie zajęła tu też po prostu, jak nieraz myślano, synteza miejsca analizy. Historyzm też szuka syntezy w swoim duchu, a z tego nowego stanowiska nie można też osiągnąć wyników bez wnikliwej analizy. Lecz cel i ostateczne rezultaty obu kierunków stały się inne, a zatem chyba inną też metoda, która do nich prowadzi.

Jest nadto rys, który jeszcze wyraźniej określa i odróżnia ten kierunek od humanizmu czasu ubiegłego, wspólny wszystkim najlepszym dziełom czasów najnowszych. Otóż uchodziło do niedawna za zadanie filologa 'przybliżyć' nam dzieła starożytne, uczynić bezpośrednio zrozumiałe, ubierając je w nasze pojęcia i przykładając do nich naszą miarę. Jest to ta sama postawa wobec dzieła sztuki, jak i wobec poezji, jak i wobec systemu filozoficznego. Wyodrębnia się to, co i naszemu poczuciu estetycznemu wydaje się piękne, a resztę 'objaśnia się' 'historycznie', tzn. w gruncie rzeczy jako niedoskonałe, nawet gdy się nie chce tego przyznać. Takie ujęcie samo przez się odpada tam, gdzie panuje dążenie, aby wypracować właśnie to, co stanowi o jednolitości i co jest jedyne w antycznym dziele sztuki. Zarówno w filozofii, jak i historii literatury nie stanowi celu przystosowanie dzieła sztuki do nas, 'przybliżenie' go nam; lecz to właśnie uważa się dla nas za owocne.

W ten sposób ostatecznie wyświetliliśmy, co jest charak-

terystyczne w nowopostawionym celu, tak że teraz można przystąpić do uwidocznienia na konkretnych przykładach, jak ten nowopostawiony cel musi wpłynąć na metodę. Za pierwszy niech posłuży dzieło o Sophoklesie Tychona von Wilamowitz-Moellendorf (*Die dramatische Technik des Sophokles*, Philologische Untersuchungen, H. 22, Berlin 1917). Autor stał daleko od kół 'nowego humanizmu', a nowość jest u niego prawie nieświadoma i właśnie dlatego znajduje tu swój najczystszy wyraz. Zarazem dzieło to nadaje się, jak żadne, do przedstawienia odrębności metod. Nie zostało ono wykończone, ponieważ autor padł na wojnie; jednak ostatni rozdział uzupełnił ojciec, reprezentatywny filolog i humanista poprzedniej epoki. Wreszcie spośród samego koła 'nowych humanistów' wyszło powórne opracowanie pewnych partyj tego samego przedmiotu, tak że tu jeszcze raz nadarza się sposobność dla porównania metod.

Na pierwszy rzut oka prawie nie różni się metoda dzieła T. v. Wilamowitza od tego, co dotąd zawsze było przyjęte w filologii klasycznej. Nie spotykamy się zaraz na początku z wielką syntezą ani z próbą wypracowania wewnętrznej formy twórczości poetyckiej Sophoklesa lub postaci poety. Nawet celem ma być na pozór zrozumienie tylko techniki dramatycznej; ale punkt wyjścia stanowią pewne rzucające się w oczy sprzeczności i uchybienia, które już przedtem także próbowano objaśnić lub usunąć. Nowość polega jednak na tym, że nie ma tu próby rozwiązania poszczególnych trudności osobno, lecz że wskazuje się na wspólne im wszystkim źródło.

Trudności te można podzielić na takie, które dotyczą przebiegu akcji i jej umotywowania w szczegółach, oraz na odnoszące się do charakteru osób działających. T. v. Wilamowitz opracował tylko te pierwsze, nad następnymi zatrzymując się krótko. Np. Haimon, który wyraźnie daje do zrozumienia, że chce popełnić samobójstwo, wdziera się do więzienia Antigony. Chyba nie, aby tu sobie śmierć zadać; bo nie może wiedzieć, że ona sama już nie żyje. A więc, aby ją uwolnić? Lecz o tym nie ma nigdzie mowy. Jeżeli nawet nie tkwi w tym bezwzględna sprzeczność, brak przecież jakiejkolwiek motywacji zmiany zamysłu osób działających i byłoby bardzo trudno znaleźć prawdopodobne wyjaśnienie

na podstawie samej sztuki. Jest to trudność nie do usunięcia. Ale właśnie dlatego posłuży ona za środek do lepszego zrozumienia poety w jego własnych intencjach. To, co dzieje się poza sceną, ma miejsce tylko o tyle, o ile znaczy coś dla widocznej na scenie akcji. Nie trzeba doszukiwać się związku rzeczy między sobą. Zamiast tego, jeśli zastanowimy się nad ich celowością dla akcji na scenie, nad tym, co konieczne, aby wywołać tu jak najsilniejsze wrażenie, okaże się, że poeta postępuje w tym wypadku z najwyższym kunsztem. Lub, oddając głos samemu T. v. Wilamowitzowi „rozważania te wykazały, że Sophokles o wiele samowolniej postępuje ze swymi postaciami, niż my dziś pozwolilibyśmy dramaturgowi. Wprowadza je i każe im zejść, kiedy mu wypada, a nawet to, co czynią na scenie, dzieje się nieraz tylko dla tego, że poeta tak każe, bez podania motywów. Nie wynika to wcale z samowoli lub niedbałości — i to jest ważne; przyjrzawszy się nieco dokładniej budowie akcji, widać wyraźnie, że z świadomym kunsztem poeta osiąga zawsze najsilniejsze działanie tego, co się w danej chwili dzieje na scenie, a opuszczając wszystko uboczne, możliwie najwyższe ześrodkowanie właściwej akcji dramatycznej". Tak wyłania się z tych trudności, ujętych jako całość i nie do rozwiązania z osobna, nowy obraz odrębnej, obcej nam sztuki, która nastawia się tylko na akcję bezpośrednio widzianą i nie szuka uzasadnienia, jak nowoczesna, dla której często wnioski widza są równie ważne, jak to, co daje mu się do oglądania, sztuka ta zato osiąga w widocznej akcji najdalej posuniętą koncentrację dramatyczną.

To, co wykazuje T. v. Wilamowitz, to już nie różnica techniki przy tym samym celu artystycznym, lecz odmienność form artystycznych, co dla dramatu nie jest czymś zewnętrznym, tak jak nim nie jest dla sztuki rzeźbiarskiej. Dalej jeszcze naprowadza to na różnicę w postawie wobec zjawisk wogóle. Na to wskazuje najwyraźniej druga grupa trudności, o których wspomina jeszcze T. v. Wilamowitz, nie opracowując ich do końca. Nie tylko akcja w swym przebiegu na scenie wykazuje sprzeczności, lecz nawet — a to jeszcze bardziej utrafia w istotę tej sztuki — charaktery osób działających. Nie jest możliwe pomyśleć sobie każdą osobę jako charakter jednolity, w sobie zwarty, a choćby w swej

zmienności wyprowadzający się z niezmiennego jądra. Tu także nie doszlibyśmy do celu, gdybyśmy chcieli pojedynczo rozważać narzucające się w naszych badaniach trudności. Tu także wytworzy się raczej obraz sztuki dramatycznej zupełnie odmiennej od naszej. „Dla Sophoklesa gruntowna, psychologicznie uzasadniona charakterystyka nie stanowi wcale głównego zadania dramaturga — o przedstawieniu i rozwoju charakterów u niego wogóle nie może być mowy — postacie swe charakteryzuje poeta o tyle, o ile wymaga tego umotywowanie ich postępowania i doznań w sztuce; choć możliwe jest twierdzenie, że dla rozwoju naprawdę czystej dramatycznej poezji to jest j e d y n i e n a t u r a l n e". Wywód T. v. Wilamowitza i wnioski dalej nie idą. Jak orzeka tytuł dzieła, celem jest opracowanie techniki dramatycznej Sophoklesa; z chwilą gdy to zadanie zostało doprowadzone do końca, autor nie posuwa się dalej. Lecz w rzeczywistości analiza techniki dochodzi tak daleko, że nawet bez tego bezpośrednio zpoza odmienności techniki wyłania się poezja tragiczna, różniąca się od nowoczesnej nie tylko technicznie, lecz i swą istotą. Nie tylko brak jej zupełnie psychologii i wnikania w duszę nowoczesnej dramaturgii, lecz także z gruntu odmienna jest od f o r m y poezji tragicznej, która znalazła najwyższy swój wyraz w dramatach Shakespeare'a. Podczas gdy tu ludzie sami i ich namiętności są sprawcami niedoli, a czarownice w *Makbecie,* sztylet, który przed nim majaczy, duch Banka i duch Caesara, który ukazuje się Brutusowi w nocy przed Philippi, są tylko przeistoczonym wyrazem własnego stanu duchowego i namiętności osób działających, Oidipus u Sophoklesa jest w zupełności wydany mocom przeznaczenia, których on sam z siebie nie wytwarza. Nie znaczy to, aby osobistość lub charakter osób działających były zupełnie obojętne. Muszą one zawierać jedność, która wytwarza jedność ich postępowania i cierpień, oraz wielkość i twardość, bez których może zaistnieć wprawdzie nieszczęście, ale nie los tragiczny. Nie mniej utrzymuje się różnica między nowoczesną, a antyczną Sophoklesową dramaturgią: tu przedstawiony jest człowiek w swoim działaniu, tam działanie i cierpienie, którego nosicielem jest człowiek.

Odrębność tej metody, która wychodząc z pojedynczych trudności wiedzie do rozpoznania właściwych zasad kunsztu

Sophoklesowego, obcych naszej dramaturgii, uwidoczni się jeszcze bardziej, gdy jej przeciwstawimy opracowanie tego samego przedmiotu przez innego interpretatora. A to nadarza się właśnie tutaj, gdzie ostatni rozdział książki napisał już nie T. v. Wilamowitz, lecz ojciec po jego śmierci, tak że w ojcu i synu spotykają się w tej samej książce dwie generacje. Nawet gdyby styl obu niczym się nie różnił, nie przedstawiałoby dla nikogo wątpliwości, kto uważnie przeczyta ostatni rozdział książki, że nie pochodzi on od tego samego autora, co reszta dzieła. Wprawdzie sam T. v. Wilamowitz pozostawił notatki do opracowania *Oidipusa z Kolonos*, które ojciec wykorzystał; nie mniej metoda jest zupełnie inna, omal przeciwna. Rozdział ten stanowi komentarz, jakich Ulrich v. Wilamowitz napisał wiele w ostatnich latach swego życia. Wspaniały, tryskający pełnią erudycji i pod tym względem o wiele bogatszy niż poprzednie rozdziały napisane jeszcze przez syna. Lecz forma i metoda zupełnie odpowiada komentarzowi objaśniającemu, który chce nam rzeczy 'przybliżyć', i dlatego mierzy je nieopatrznie naszą miarą. Między tym rozrzucone są pojedyncze uwagi syna o technice dramatycznej, pozostając jednak środkiem pomocniczym 'objaśniania historycznego' tego, co na nowoczesną miarę okazuje się irracjonalnym. Lecz pomimo 'historycznego' objaśniania, poeta w gruncie rzeczy zasługuje na naganę, że 'przejęty zasadami swych czasów' narusza estetyczne formy naszej epoki, uznane za absolutne. „Jest to tylko wynikiem woli poety, że każe tak Theseusowi mówić jak gdyby zakładał niechęć i złość przeciwko synowi Oidipusa. Naturalne byłoby...". Trudno o lepsze ujęcie przeciwstawności obu metod, niż tu gdzie ona sama wychodzi na wierzch w 'n a t u r a l n y m' tych obydwu; a oto przytaczane już zdanie syna: „Postacie swe charakteryzuje poeta o tyle, o ile wymaga tego umotywowanie ich postępowania i doznań w sztuce: choć możliwe jest twierdzenie, że dla naprawdę czystej sztuki dramatycznej to jest jedynie 'naturalne'". Podczas gdy jedna stara się przedmiot nam przymierzyć, a to, co nie odpowiada, pozostawia jako obcy wtręt, to druga oddala go od nas, a zarazem ukazuje w jego jednolitości i nienaruszalnej odrębności.

Wybrany przykład jest tym bardziej pouczający, że T.

v. Wilamowitz, użył swej metody prawie nieświadomie; może właśnie dlatego wypada ona tak czysta, jak rzadko w późniejszych dziełach, bardziej świadomych swego kierunku. Przede wszystkim nie było u niego mowy o jakimś świadomym przeciwieństwie lub walce przeciwko starej metodzie. Przecież różnica jest dość głęboka, aby wyjaśnić gwałtowną opozycję, która powstała, choć nie w kołach naukowych, przeciwko sposobowi traktowania antyku przez Ulricha v. Wilamowitz. Gwałtownie odczuto modernizujące elementy w jego ujęciu — i to nie bez uzasadnienia. W dowód słuszności warto przytoczyć jeden, ale zato może najbardziej znamienny przykład, gdzie on religię starożytną tym więcej chrystianizuje, a nie tylko chrystianizuje, lecz zmienia jej sens w duchu specyficznie nowoczesnej chrystusowości, gdy najsilniej podkreśla jej pogańskość i przeciwstawia chrześcijaństwu. Zrozumiałe, że tak gwałtowny sprzeciw nie mógł powstać w kołach filologów klasycznych, gdzie w codziennej pracy uświadomiono sobie, że właśnie najlepsze osiągnięcia na nowej drodze byłyby niemożliwe bez dzieła życia Wilamowitza, że przez niego to wykształcone instrumenty subtelnej analizy znajdują też zastosowanie w nowej metodzie.

Również dzieło W. Schadewalda o *Aiasie* i *Antigonie* (*Sophokles, Aias und Antigone,* Neue Wege zur Antike, H. 8, Leipzig 1929) wychodzi starym sposobem filologicznej analizy z poszczególnych trudności. Lecz i tu, podobnie jak u T. v. Wilamowitza, nie otrzymują one rozwiązania pojedynczo, lecz prowadzą do głębszego zrozumienia właściwej istoty tej poezji w jej całej obcości, nie przybliżają, lecz oddalają. Tu jednak wszystko szybciej zdąża do celu, autor próbuje posunąć się dalej, w pełni wypowiedzieć to, o czym T. v. Wilamowitz tylko napomknął.

Punkt wyjścia rozważań stanowi przemiana w nastroju Antigony od sceny pierwszego zetknięcia się z Kreonem do sceny, gdzie prowadzą ją na śmierć. Sprzeczność między hardą i gotową na śmierć Antigoną pierwszej z tych dwóch scen, a jej skargami w ostatniej, zawsze wywoływała zdumienie i domagała się wyjaśnień. Do tego zabiera się Schadewaldt. Nie próbuje on ominąć trudności tanimi wyjaśnieniami, owszem, zrazu je jeszcze pogłębia, wskazując, że przedmiotem skargi jest nie tylko smutek z powodu śmierci w peł-

ni młodości, lecz że także poprzez usprawiedliwienie własnego postępowania przebija nieznacznie niepokój, czy i w nim nie ma jakiegoś występku, czy przeciwstawienie się πόλις, czy βίᾳ πολιτῶν nie będzie przestępstwem nawet w obliczu bogów. Również chór, który wcale nie okazuje niewolniczej uległości wobec Kreona, nie stoi bez zastrzeżeń po stronie Antigony, jak choćby chór w *Choephorach* Aischylosa opowiada się przeciw Klytaimnestrze, lecz ważąc słuszne i niesłuszne, bez usprawiedliwienia Kreona dochodzi do wniosku: σὲ δ' αὐτόγνωτος ὤλεσ' ὀργά. Lecz właśnie rozwiązanie leży w zespoleniu tych trudności. W nowoczesnym zrozumieniu słuszność jest po stronie Antigony. Ismena, która nie wzięła udziału w postępku Antigony, wydaje się w swej słabości pendantem, na tle którego tym bardziej uwydatnia się wielkość Antigony. Ona j e s t w istocie pendantem, ale przecież w zupełnie innym sensie. Jeżeli nowoczesny sposób odczuwania przyznaje słuszność Antigonie, to późniejsze je zachowanie się jest tylko słabością. A również niezrozumiałe byłoby stanowisko chóru. U Sophoklesa sprawa prawości i bezprawia nie przedstawia się tak prosto. „Nowoczesny poeta daje w sztuce wyraz swemu indywidualnemu, osobistemu ujęciu etyki, przygotowuje nas do zajęcia stanowiska po stronie bohatera i w ten sposób do przyjęcia go jako kryterium tego co słuszne, a co nie, w myśl poglądów samego poety; natomiast Sophokles, którego zasady moralne tkwią korzeniami w ogólnych pojęciach etycznych *polis* i dlatego mają całkowicie charakter oficjalny, wymaga abyśmy nie mierzyli wielkością bohatera, co w postępowaniu ma uchodzić za prawe i nieprawe, lecz abyśmy sami jego wielkość sprawdzali obiektywną miarą prawości i bezprawia". Można tu mieć wątpliwości, czy Schadewaldt słusznie sformułował nowoczesne stanowisko. W tym brzmieniu trafne to jest właściwie tylko dla Schillera, a nie dla Shakespeare'a, nie dla Hebbla i nie dla Kleista. Lecz nie ma to znaczenia wobec faktu, że Schadewaldt w własnym 'dodatku', s. 111 znakomicie zanalizował różnicę między tragizmem nowoczesnym a antycznym.

W każdym razie to, co powiedział, wytrzymuje zupełnie odnośnie do Sophoklesa. Bez wątpienia prawo Antigony nie jest dla Sophoklesa tak bezsporne, jak nam się to wydaje na pierwszy rzut oka. Oczywiście według sformułowania

Schadewaldta to, co ona zrobiła jest bezwzględnie słuszne, niesłuszny jest zatem zakaz Kreona. ale że ona to zrobiła βίᾳ πολιτῶν, podważa słuszność tego postępku. „Antigona uosabia wieczny, nieosobisty porządek boski, ale dopuszcza się występku przeciw powadze πόλις, a tym samym i bogów“. Główną sprężyną i treścią sztuki nie jest kontrast między prawem z jednej, a bezprawiem z drugiej strony, lecz antinomia między dwoma porządkami, gdzie i jeden i drugi wymaga całkowitego podporządkowania się. Przeciwstawiając się jednemu z nich człowiek tragicznie ginie.

Niewątpliwie to, co Schadewaldt pierwszy dostrzegł, słuszne jest i trafia w sedno sztuki dramatycznej Sophoklesa. Już nie tak pewną wydaje się sprawa, gdy wiąże on to ze zmianą nastroju Antigony. Rzecz może ma się tylko o pewien odcień inaczej, ale zato odcień ten ma decydujące znaczenie. Gdy Schadewaldt zestawia zwątpienie Antigony w swoją słuszność z wstrząsem, jakiego doznaje Aias, „który drogę poznania doprowadza do końca“, czyni to wrażenie, jak gdyby sztuka koncentrowała się dookoła wewnętrznego oczyszczenia lub ‘wewnętrznego rozszerzenia’, jak u Aiasa, gdzie o takim jest mowa. Nic się tu nie zmienia, gdy podkreśla, że do tego, co Aias sobie w pełni uświadamia, Antigona dochodzi ‘ledwie przeczuciem w aporii’. Bo nie chodzi tu o stopień, ale o treść tego zdarzenia. Lecz w słowach:

ἀλλ’ εἰ μὲν οὖν τάδ’ ἔστιν ἐν θεοῖς καλά,
παθόντες ἂν ξυγγνοῦμεν ἡμαρτηκότες.

nie ma wcale tego, czego się tam doszukuje Schadewaldt; przecież zaraz potem następuje pieśń końcowa, która zamyka się słowami: τί χρή με τὴν δύστηνον ἐς θεοὺς ἔτι βλέπειν. Są one zbyt gorzkie, aby były wyrazem poznania i to tak pełnego przeczuć. Nie kryje się tu zwątpienie we własną słuszność, a raczej niepewność, czy konflikt między odwiecznym prawem a zarządzeniem państwowym nie sięga także w świat bogów, czy może i tam panuje nie tylko j e d y n e istotne prawo. Nie może zatem poznanie, tak jak je rozumie Schadewaldt, być przyczyną zmian w nastroju Antigony. Może postępowanie T. v. Wilamowitza, który wychodził z prawideł dramatycznego dzieła sztuki, nadaje się najlepiej, aby i na to rzucić snop światła. Śmierć bohaterki, która idzie na stracenie z własnej woli i świadomie, w tym nastroju, w jakim występuje wobec Kreona w pierwszej scenie, byłaby wprawdzie heroiczna, ale nie tragiczna, ani w zrozumieniu nowoczesnym, ani antycznym. Antyczna tragedia wcale nie musi się tak kończyć, jak współczesny dramat tragiczny. Większość tragedii Aischylosa nie ma w ogóle takiego zakończenia. Tragizm polega na głębszym wstrząsie porządku rzeczy, niż śmierć człowieka, który ginie dla dobrej sprawy. Dlatego poeta nie może wyprowadzić Antigony na śmierć po jej pierwszej scenie z Kreonem. Musi ona przejść jeszcze przez inny wstrząs, a to przez zwątpienie, czy w ogóle gdziekolwiek istnieje porządek, w którym jej bezsporna słuszność jest naprawdę bezsporną. Nie jest to poznanie oczyszczające i rozszerzające, które dostrzega, że

prawo było równocześnie bezprawiem — takie poznanie nie wyrwałoby słów τί χρή με τὴν δύστηνον ἐς θεοὺς ἔτι βλέπειν — lecz gorzką niepewność, czy i wtedy człowiek nie błądzi (ἁμαρτάνειν), gdy bezwględnie wykonuje to, co odpowiada najświętszym zasadom, czy i tam nie sięga konflikt dwu porządków. Zresztą waga cała nie spoczywa na jednym zdaniu (V. 925/26) cytowanym przez Schadewaldta; rozchodzi się o zasadniczy ton, który nadaje wyraz jej ostatniemu wystąpieniu. W każdym razie Schadewaldt znakomicie przedstawił tło, jakim jest w istocie nieusuwalna sprzeczność dwu porządków.

Może się to zrazu wydać tylko nieco odmiennym odcieniem w ujęciu; ale tu, podobnie jak wszędzie, także drobne tylko ześlizgnięcie się przynosi odrazu widoczne następstwa przy dalszym snuciu myśli. Tak to ukazuje się Sophokles w końcowym rozdziale, w którym Schadewaldt zbiera raz jeszcze wyniki swojej analizy, jako polita *par excellence*, a jego dzieła jako „napomnienia moralisty polis pouczającego z powagą spokojnego piękna, który pokazuje obywatelom w znajomych obrazach herosów, jak to hybris wielkiego charakteru, jak nierozwaga szlachetnej woli, zuchwałość niezachwianego poczucia słuszności w starciu z koinon, — a zuchwałość ta jest tylko wzniosłą pomyłką, — muszą same siebie wtrącić w nieszczęście". Ale takie ujęcie burzy całą hardość sophoklesowej tragiczności. Jakby słusznym nie było, że u Sophoklesa tragiczność przeniesiona jest ze sfery bezosobowego losu, w jakiej rozgrywa się u Aischylosa, w dziedzinę wspólnoty ludzkiej (s. 106), nie należy chyba osłabiać twardej antinomii porządków, — na której tu wszystko wyrasta, przez to, że przeciwstawienie się nakazowi κοινὸν degraduje się do zuchwałości herosa, która jest tylko wzniosłą pomyłką, — ani też z tragedii robić nauki moralności.

Ale tu stoi sprawa metody i trzeba sobie zadać pytanie, w czym zawiniła ona, jeżeli zaszedł tu błąd. Zarówno jej punkt wyjścia z poszczególnych trudności, jak i jej nastawienie na odległe i obce było to samo, co u T. v. Wilamowitza. Tylko cel tkwił dalej, a zadaniem było głębiej wniknąć w istotę rzeczy. Nie na tym polegał błąd, chociaż tutaj napotykamy na granice metody, które trudno przekroczyć (o tym mowa będzie w dalszym ciągu). Bo tu właśnie można poczynić najcenniejsze spostrzeżenia. Lecz, mimo że użył w jednym miejscu wyrażenia z *Agamemnona* τῷ πάθει μάθος θέντα, w tej formie zawiera ono nowoczesne wyobrażenie o oczyszczającym poznaniu, mające posłużyć do objaśnienia szczegółu; aby poprzeć to objaśnienie, wyjmuje pojedynczy wiersz, który w związku z całością do tego nie nadaje się. Z tego punktu widzenia błąd nie daje argumentu przeciw metodzie, pokazuje tylko, jak trudno jest z niej nie zboczyć. Lecz coś innego kryje się na dnie takiego ujęcia Sophoklesa jako polity i moralisty. Ten polita i moralista jako postać nie jest wcale współczesny. Przecież źródło błędu nie różni się znów tak bardzo od źródła błędów historyzmu. Zaważył tu charakter antyku jako wzoru. Zupełnie nieprzypadkowo nowy humanizm tak mocno podkreśla w przeciwieństwie do estetyki etykę, a zwłaszcza państwową etykę antyku, a Sophokles jako polita i moralista zajmuje tu fałszywą pozycję. Nie jest to przykładanie własnej

miary, ani przetwarzanie antyku na obraz własny, ale przecież w ten sposób w innej formie wkłada się w antyk siebie i swoją teraźniejszość, — wprawdzie nie obecną rzeczywistość, lecz przecież swój obraz wymarzony. W rzeczywistości przesłanki powstania tego obrazu i dramatu sophoklesowego mają się odwrotnie. W jednym wypadku stanowi je punkt szczytowy panowania etyki κοινόν, w drugim rozkład całej etyki państwowej, który właśnie wywołał ten obraz wymarzony. Jego wynurzenie się w analizie i objaśnianiu antycznego dzieła sztuki oznacza w naukowej szacie to samo, co obraz Platona u H. Friedmanna w poezji, która zupełnie uwolniła się od naukowej metody. Do znaczenia tego zjawiska dla nauki i humanizmu powrócimy jeszcze przy zakończeniu.

Choć odmiennie przeprowadzone, prace T. v. Wilamowitza i Schadewaldta miały to wspólne, że wychodziły z pojedynczych trudności (które właściwie wtedy powstają, gdy się mierzy przedmiot obcą mu nowoczesną miarą), i uwydatniały odrębność przedmiotu przez kontrast z nowoczesnymi zasadami estetycznymi. W pewnym zatem sensie kontrast posłużył metodzie jako środek. Lecz właśnie fakt istnienia podwójnej antycznej literatury, greckiej i rzymskiej, daje do ręki instrument, który pozwala osiągnąć to samo na innej drodze; rozumie się, że musi to wyjść szczególnie na korzyść długo zaniedbanej literaturze łacińskiej. Przytoczę naprzód jako przykład rozprawę B. Snella (Hermes LXVI, 1831, s. 71), o Φαίνεταί μοι τῆνος Sapphony i o naśladowanie Catulla. Poemat Catulla jest przekładem. Ale nawet tam, gdzie wydaje się on dosłownym, słowa nie oznaczają to samo. Już pierwsze słowo φαίνεται nie równa się *videtur*. Φαίνεταί μοι τῆνος ἴσος θέοισιν: „ów zjawia mi się, ukazuje się równy bogom" — *ille mi par esse deo videtur:* „ów wydaje mi się być równym bogu". Już w tym zawiera się cała różnica między subiektywną liryką nastrojowo-uczuciową Catulla, a obiektywną i zwartą liryką Sapphony, w której nawet przeżywane uczucie ukazuje się jak obiektywnie oglądane. Oba wiersze wyrażają uwielbienie dla mężczyzny i szczęście jego przyrównują do szczęścia bogów, lecz Catullus oddaje nastrój na widok ukochanej, który równa się szczęśliwości bogów, natomiast Sappho wielbi obiektywnie całą egzystencję pana młodego jako radosną, wspaniałą, szczęśliwą. Różnica prawie się nie zwiększa, jeżeli wiersz w dalszym ciągu odbiega także brzmieniem od wzoru. Natomiast dodatek: *ille si fas est superare divos*, w którym poeta dopuszcza się w myśli wykroczenia, a zarazem

przez *fas est* osłabia to wykroczenie, okazuje całą niepewność i falowanie subiektywnego uczucia, dla którego nie ma miejsca w surowej przejrzystości pieśni weselnej Sapphony. W tej analizie obu pieśni, której zapodajemy tu tylko początek, przy pomocy zupełnie innych środków niż T. v. Wilamowitz i Schadewaldt wydobywa autor to, co stanowi o odrębności przedmiotu. Lecz cel: aby wyodrębnić to, co obce i jednorazowe, utrzymuje się ten sam i zostaje w równym stopniu osiągnięty dla poezji greckiej i łacińskiej.

Nie można stosować zupełnie tej samej metody, gdzie mamy przed sobą tylko kopię i na jej podstawie trzeba odtworzyć oryginał, aby móc go z nią porównać. Środki rekonstrukcji mogą i muszą być różnorodne, zależnie od przedmiotu, bo właśnie taki wypadek wymaga najbystrzejszego zastosowania metody. Opracowanie przez R. Hardera (R. Harder, *Ueber Cicero's Somnium Scipionis*, Schrifte der Königsberger Ges. VI Jahrg., H. 3, Halle 1929) *Somnium Scipionis* może służyć jako przykład takiego postępowania, które dało znakomite rezultaty w swoim przedmiocie, ale nie da się przenieść na inne bez modyfikacji. *Somnium* nie jest kopią, ani nawet w tym sensie, w jakim utwór Catulla pozostaje kopią, choć w zakończeniu zupełnie oddala się od oryginału. Jest to samodzielny twór, który, mimo że w poszczególnych wypadkach zapożycza swe myśli od greckich wzorów i na nie orientuje swą formę, nie ma przecież jednego wzoru, któremu zawdzięczałby swą całość. Dlatego też był on zawsze przedmiotem badań dla krytyki źródeł, która jednak na ogół mało troszczyła się o znalezienie odpowiednika dla stylu i ducha analizowanego dzieła. Natomiast rozprawa Hardera ma za cel interpretację gotowego dzieła jako całości, jako samodzielnego dzieła Cicerona. Tego nie da się przeprowadzić bez wciągnięcia także wzorów, ponieważ właśnie w doborze ich i przekształceniu, w sposobie, jak posługuje się nimi Cicero dla swoich celów, leży oryginalność jego dzieła.

Naturalnie odstęp między dwoma przedmiotami, których odrębność uwydatniamy przez kontrast, nie musi być tak wielki, jak między literaturą nowoczesną a antyczną, albo między grecką a łacińską. Podobne też zjawisko zachodzi, gdy badamy odrębność dwóch po sobie następujących epok.

Tak się sprawa ma z pracą B. Snella o *Aischylosie i postępowaniu dramatycznym* (Philol. Suppl. B. XX, H. 1, Leipzig 1928), gdzie autor próbuje opracować różnicę w rozważaniach osób u Homera i tragików przed rozstrzygnięciem swego postępowania. Im mniej znaczny jednak jest odstęp tych epok między sobą w stosunku do tego, co je dzieli od naszych czasów, tym więcej będą one miały wobec nas wspólnych założeń, i tym łatwiej jest o nieporozumienie, bo przecie w uchwyceniu obu stron przedmiotu jesteśmy zdani na nasz zasób pojęć. Tu sięgamy już granic metody, których nie da się przekroczyć. Bo jeżeli badanie nie ma się zatrzymać na technice formy, nie obejmie ono nigdy całkowicie odrębności przedmiotu przy pomocy naszych pojęć; pewna reszta musi pozostać; kto wie zresztą, czy w gruncie rzeczy wartoby dla kogoś taką rozprawę pisać, jeżeli nie dla takiego, który potrafi lepiej słowa zrozumieć, niż wypowiedział je autor. Użycie kontrastu jest tu właśnie bardzo pomocne. Wykazuje to właśnie wyżej wspomniana książka, w której Homera potraktowano zbyt szkicowo, aby móc stąd zupełnie wyraźnie wydzielić to, co tragicy wnieśli nowego. To też ostra recenzja E. Wolffa (*Gnomon* V 1929, s. 386 nn.) ma tu niemałą zasługę, że pobudziła do nowego opracowania tej to części, które właśnie dlatego jest interesujące, że wskazuje, o ile w ten sposób da się posunąć naprzód zrozumienie przedmiotu, nie przekraczając jeszcze granic metody.

Pozostają zatem dwie możliwości: ograniczyć się do analizy formy zewnętrznej, poza którą jednak, kto umie patrzeć, zobaczy istotę rzeczy. Tak postąpił T. v. Wilamowitz. Przykładem na to są też studia F. Solmsena o Antiphonie (*Neue Philol. Untersuch.* H. 8, Berlin 1931). Analizuje on tu tylko zewnętrzną formę mowy sądowej, która u Antiphona koncentruje się jeszcze dookoła konkretnych środków dowodowych, tzw. ἄτεχνοι πύστεις, podczas gdy w czasach późniejszych coraz bardziej bierze górę retoryczne opracowanie wypadku. Spoza tego jednak wyłania się ogólna postawa ludzi wobec rzeczy, zawierająca w sobie charakterystykę całych epok. Może to jest właśnie metoda najczystsza, w każdym razie najmniej ona narusza własną formę i znaczenie przedmiotu. Przecież nie zadowoli nas ona, owszem skusi do próby wyrażenia jednak istoty rzeczy, mimo niedoskonałości środków, jakimi

tu rozporządzamy. Wymaga to jednak ścisłego panowania nad sobą, nieoglądania się za łatwym laurem i powściągliwości: lepiej zatrzymać się o krok za wcześnie i pokazać rzeczy zdaleka, niż wprowadzać na manowce.

Dotychczasowe rozważania nowej metody pokazały, jak wielką rolę tu odgrywa kontrast. Dotąd miał tu tylko miejsce kontrast historyczny — między antykiem a współczesnością, między greckim a rzymskim, między dwiema różnymi epokami greckiej kultury. Praca E. Wolffa (*Neue Philol. Untersuch.* H. 6, Berlin 1929) o *Apologii* Platona przedstawia ciekawą próbę posłużenia się dla tego samego celu kontrastem zupełnie innego rodzaju. Chodzi o wydobycie właściwej istoty platońskiej *Apologii* przez zastosowanie zwyczajnego schematu attyckiej mowy sądowej; autor wskazuje gdzie i dlaczego takie zastosowanie ma swoje granice. Spotykamy się tu zatem z próbą uwydatnienia tego co jednorazowe na tle γένος, które ono zupełnie rozpiera swą treścią, choć przynależy doń swą zewnętrzną formą. Jednak kryje się tu niebezpieczeństwo, aby tego, co żywe i indywidualne nie uwikłać w pojęcia, które są za blade i za powszechne, by uwydatnić kontrasty i wyskoki. Mam wrażenie, że Wolff nie całkiem uniknął tego niebezpieczeństwa w swojej pracy.

Ta sama skłonność ujmowania tego, co wyjątkowe, w pojęcia, które są jużto za ciasne, jużto za rozległe, a w każdym razie nie przystają do przedmiotu, uwidacznia się w tej pracy jeszcze w inny sposób; a to jest ciekawe metodologicznie. Spotykamy się z wielką liczbą słów i pojęć, które wprawdzie mają formę grecką, których jednak albo w ogóle nie spotykamy w starożytności w takim znaczeniu i zakresie, w jakim są obecnie przyjęte, albo też nie w środowisku, do którego przynależała *Apologia*. Oto kilka najważniejszych: pronoia, elenktyka, dydaktyka, a przede wszystkim pragma i prohairesis. Jakie ma to znaczenie metodologicznie, pokażemy krótko na przykładzie 'pragma'. Zaczerpnął je autor z jednego miejsca *Apologii* (20 E), gdzie Sokrates przypuszcza takie pytanie ze strony któregoś ze sędziów: ἀλλ', ὦ Σώκρατες, τὸ σὸν τί ἐστι πρᾶγμα; πόθεν αἱ διαβολαί σοι αὗται γεγόνασιν, co znaczy „Coś ty takiego narobił, z czego mogły powstać te oszczerstwa? (bo same ze siebie one nie rodzą się)". Poza tym wyraz ten jest używany w mowach sądowych jako termin tech-

niczny na określenie stanu faktycznego, który należy ustalić. Owo πρᾶγμα, którego nie można oddać w niemieckim przez rzeczownik w funkcji podmiotu (także i w polskim nie, Red.), oznacza u Wolffa całą działalność Sokratesa, o ile znachodzi w niej wyraz jego ethos, osobistość i wyznaczone mu przez bóstwo zadanie. Możnaby pomyśleć, że wybrał takie określenie po to, aby uwidocznić, jak mało wspólnego ma przedmiot *Apologii* z tym, co zwykle należy ustalać w postępowaniu sądowym jako stan faktyczny. Nawet w tym wypadku wyglądałoby użycie takiego środka na bardzo sztuczne. Ale u Wolffa ma to słowo zawierać sens pozytywny i tam, gdzie można go oddać tylko niezupełnie przez opisanie i dla którego brak jedynego odpowiedniego wyrażenia. To też dobrane słowo nie spełnia tego i na nic się nie zdaje, mimo że antyczne. Ma to swoje usprawiedliwienie, jeśli w nowoczesnej pracy naukowej używa się słowa antycznego na określenie pojęcia, któremu tylko takie słowo odpowiada, ponieważ nie istnieje stosowne pojęcie współczesne. Lecz ma to tylko wtedy swój cel, gdy się go używa dokładnie w tym tylko znaczeniu, jakie miało w starożytności. Tutaj natomiast służy ono w gruncie rzeczy na określenie nowoczesnego zbioru pojęć. Lepiej już w tym wypadku opisać to, choćby niedoskonałymi środkami, jakimi rozporządza nasza mowa, niż zadowolić się wyrazem, który przedmiot raczej zaciemnia niż rozjaśnia. Próba ta jednak jest pouczająca właśnie dlatego, że musi się załamać, dochodząc już do granic metody.

Chociaż kontrast jako środek we wszystkich dotąd przytoczonych pracach odgrywa rolę w mniejszym lub większym stopniu dominującą, jego związek z ‘nową metodą’ nie jest konieczny. W rozprawie Regenbogena o *Herodocie i jego dziele (Die Antike* 1930, s. 202 nn.) nie ma on zastosowania. A jednak zaraz na początku autor wyznacza sobie jako cel „wytworzenie sobie obrazu istoty osobistości, a ponieważ tę możemy widzieć tylko za pośrednictwem dzieła, istoty dzieła, przy możliwym wykluczeniu nowoczesnych kategorii; zachowując zrozumiały szacunek przed tajemnicą czynu twórczego musimy szukać założeń, na których tle zarysuje się wyraźnie to, co w zjawisku jest nowe, własne, nieporównane i niepowtarzające się“. To jest właśnie ten sam cel, aby ukazać co obce i odrębne, który nadawał kierunek wszystkim wciąg-

niętym tu pracom. Dalszym celem jest „wyznaczyć człowiekowi i jego dziełu ‘miejsce geometryczne’ w dziejach ducha greckiego“. Już to samo wskazuje, że rozprawa jest historyczna w wyższym stopniu niż pozostałe, i to historyczna nie tylko w tym sensie, że chce przedstawić uwarunkowaną przez czas odmienność przedmiotu, że kładzie wagę na odstęp w czasie dzielący go od nas, lecz jeszcze w czymś zupełnie innym, a mianowicie, że dopatruje się w nim znowu momentu historycznego rozwoju. To też, choć autor zapowiada, że wydobędzie to, co nowe z jego podłoża historycznego, nie mniej kontrast nie odegra tu żadnej poważnej roli. W ogólnym założeniu postępowanie jest zupełnie inne. Zamiast jasno i ostro uwydatnić przedmiot w jego dziwaczności, rozprawa okrąża go z wszystkich stron. Poczyna od szeroko ujętego środowiska jońskiego w jego geograficzno-historycznym obrazie z V wieku, od środowiska literackiego i historycznego w ściślejszym ujęciu. Potem przystępuje do samej analizy dzieła. Tutaj też zaczyna od strony zewnętrznej: od języka, stylu, dialektu, budowy zdania. Stąd dopiero sięga do ogólnej kompozycji. Poddaje badaniu skomplikowaną budowę dzieła, różnorodność składających się nań elementów; elementy te umieszcza znowu w ich literackim środowisku. Dla przeprowadzenia charakterystyki znachodzi tu także zastosowanie kontrast. Lecz jest on tylko środkiem, jednym z wielu, i nie nadaje tonu rozprawie. Spośród elementów dzieła wyłaniają się niektóre jako właściwe tylko Herodotowi, jako jego własne, oryginalne twory. W ten sposób powoli uwidaczniają się myśli przewodnie, które dzieło przy całej jego pstrej różnorodności wiążą w całość. Tą drogą rozprawa zbliża się z wszystkich stron do swojego punktu centralnego, do analizy światopoglądu religijnego i etyczno-metafizycznego, który prześwietla całość i jej pojedyncze części. Po czym badanie wraca znów do swego punktu wyjścia: do określenia ‘miejsca geometrycznego’ dzieła w dziejach ducha helleńskiego.

Nie można, wobec bogactwa ujęcia, zebrać po krótce wszystkich rezultatów. Dlatego ograniczę się tylko do właściwości metody. Wspomniałem poprzednio, że pod pewnymi względami zbliża się ona do ‘historycznej’; jednak nie stała się ona przez to ‘historyczną’. Na wstępie autor całkiem wyraźnie zaznacza wręcz przeciwną tendencję, z zastrzeżeniem

jednak, że chce uniknąć jednostronności. To też do pewnego stopnia udało się połączyć jedno z drugim: przedstawienie tego, co jest w przedmiocie jednorazowe i odrębne, i jego miejsca w pochodzie dziejów. Jednak antinomia, jaka tkwi w obu ujęciach nie da się całkowicie przezwyciężyć. Sposób przedstawienia jest tu bogatszy, barwniejszy i bardziej wielostronny niż w jakimś z dotąd przytoczonych pism, z których może praca T. v. Wilamowitza ma najwyraźniejsze oblicze. Daje on wgląd w dzieło bardziej zrozumiały, właśnie dzięki historycznemu ujęciu. Jednak wywołany obraz nie ma tak wyrazistych rysów, jak w niektórych innych rozprawach. Może właśnie dlatego jest on lepiej przykrojony do swego przedmiotu, który sam w sobie jest bujniejszy, różnorodniejszy i mniej surowy w zarysach, niż liryka Sapphony, lub dramat Aischylosa. Przy tym wszystkim jednak utrzymuje się antinomia obu sposobów ujęcia; dopiero oba razem oddają całą pełnię przedmiotu, a przecież nie pozwalają zjednoczyć się w jedną perspektywę.

Na tym moglibyśmy skończyć nasze rozważania. Pozwólmy jednak sobie rzucić spojrzenie na wpływ, jaki wywarł ten kierunek na inne dziedziny filologii poza interpretacją. Zaraz w jednym z pierwszych dzieł, gdzie nowa metoda występuje czysto i w całości, spotykamy się z próbą zdobycia sobie na tej drodze zupełnie nowych środków pomocniczych dla odtworzenia pisarza, po którego dziełach zachowały się przeważnie tylko anonymowe ślady w postaci wpływu na późniejszych. Już praca Hardera o *Somnium Scipionis* wykazuje, w jakim stopniu nowa metoda wychodzi na dobre także krytyce źródeł, która wyodrębnia cudze dobro z dzieła literackiego, jak przez to też może być dobitniej wypracowany charakter tego cudzego dobra. Stąd tylko krok, aby uchwycić osobistość autora, do którego ono przynależy.

W dziele Reinhardta o Poseidoniosie (Karl Reinhardt, *Poseidonios,* München 1921) spotykamy się z jeszcze śmielszą próbą. Autor podejmuje się dla Poseidoniosa „zdobyć rozpoznanie obrazu wewnętrznego autora na podstawie fragmentów jego dzieła i rozpoznanie fragmentów jego dzieła na podstawie odtworzonego już obrazu wewnętrznego autora". Nie trudno zauważyć, że to drugie jest o wiele trudniejsze niż to pierwsze. W pierwszym bowiem wypadku cho-

dzi o podporządkowanie pojedynczego urywka, którego ducha i istotę staramy się skreślić, jakiemuś znanemu już dziełu autora, przy czym często wystarczy środowisko literackie, do którego on przynależy, o ile nie można wskazać z zupełną pewnością właściwego autora. Tu natomiast na podstawie obrazu, jakie niektóre z zachowanych części pozwoliły wytworzyć sobie o całości, trzeba odszukać brakujące, co znowu modyfikuje i wywołuje trwałe zmiany w obrazie całości, tak że każdy błąd może mieć nieprzewidziane następstwa w dalszej pracy badawczej. Jeżeli mimo to próba Reinhardta wypadła znakomicie, tłumaczy się to pewnym specyficznym i rzadkim w tej postaci, a może raz tylko spotkanym uzdolnieniem, przede wszystkim jednak umiarem i samokrytyką, do której ucieka on się w każdym wypadku. O tyle jest ta książka przykładem, jak daleko śmiała metoda może zaprowadzić; gdyż musimy się zastrzec, że nie można jej przenosić tak, jak jest. Bo nie ma nic gorszego, jak przekonanie o absolutnej stosowalności takiej metody, która raczej często, przenoszona bez zmian na przedmiot tylko nieznacznie różniący się, doprowadza do fałszywych wyników. Najważniejsze jest zdać sobie sprawę, że istnieje coś wspólnego w metodach, ale nie wspólna metoda, która da się wszędzie zastosować.

Pozostaje wreszcie pytanie, co stanowi dla nas istotę różnych metod i celów, do których mają one prowadzić. Zasadnicze możliwości, o ile one dotyczą naszego przedmiotu, były następujące: z punktu widzenia historycznego można albo ująć przedmiot jako nie dającą się nigdy w zupełności odgraniczyć falę w nurcie czasu, albo wydzielić go w jego całej odrębności, która wprawdzie jest uwarunkowana epoką, jednak ostro odcina się od jej historycznego środowiska. Dopiero oba podejścia ujmują przedmiot w całości, nie dadzą się jednak całkowicie zjednoczyć. Odmienne od tego, choć w najrozmaitszy sposób z tym związane są możliwości ujęcia przedmiotu w odniesieniu do nas. Istnieje możliwość przybliżenia i uczynienia przedmiotu zrozumiałym, co go wprawdzie na pozór bezpośrednio udostępnia, lecz w najlepszym wypadku daje tylko okruchy z jego właściwej istoty. Można też oddalić przedmiot, ukazać go w całej jego obcości. Utrudnia to dostęp, ale, mimo że nie pozwala nigdy dotknąć przedmiotu, pokazuje go przynajmniej zdala całkowitym w je-

go jednolitości. Istnieje wreszcie możliwość wtłoczenia w przedmiot własnego ideału, przy czym zawsze coś zostanie z przedmiotu. To postępowanie może najbardziej zbliża się do historyzmu, choćby nawet jego zwolennicy jak najgoręcej temu zaprzeczali. O ile by ktoś zapytał o sens tych metod, trudno byłoby zdobyć się na prostą odpowiedź ze stanowiska 'obiektywnej' nauki. Poznanie, które chce dojść do przedmiotu w jego obcości, musi przecież dokonać tego naszymi środkami ekspresji i naodwrót nauka, która chce go nam przybliżyć, stara się zachować jego odrębność. Nie ma też jakiegoś ogólnego poglądu, który jedynie jest słuszny. Okres historyzmu w swojej najwłaściwszej dziedzinie, w analizie historyków i w ścisłym przedstawieniu pochodu związanych z nim wypadków, doszedł do tak dużych wyników, jakich nie osiągnęła dotąd nowa metoda, i kto wie, czy jest to możliwe przy jej założeniach, Dochodzi do tego fakt, że antyk nie był nigdy przedmiotem jak inne, lecz zawsze domagał się dla siebie stanowiska wyjątkowego.

Tu znowu wyłania się problem humanizmu. Pierwszy humanizm, prototyp tego wszystkiego, co odtąd nosiło tę nazwę, przejawił się w ustosunkowaniu się kultury rzymskiej do hellenizmu. Po raz pierwszy spotykamy się tutaj z niegreckim pojęciem *humanitas*. W związku z tym pojawiło się jednak po raz pierwszy to, co by można określić κατ' ἐξοχήν jako 'surową formę'. Nie jest to owa dojrzała i w pewnym sensie też 'surowa' forma, która wyrasta w szczytowym punkcie kultury wraz z jej najbogatszą i najpełniejszą treścią i która potem znowu ulega rozsadzeniu. Jest to raczej zupełnie co innego: surowa forma wtłoczona poprzednio już istniejącej treści. Tak powstaje 'forma klasyczna', w której aspiracje na *aere perennius* przedstawiają coś specyficznie rzymskiego, wykraczającego poza to zagadnienie. Jest to zjawisko bardzo skomplikowane i bardzo niegreckie, bo Grecy nie znają przeciwieństwa formy i treści. Lecz następstwa tego postępowania są niedoocenienia. Ostatecznie do tego się sprowadza cała zachodnia cywilizacja. W niej to niegdyś tak sztywna forma układała się coraz naturalniej w szatę całego życia i całej działalności artystycznej, chociaż właśnie w krajach romańskich utrzymało się bardzo żywe poczucie, że ta cywilizacja opiera się na świadomie przybranych formach. Tym się

tłumaczy, dlaczego tutaj związek z rzymskim antykiem jest o wiele mocniejszy niż z greckim. Dlatego też humanizm u nich jest zawsze w pewnym sensie renesansem.

Niemiecki humanizm nie był nigdy renesansem. Rozprawa między północną formą a surowością klasyczną miała tu swój przebieg w postaci rozprawy z południem, podczas gdy ten humanizm, którego ośrodkiem była greckość, miał zrazu zupełnie inną treść. Dopiero wraz z klasycznością nastąpiło również odnośnie do greckiego antyku owe przeciwieństwo między surową formą i tym, co wobec niej łatwo wyda się brakiem formy. Powtarza się tu teraz w spotęgowanej mierze ten proces, który dawał się zauważyć w rzymskim humaniźmie. Nawet możliwe jest tutaj sąsiedztwo dwu poezji w twórczości jednego poety, jak *Faust* i *Iphigeneia*, na co nie ma żadnej analogii w literaturze rzymskiej.

Uprzywilejowane stanowisko greckiej kultury wobec rzymskiej umacniało się w dalszym ciągu coraz bardziej. O ile było to tylko powtórzeniem zjawiska, jakie miało miejsce po raz pierwszy przy zetknięciu się Rzymian z Grekami, to słuszny jest zarzut narodów romańskich, że tylko przez upór nie chcemy tam sięgnąć, gdzie znajdziemy to samo łatwiej dostępne i w bliższej nam formie. Lecz sytuacja wyjaśniła się od czasów klasyczności właśnie przez zwrócenie na nowo uwagi na Rzymian. Zwrot ku hellenizmowi jest czymś zbyt pierwotnym i zbyt silnym, żeby można to było wyjaśnić tylko uporem. Zarazem dochodzimy do coraz jaśniejszego zrozumienia, że z hellenizmem łączy nas nie tylko tradycja pochodzenia naszej kultury. Właśnie w rozstępie tego, co w greckiej kulturze jest nam pokrewne i co biegunowo obce, mieści się najwięcej płodnego dla nas elementu. To znalazło może bardziej swój wyraz w nowej metodzie, tam gdzie ona omal nie uświadamia sobie tego, niż w nowym humaniźmie. Ostateczne rozstrzygnięcie, co dla każdego w helleniźmie ma swą doniosłość, pozostanie w każdym razie osobiste. Lecz fakt, że nowy pogląd powstał sam ze siebie, zupełnie bez programu, szkoły, 'prądu', wskazuje na to, że nie jest on tworem sztucznie wyhodowanym. tłum. I. P.

RYSZARD GANSZYNIEC

KOMENTARZ SZKOLNY DO AUTORÓW KLASYCZNYCH

(Dokończenie)

Podręczniki te mają swą wartość — jako usystematyzowanie wiadomości sporadycznie spotykanych w ciągu lektury, jako wprowadzenie w dzieje kultury starożytnej. Zresztą jako pomoc interpretacyjna zawodziłyby zazwyczaj, gdyż systematyczny ich wykład nie uwzględnia i nie może uwzględniać w swej elementarności owych szczegółowych wypadków, wspomnianych w tekście autorów.

W sumie chodzi mi o zerwanie z fikcją Programu i praktyki dydaktycznej. Nie ma sensu mówić dalej o 'humanizmie', gdzie go zupełnie nie ma i prawdopodobnie nigdy nie było — nasze gimnazjum jest romantyczno-utylitarne, i nie różni się w tym od osławionego 'gimnazjum' tapicerskiego czy zabawkarskiego. Nie ma sensu mówić o 'filologii' tam, gdzie jej nie ma i wobec wymiaru godzin, wieku uczniów i prymitywności programu też być nie może. Przecież z trudem uprawiamy 'filologię' na uniwersytecie. Chodzi wreszcie o rezolutne uświadomienie sobie, że istnieją — jak to na początku swych uwag zaznaczyłem — trzy sposoby interpretacji autorów różne zasadniczo, nie tylko poziomem, i że szkoła nasza powinna i może korzystać tylko z elementarnej interpretacji, tj. przejąć w formie gotowej 'wiadomości', okruchy erudycji, ciekawostki. Systematyczny wykład 'filologiczny' rozsypuje się mimo wielkiej pozornej wspaniałości także w kupę wiadomości. Z faktem tym musi się liczyć komentarz i stąd jego charakter dogmatyczny — zestawienie jasno sformułowanych wyników nauki i interpretacyj.

Brzmi to bardzo pesymistycznie — ale pesymizm ten jest tylko pozorny. Bo szkole dostępny jest jeszcze jeden rodzaj interpretacji — najwyższy jej rodzaj, interpretacja syntetyczna, intuicyjna. O niej nasze rozprawy o preparacji nie mówią, bo jej nie znają; dla nich co najwyżej istnieje 'systematyka', naturalnie pojęta jako metoda filologiczna, a tę uważa się za 'syntezę'. To jest głębokie nieporozumienie, bo właśnie ona jest analizą, a w interpretacji autora wiedzie nas wszędzie, tylko nie tam, dokąd zmierzamy: do autora i jego zrozumienia. Niewątpliwie w wysokim stopniu bawi uczniów zbieranie i zestawienie wiadomości (może metodą kartotekową,

proponowaną przez p. Applówną, Przegląd Klas. 1938, s. 303 nn.). Nauczyciel wykorzystuje tu pęd do kolekcjonerstwa, szczególnie żywy w wieku młodzieńczym. Metoda ta posiada napewno duże zalety wychowawcze (uczy wytrwałości i porządku, systematyczności itd.): ale nie przyczynia się bezpośrednio do zrozumienia tekstu, a raczej przeszkadza, gdyż koncentruje całą uwagę i cały wysiłek na polu intelektualnym, erudycyjnym. Powinniśmy pamiętać, iż to tylko jeden odcinek, a z punktu widzenia humanistycznego nawet nie najważniejszy. Zawsze mię uderzała w moich studiach nad historią filologii jedna okoliczność: mian. ojcowie humanizmu, jak Petrarca, Boccaccio, Coluccio Salutato (nie mówiąc o Cola di Rienzi) mają bardzo, bardzo skromny zasób wiedzy o starożytności klasycznej, i nawet ich łacina niewiele się różni od średniowiecznej i daleko jej do elegancji Filelfa czy Erasmusa. Absolwent naszego gimnazjum wie więcej i wie to lepiej. A jednak — jednak przewyższają tamci nieskończenie, już nie mówię naszych uczniów, ale też naszych zawodowych filologów. Na czym polega ta ich wyższość? Dawniej sądziłem, że tylko entuzjazm ich, owo żywe przejęcie się ideałem dzieli ich od nas, którzy więcej głową niż sercem lgniemy do starożytności. Dziś wiem, że prócz tego ognia istniał jeszcze jeden czynnik: intuicja, która im zastąpiła syntezę. Mieli oni nie tylko zapał, ale też wizję starożytności, poczucie organiczności. Każda wiadomość była dla nich ‘członkiem’, cząstką żywego organizmu; widzieli czy wyczuwali jej znaczenie i funkcję. Nie suma tych wiadomości sugerowała im tę wizję, ten obraz starożytności, lecz istniał on p r z e d tymi wiadomościami; wiadomości spełniały tylko rolę jakiegoś correctivum, tzn. konkretyzowały pewne rysy, lub też poprawiały mylne wyobrażenia. Nie było to nawet czymś dodatnim, jakąś korzyścią. Bo ewolucja humanizmu wskazuje, że im więcej wiedziano, im bardziej konkretyzowała się wizja świętej starożytności aż do najdrobniejszych szczegółów, tym bardziej zanikał nadziemski jej urok. Tak samo mozaika, zdala oglądana wydaje się nam piękna, dopóki nie podejdziemy zbyt blisko, póki dotknięciem palców nie wyczujemy poszczególnych kamyczków, póki nie pryśnie czar sztuki pod wrażeniem prymitywizmu techniki. — Sam obraz starożytności skurczył się z czasem, a w miarę specjalizacji zadawalano się nawet

drobnym tylko jego wycinkiem. Szkoła nasza żyje pod mirażem, że w cierpliwej i konsekwentnej pracy, dokładając wiadomostkę do wiadomostki, kamyczek po kamyczku, potrafi odtworzyć obraz starożytności. Byłoby dobrze wyzbyć się tego złudzenia czym prędzej. Szkoła wychowuje tylko rzemieślnika — może nawet inteligentnego. Rzemieślnik-ślusarz czy tapicer przydaje się nam w życiu — rzemieślnik-filolog zaś jest umysłowym pendantem do specjalisty-zabawkarza, jest paradoxografem, który w najlepszym razie potrafi zapełnić kącik felietonowy gazety w rubryce: 'Czy wiecie, że...'.

Bo to jest romantyczne, utylitarne pojmowanie starożytności, syntetyczne zaś jest pojmowanie humanistyczne. Opiera się ono na intuicji, na entuzjazmie. Jedno i drugie rozbudzić można u dziecka już 5-letniego — na to nie trzeba ani wieku dojrzałego, ani specjalnego zasobu wiadomości. Wiadomości i erudycja są dla syntetyka tylko dodatkową, przy tym w zasadzie zbyteczną, substrukturą logiczną i intelektualną poglądów apriorycznych — więc indukcją, potwierdzającą, później podtrzymującą dedukcję, intuicję, syntezę. Synteza jest szkole dostępna, i to od pierwszej lekcji łaciny. Ale sama jest ogniem i światłem — źródłem jej jest więc także światło i ogień. Najlepiej jeśli nauczyciel udziela tego światła i ognia z własnego serca, z własnej światłości.

Jaka wobec tego zagadnienia może być rola komentarza? Bardzo nikła, niewątpliwie, ale conajmniej może wskazać ten cel. Stoję tu w zdecydowanej sprzeczności z dotychczasowymi dydaktykami, których sumę mądrości podaje Schächterówna (Kwart. Klas. 1927, s. 297). Dydaktycy stoją na gruncie konsekwentnej indukcji, uważając cały materiał erudycyjny za 'przesłanki, których konkluzją ma być utwór', i żądają, by uczeń możliwie samodzielnie przesłanki te wyczytał z tekstu, że podanie tła utworu nie powinno być wykładem, a raczej przypomnieniem pewnych wiadomości. Stanowczo potępiają też podanie streszczenia i syntezy utworu przed lekturą — zniweczyłyby one ś. p. heurezę; z tego samego powodu „szczegóły z życia autora niekoniecznie mają być podane już przed rozpoczęciem lektury", gdyż „u niektórych autorów można je pięknie wyczytać z odpowiednio ułożonej lektury", „omówienie dzieł autora nie powinno wyprzedzać lektury, lecz być raczej jej zamknięciem" itd. Wszyst-

ko to jest niewątpliwie logiczne, składne i mądre, lecz jedynie wówczas miałoby rację metodyczną, gdyby chodziło o studentów filologii. Wiem, że mam przeciwko sobie i dydaktykę i psychologię, na której rzekomo dydaktyka się opiera. Mimo to — choć ani jednej godziny dotąd nie uczyłem dzieci — mam najgłębsze przeświadczenie, że metoda ta i dydaktyka stoi na mylnych przesłankach, i operuje ‘psychologią wulgarną’, przenosząc na dzieci, stawiające pierwsze kroki, psychologię dorosłych, zwłaszcza cały kompleks przyczynowości, wnioskowania, indukcji. Nie liczymy się zupełnie z anamnestycznym charakterem nauki i z faktem, że to, co uważamy za wynik i konkluzję, jest często tylko potwierdzeniem naszych poglądów, substrukcją logiczną naszych intuicyj i wizyj.

Innymi słowy, o rozbudzenie tych wizyj i intuicyj, o rozbudzenie entuzjazmu (ale nie ‘słomianego ognia’) powinno nam iść w pierwszym rzędzie. A rozbudzić go można właśnie tylko przynętą w formie udostępnienia gotowych syntez czy to w formie bezpośredniego wykładu profesora (przed którym tak przestrzegają nasi dydaktycy), czy też w formie wykładów drukowanych o życiu i utworach autora. W tym związku i komentarz może spełnić doniosłą rolę, jeżeli przyczyni się do uproszczenia ‘czarnej roboty’ przy czytaniu autorów, która niewątpliwie posiada duże wartości wychowawcze, ale w tym samym prawie stopniu pochłania siły, mogące służyć z większą korzyścią i wydajnością celowi centralnemu: zrozumieniu autora. Na syntetycznym rozumieniu ciąży klątwa ‘powierzchowności’, i dlatego dydaktycy zasadniczo wrogo wobec niego się ustosunkowują. A jednak powierzchowność staje się złem dopiero wtedy, kiedy się na niej poprzestaje; skoro zaś jest ona tylko wstępem i przynętą, nie widzę racji do zasadniczego jej zwalczania. Nie widzę więc powodu np., by nie dać uczniowi z góry *przed* lekturą utworu wiadomości o utworze, i wszystko, co może służyć nie tylko do wyrobienia sobie jakiegoś o nim pojęcia, ale też gotów byłbym dać czytelnikowi zamiast streszczenia utworu, wprowadzającego go raczej w problematykę kompozycji, sam przekład. Wszystko to działałoby jako przynęta i dałoby postawę ‘wyczekiwania’, zupełnie niewyzyskaną w naszym nauczaniu, a jednak tak bogatą w emocje psychiczne.

Nie ma obawy, że ta wstępna wiadomość przesądzi zrozumienie tekstu. Wyobrażenie bowiem, jakie wytwarza, mało wspólnego posiada z (analityczną) nauką, którą podaje czytanie i komentowanie oryginału. Zupełnie mylny jest pogląd — będący założeniem naszej powszechnej dydaktyki — że zrozumienie całości jest sumą znaczeń i interpretacji pojedynczych wyrazów. Wtedy tylko będzie rachunek mniej-więcej gładki, jeżeli jako nadrzędny sens przyjmiemy sens syntetyczny, kontrolowany szczegółowo na znaczeniu poszczególnych wyrazów. To znaczy innymi słowy, że pod pewnym względem odwraca się tradycyjną rolę poszczególnych części komentarza, gdyż dotychczas za 'syntezę' uważaliśmy poprostu — w sposób prymitywny i materialistyczny — 'zestawienie wyników' interpretacyjnych, więc pewnego rodzaju konstrukcję, a raczej (wobec ostatecznej fragmentaryczności wszelkiej interpretacji szczegółowej) rekonstrukcję. Tak postępuje uczony, i to po dłuższej zaprawie w metodzie naukowej. Przy tym nawet uczony, jeśli poprzestaje ściśle na tego rodzaju 'syntezie' jako zestawieniu wyników interpretacji, da tylko pracę rzemieślniczą, martwą w sobie i bezkształtną, pozbawioną duszy i urody. Ostatecznie i filolog, by ożywić ten twór komentowany, zaczerpnie ze swej fantazji i natchnienia i da syntezę, będącą czemś więcej i czemś innym, aniżeli suma wyników interpretacyjnych.

Winę tego bezdroża naszej dydaktyki widzę w fakcie, że w szkole mamy do czynienia z tekstem drukowanym, z tworem więc optycznym, a nie z mową (tj. tworem akustycznym). Dawniejsze wieki przeddrukarskie, kiedy książka jeszcze nie współzawodniczyła z żywym słowem, miały stanowczą wyższość nad naszą epoką: tekst żył w symbolach akustycznych. Sztuka głośnego czytania była dzięki temu bardziej powszechna, także powszechniejsza była sztuka słuchania, mowa i słuch były wysubtelnione. Już przez to samo, j a k czytano tekst przeznaczony do komentowania, przesądzono w zasadzie sens utworu, gdyż intonacja (owa 'krzywa akcentowa' zdania) narzucała pewną interpretację niezależną od znaczenia poszczególnych słów, a całość słuchowa wyczarowała pewną wizję, tak jak pierwsze spojrzenie na obraz daje nam zwykle już kwintesencję tego, do czego dochodzimy potem przy bardziej cierpliwym badaniu szczegółów. Filologia jeszcze nie wy-

korzystała niezmiernie dla nas doniosłych badań tzw. psychologii strukturalnej *(Gestaltpsychologie)*, która uczy o swoistym charakterze c a ł o ś c i dzieła, nie mającym nic wspólnego z charakterem części dzieła, gdyż suma tych części może być większa lub mniejsza niż całość, więc nie pokrywać się z całością. Wł. Witwicki nazywa taką całość 'układem spoistym', tak też za nim Nawroczyński. To więc, co dawniej dawało czytanie utworu, ów pierwszy syntetyczny obraz utworu, potwierdzony potem lub korygowany w szczegółowej interpretacji, transponuje komentarz — zgodnie z praktyką naszych czasów, operujących tekstem drukowanym — na drukowany wstęp do utworu, zastępujący ową wizję słuchową.

Kończę swe uwagi. Mam nadzieję, że udało mi się wykazać, że w niejednym zakazie dydaktyki naszej mamy nieuzasadnione, a czasem wręcz szkodliwe przesądy, w innych znów nakazach zbyt intelektualistyczne formułki, mające rację bytu w uniwersyteckim studium filologii, ale nie w gimnazjum. *Komentarz do pieśni Horatiusa* świadomie idzie przeciw tej dydaktyce przestarzałej i wskazuje drogę do nowego ujęcia, do nowej interpretacji dzieła literackiego. Szczególną uwagę zwraca przytem na czynniki irracjonalne, bądźto przeoczone, bądź też niedocenione: intelektualizm i metody naukowe powinny właśnie w gimnazjum występować w ciągłej i ścisłej koordynacji z syntetyzującymi, irracjonalnymi czynnikami.

Jan Kasprowicz, Wiatr gnie sieroce smreki.

Venti vis piceas opprimit orphanas,
imbres tamque fenestrae obstrepitant meae.
Tristi mente silenter
montium peragro nigra cacumina.

Caelum qua nitidum montibus eminet,
ad solis radios mens fugit aureos,
qua desideriosis
infinita patent aequora somniis.

Rupium silices praecipites simul
callesque horrida mens visitat arduos,
quo mysteria nobis
luctantur, nemini quae attribuit Deus.

Venti vis piceas opprimit orphanas,
densae dum nebulae cum pluviis ruunt.
Moles torpida, montes!
Heu desiderium et mentis amor meae!

JÓZEF BIRKENMAJER

Ovidius, Her. V. List Oinony do Parisa.

List mój przeczytasz?... Czy zlękniesz małżonki się nowej?... Przeczytaj!
To nie Mykenki Ci dłoń daje o sobie w nim znać.
Nie. Towarzyszka z frygijskiej dąbrowy, Oinone, Cię wita:
Skarży na druha się w nim (wolno wszak druhem Cię zwać?)
Jakiż to bóg swym skinieniem przekreślił moje życzenia?
Byłożby grzechem, że chcę z Tobą połączyć mój los?
Kornie znosiłabym brzemię zasłużonego cierpienia,
Lecz dla niewinnej ten ból nie do zniesienia już wprost.
Jeszcze nie byłeś tak ważny, gdy — córa bóstwa rzecznego,
Nympha — nazwałam Cię swym mężem, nie bacząc na ród,
Teraz — Tyś synem Priama, lecz wtedy — nie wstydźmy się tego! —
Byłeś w niewoli, a ja głód Twój dzieliłam i chłód.
Często pod drzewem, wśród trzód, spoczywaliśmy w cieniu ukryci,
Dywan z liści i traw ścielił pod nami się rad.
Często w ubogiej chatce, głęboko w słomę zaryci,
Drwiliśmy z zimna, gdy szron siwy wokoło się kładł.
Kto pokazywał Ci ścieżki ukryte w gąszczu — na łowach?
Kto legowiska, gdzie zwierz skalny z rodziną się krył?
Często plecioną sieć rozstawiałam ja z Tobą w parowach,
Często przez górską grań z psami pędziłam co sił.
Buki tamtejsze z Twej woli po mnie pamiątkę chowają:
Imię *Oinone* Twój nóż wyrył po wieczny już czas.
Rosną buki i z sobą imię me w górę dźwigają.
Wyżej rośnijcie i wzwyż sławę podnieście mą wraz!
Długo żyj, moja topolo, co szemrzesz nad rzeką z ukrycia!
Szorstka kora ma ten napis zachować po wiek:
'W dzień, gdy rzuciwszy Oinonę nie rzuci Paris i życia,
Fale Skamandros swe wstecz cofnie, zatrzyma ich bieg'.
Czemu więc zwlekasz, Skamandrze? Cofnijcie się fale z łoskotem!
Rzucił Oinonę swą już Paris, a przeżył to on!

Dniu ty złowieszczy! Od Ciebie zaczęły się moje kłopoty!
Zimę miłości, a z nią szczęścia zesłałeś mi zgon.
Hera z Kypridą i ta, co czcigodna w swej zbroi, Pallada,
Nago zgodziły się przyjść i na Twój wyrok się zdać.
Zadygotała mi z trwogi pierś, kiedyś to opowiadał,
Dreszcz zimny przeszył nawskroś członki: zaczęłam się chwiać...

Starców, zgrzybiałych staruszek radzę się zdjęta przestrachem:
Zgodnie twierdzili, że grzech, że niesłychany to grzech...

Sosny padają, rzną belki, okręty budują z rozmachem;
Lazur rozdarto: w głąb wód wdziera żeglarski się cech.
Z płaczem żegnałaś mię... nie przecz choć temu! Nie była zakałą
Dawna Twa miłość. To tej, raczej, dzisiejszej się wstydź!
Miły! Płakałeś prawdziwie, i ja razem z Tobą płakałam;
Smutek obojga przez łzy wspólne chciał w pamięć się wbić.
Jako wokoło wiązu latorośl się winna owija,
Tak wokół szyi mej splot mocnych Twych ramion się spiął.
Ileż to razy, gdyś mówił żeglarzom, że wiatr Ci nie sprzyja
Śmieli się z Ciebie — bo wiatr wtedy pomyślny wam dął.
Często — rozstawszy się ze mną — po świeżeś powracał uściski;
Z trudem wyszeptać mi mógł: 'Żegnaj!' złamany Twój głos.
Rozkołysały się żagle pod wiatru morskiego naciskiem,
Morze pobladło: to Twych wioseł uderzył w nie cios...
Pełnym rozpaczy wzrokiem goniłam Twój żagiel — aż ginąć
Zaczął mi z oczu... od łez zwilżył piaszczysty się brzeg.
'O Nereidy! — błagam — Szybko mu dajcie dopłynąć!'
Tak, — byś na szkodę mą mógł łodzi przyspieszyć swej bieg.
Modły więc moje sprawiły, żeś w cudze się dostał ramiona.
Gorze mi! Przydał się złej cudzołożnicy mój ślub!

W morze dalekie spogląda grobla przez los tam rzucona
(Dawnej góry to ślad: morski nie wchłonął jej grób).
Stałam tam na niej, gdy — nagle — Twych żagli poznaję kontury...
Wskoczyć do morza i wpław dotrzeć do Ciebie co sił
Już zamierzałam — gdy blask migocącej nad burtą purpury
Serce ugodził: nie Twój ubiór, wiedziałam, to był...
Zbliża się okręt pędzony wiatrem pomyślnym — przybija...
Z drżeniem spoglądam: skroś tłum błysła kobieca mi twarz.
Patrzę... o czemu, szalona, tak długo swe oczy tam wbijam?
Ona przy Tobie i... ach!... na swych kolanach ją masz!
Zrywam suknię i pierś tysiącem udręczam uderzeń.
W twarzy, wilgotnej od łez, ryję paznogciem swym ślad.
Jęk mój żałosny po stokach Świętej się Idy rozszerzył,
Tam — wśród życzliwych mi skał kryję rozpaczy swej jad.
Oby Helena cierpiała tak w roli przez męża rzuconej,
Straszny zadawszy mi ból, niechby odczuła go raz!

Teraz Ci miłe są te, co za Tobą przez morza iść skłonne,
Te, co małżeństwa się zrzec chcą dla zdobycia Twych łask.
Ale gdyś biedny był, gdyś — jako pasterz swej trzodzie przewodził,
Żoną biedaka się stać kto — prócz Oinony Twej — chciał?
Nie dbam o Twoje bogactwa — i pałac mię Twój nie obchodzi,
Wcale nie stoję, by Priam jedną z synowych mię zwał.

Zresztą... nie sądzę, by Priam się wzdragał być teściem najady.
Albo Hekabe... nie wstyd ja im przynoszę, lecz cześć.
Godnam być żoną monarchy i w rzędzie swych życzeń to kładę,
Dłoń moja warta, by chcieć berło królewskie w niej nieść.
Nie gardź mną za to, że z Tobą na liściach bukowych leżałam!
Bo i purpury ja Twej sobą nie shańbię, o nie!
Miłość jest moja bezpieczna: nie grozi Ci wojny nawała
Z mego powodu, ni w ślad flotę mściciele Ci śle.
Nie; to Heleny powrotu żądają orężnie wrogowie;
Z takim posagiem w Twój dom wchodzi i dumna zeń snać.

Brata Hektora zapytaj, czy wydać ją Grekom, niech powie!
Spytaj Deiphoba, a z nim Polydamasa się radź!
Co Ci poważny Antenor, co Priam doradzi, chciej zbadać:
Wszakże sędziwy jest wiek dobrym doradcą nam wciąż.
Hańbą jest — żonę porwaną nad dobro ojczyzny przekładać:
Rzecz ta przynosi Ci wstyd: słuszność w swym gniewie ma mąż.

I nie oczekuj wierności po Twojej Spartance Ty zgoła!
Nazbyt już szybko na lep Twoich uścisków mi szła!
Jak Menelaos o pomstę za łoże shańbione swe woła,
I jak boleje, że chuć żonę porwała mu zła,
Tak będziesz cierpiał i Ty. Bezpowrotną jest wstydu utrata:
Raz tylko traci się cześć, żaden nie zwróci jej cud.
Kocha cię? Czyż nie kochała tak samo Atreidy, do kata?!
Dziś łatwowierny ten mąż grzeje pościeli swej chłód.
Słodki jest los Andromachy — bo wierną została mężowi.
Szczęście Hektora i ja mogłam w małżeństwie Ci dać.
Ale Tyś lżejszy niż liść opuszczony przez soki, gotowy
Z suchym szelestem mknąć tam, dokąd wiatr zechce go gnać,
Mniej jeszcze ważysz niż kłos, gdy żar spali słońca go ostry:
Pustą głową swą pnie dumnie ku słońcu się kłos...

Wszystko to — pomnę — wróżyły mi niegdyś słowa Twej siostry:
Przepowiadała mi tak — czarny rozwiawszy swój włos:
'Biada! Co czynisz Oinone?! Nasiona powierzasz piaskowi?
Orzesz nadmorski brzeg? Nie trudź tym wołów Twych, nie!
Grecka jałówka tu płynie — na zgubę ojczyźnie, domowi,
Twoją — o strzeż się, o strzeż! Grecka jałówka tu mknie!
Ludzie! Dopóki jest czas, zatopcie okręt złowrogi!
Krew! Całe morze nam krwi wiezie trojańskiej tu... ach!'
Z krzykiem pobiegła... szaloną chwyciły służebne wpół drogi.
Stanął złocisty mi włos dębem — to zjeżył je strach.
Och, prorokinią aż nadto prawdziwą Tyś dla mnie być miała:
Grecka jałówka już — tak! — całą zajęła mi włość.

Wprawdzie jaśnieje urodą, lecz cudzołożną została
 Ta, co małżeńskich się bóstw zrzekła, gdy zjawił się gość.
Już ją i przedtem z ojczyzny Theseus (jeżeli pamiętam
 Zwał Theseusem się on) porwać na obcy miał ląd.
Czyżby ognisty i młody rodzinie ją zwrócił nietkniętą?...
 Pytasz, skąd czerpię tę wieść? Kocham cię, miły mój: stąd.
Powiesz mi: 'Siłą ją wziął', przykrywając jej winę słowami?
 Nazbyt już często, o wiesz, siłą pozwala się brać!
Mnie zaś, niewierny mój mężu, i teraz niewierność nie plami.
 Prawo do zdrady wszak sam mógłbyś najlepsze mi dać.
Próżno w cienistej dąbrowie Satyrów ród szybkonogi
 W chyżym pościgu mych łask dobić zuchwale się chciał.
Próżno i Pan, uwieńczywszy gałęzią świerkową swe rogi,
 Starał się o mnie wśród gór Idy olbrzymich i skał.
Próżno i lirnik przesławny, trojańskich ścian budowniczy,
 Miłość swą śpiewał mi, dar cenny złożywszy do rąk:
Jakie się rodzą na ziemi trawy, korzenie lecznicze,
 W mojej są władzy, ja wiem, jak nimi zwalniać od mąk.
Ach, gdybym znała ja zioła, co miłość uleczyć są zdolne!
 Sztuki znawczyni i tej sztuki nie przydał się czar.
Sam wynalazca jej, Phoib, w Thessalii pasł woły powolne,
 Z mego powodu, gdy czczej palił miłości go żar.
Pomoc tę, której niemocne zielone dać ziemi są płody,
 Której nie zdołał i bóg, Ty tylko możesz mi dać.
Możesz — i godnam jest jej: o nie gub niewinnej i młodej!
 W greckich szeregach jam w bój nie szła, by rzeź krwawą siać.
Ale jam Twoją, jak z Tobą w dni byłam chłopięcej przygody,
 Twoją po życia być kres pragnę, w wierności tej trwać.

tłum. STEFANIA WARSZAWSKA

Pieśń wagancka: Lauriger Horatius.

Horatiuszu, zdobny w laur, prawdę rzekłeś czystą:
mknie od wiatru szybciej czas i pożera wszystko.
Gdzie są ach puchary te słodsze ponad miody,
pocałunki, dziewcząt czar, dąsy, to znów zgody?

Rośnie pąk, rozkwita kwiat i dziewczę rozkwita,
lecz siwieje szpetnie już spragniony poeta.
Pocóż nieśmiertelność nam, poco sławne imię,
gdy nie możem wina pić, ni kochać cór ziemi?

przeł. TADEUSZ CHIGER

SPRAWOZDANIA

JULIA WIELEŻYNSKA

ASNYK — KLASYK

Asnyk to jeden z najczystszych klasyków w poezji polskiej. Nie przeto, że trafił na okres literacki zapatrzony w antyk: wtedy bowiem w ramy przewodniego kierunku mogą wchodzić i poeci o bynajmniej nie klasycznych talentach i duszach. On jest klasykiem 'samopas', na własną rękę, kiedy całe piśmiennictwo raczej się od antyku odwraca. Prawda, własnej wizji świata starożytnego nie stworzył; czuł go i kochał przeto, że w klasyczny kontur doskonale spływały najbliższe sercu Polaka prawdy i troski. A nawet więcej: z tego najpiękniejszego a ukochanego obrazu oddalony sympatią od własnych dni poeta uczynił symbol pewnych dążeń i ideałów. Z drugiej strony potrafił oba światy: swój i tamten, dostawić do siebie z mistrzostwem, szczelnie pod względem logicznym a ponętnie ze stanowiska artyzmu. Od razu podkreślmy we wczesnym *Śnie Grobów* Słowackiego, widzianego jako posąg grecki na piedestale, ze złotą harfą, z nogą opartą na liktorskim pęku, tuż nad dymiącym kraterem Wezuwiusza, albo powstańców, „leśnych kochanków płaczących dryad", przy czym sielski krajobraz polski, wierzby, modrzewie i omszałe krzyże, wychodzą w ślicznym malunku, mimo potrącania raz po raz o tak im dalekich Amphionów, gladiatorów, Najady. Co nieomylnie rzuca się w oczy w obcowaniu z Asnykiem, to słownik zagarniający stale pewne wyobrażenia i imiona mitologiczne: Dryady, Fauny, Saturna, pożercę własnych dzieci, Proteusa, Niobe. Najadę spotykamy nawet w Tatrach, gdzie autor publicznie wyparł się przyborów romantycznej Muzy i klasycznego kothurnu [1]).

---

[1]) Możnaby ten punkt rozwinąć w studium o stylu Asnyka. Wymagałyby w nim omówienia i utwory żartobliwe, jak np. *Napad na Parnas* lub *Na przedpieklu*, satyry na najbliższe poecie stosunki, ubrane z wdziękiem, lekkością i dowcipem w szatę grecką, i takie, zwłaszcza

Wejdziemy w ten świat. Poeta charakteryzując się sam, jako jedno z pierwszych określeń daje: „greckiego piękna kochanek“ [2]). Poważniejszych studiów klasycznych nie przeszedł; w Kaliszu kończył szkołę realną, następnie jednak uczył się łaciny. Jeden z chłopięcych jego wierszy (1853) skreślony jest na zeszycie z ćwiczeniami łacińskimi. Z łaciną zbliżył się w Warszawie, w czasie niedoprowadzonych do mety studiów medycznych. Dowodem znajomości i zamiłowania są dwa przekłady z Horacego (ody II 3 *Ad Q. Dellium* i IV 1 *Ad Venerem,* które spod polskiego pióra wyszły wykwintnie w formie i nieskazitelnie w spadku rytmicznym. Z greką mniej był obeznany. Podczas przygotowywania odczytu o Antigonie (Kraków w lutym 1874) dwukrotnie pisze ojcu, że miał z nią „dość pracy, szczególniej... tłomaczenie niektórych ustępów tekstu greckiego kosztowało mnie dużo mozołu, tem więcej, że nie jestem wcale biegły w greczyźnie“. Przekład tych paru urywków nie odznacza się szczególnymi zaletami i ustępuje wspomnianym przed chwilą łacińskim, chociaż w zainteresowaniu i wpływie na duszę Asnyka klasycyzm to prawie niepodzielnie Grecja.

Stanisław Krzemiński, najbliższy przyjaciel jeszcze od lat warszawskich, jedyny który zostawił sylwetkę Asnyka z epoki przedpisarskiej, kreśli ciekawe dane. „W rozmowach okazywał przyszły autor *Poezyj* wielkie zamiłowanie starożytności. Czarowali go prorocy biblijni, pociągali Gracchowie. Z wielkich poetów naszych Słowacki dawał mu najsilniejsze wzruszenia. Znajomością Encyklopedystów — prawda, że wobec ubogich w wiedzę — poeta-medyk celował. Ciążenie ku mistycyzmowi już wcześnie w jego duszy wystąpiło. Z drugiej ręki znał Svedenborga, cuda Apolonjusza z Tjany podziw w nim wzbudzały, wierzył nawet w moc ducha, urabiającą dowoli naturę przestrzeniową. Już w r. 1859 głąb

---

późne, w których już doszczętnie rozwiedziony z romantyzmem, daje atmosferę lub obrazowanie klasyczne, jak np. *Złoty cielec, Szkic do spółczesnego obrazu* itp. Należałoby rozszerzyć wspomniane tutaj stałe nawroty pewnych figur dla danych zjawisk czy pojęć. Wraca po wiele razy *Bachantka:* uosobienie materializmu filozoficznego i życiowego, a nawet pozytywizmu, który prowadzi do używania życiowego przez to, że odjął idealizm i poezję światopoglądowi swoich zwolenników itd.

[2]) *Bezimiennemu.*

duszy zalegał mu smutek, podsycany rozmiłowaniem się w prorokach judzkich i w mistycyzmie".

Z tylu zadatków, sposobnych do rozwinięcia, kto wie, któremu przypadłoby przodownictwo, któryby zawiądł, gdyby nie okoliczności historyczne: powstanie, klęska, emigracja, diametralna zmiana biegu przewidywanej linii życiowej. Zdawałoby się, że wzorem tułactwa po pierwszym powstaniu, nad nim, zrozpaczonym, rozświeci się lampa myśli mesjanicznej, tak snadnie znajdująca paliwo we wrosłym już w duszę mistycyzmie. Stało się inaczej, a stało przeto, że nowicjat poetycki wypadł Asnykowi na ziemi klasycznej, we Włoszech. Rozstrzygnęło to z miejsca i na zawsze o kierunku przyszłych dróg i przy głównym ognisku twórczym umocniło inne rysy tej bogatej natury. Mistycyzm, nasycany przed powstaniem przez wpływy romantyczne, zacichał, szczelinami chyba mógł przenikać do zwarcie budującego się światopoglądu i raczej ustawił się przy jego najdalszej rogatce, albo jak obręcz idealizmu okolił asnykowski obraz bytu, solidną architekturę, wyrosłą na terenie przyrodoznawstwa.

Ale to nie wchodzi na karty niniejszego szkicu. Złamany na duchu, zagrożony lekarską przepowiednią niedługiego życia, na skutek nalegań rodziców znalazł się Asnyk jesienią 64-go r. w Neapolu. Rada była zbawienna. Nie tylko zadźwięknął po kilku latach na nowo, a dla społeczeństwa polskiego po raz pierwszy głos poetycki wygnańca, lecz dusza jego rzuciła się z namiętnością w marzony zdaleka a teraz cudownie udostępniony świat — w antyk.

Zachwycałeś się wtedy nad każdą ruiną,
Nad złamaną kolumną, posągiem, mozaiką,
Odtwarzałeś postacie, co w mgle wieków giną,
I wypełniałeś gruzy legendą lub bajką.

. . . .

Już to przyznaj, że strasznie byłeś zapalonym
Do tych starych rupieci.

(Gałązka Heliotropu).

W rzeczy samej zastanawia nas, że uwaga Asnyka we W ł o s z e c h ani razu nie potrąca o W ł o c h y. Istnieje dla niego li-tylko starożytność, a właściwie, z rzadkimi odstępstwami, zawsze Grecja. Nad Włochami: krajobrazem, dzisiejszością

polityczną i twórczą — wieje pustką [3]). Już najpierwszy wiersz *Podróżni,* na zatokę neapolitańską tyle tylko patrzy i tyle z niej widzi, ile może polskim żałobnikom pokazać ziemia, na której „za zgasłym promieniem tonie tłum zatraconych mar". *W Zatoce Baja* mary te skuszone przybyciem „odźwiernych grobowców", wypływają przed wzrok poety tak gęsto, że na powierzchni dwunastu sześciowierszowych zwrotek spotykają powstańców Lary rodzinne w świątyni Serapisa, i kapłani słońca, i Sibylla Kumejska, która sądzi, że spadł drugi Atilla, albo że znowu mordują Caesara, i Diana, i Niobidy i sama Niobe i Hekate i straszydła Erebu i widok brzegów Acheronu. Więcej nie czułby się w obowiązku pokazać czystej wody pseudoklasyk, a przecie Asnyk, zapytany o legitymację poetycką, napewno określiłby się i tu na południu i jeszcze znacznie później jako r o m a n t y k.

Najmocniejszym wrażeniem w czasie pierwszego pobytu w Neapolu było bezspornie Museo Nazionale, w nim zaś rzeźba grecka. Jestem pewna, że Aphrodite, uwielbiona, jako upostaciowane zaranie piękna i cywilizacji, trwała przy nim przez wspomnienie dwu cudnych Vener neapolitańskich: Kal-

---

[3]) Asnyk Grecji nie znał. W liście do ojca z Krakowa, datowanym 30 grudnia 1872 r. widać, że planował podróż i że ojciec musiał go namawiać: „Co do dalszych zamiarów muszę przeprosić najserdeczniej Ojczulka, że nie przyprowadzę do skutku podróży do Grecji, albowiem wiele przyczyn na to się składa". Włochy były dla niego jedynym zetknięciem się z Helladą. Materiał możnaby rozszerzyć korespondencją poety. Jest pewna liczba jego listów z Rzymu, Neapolu i Sycylii, z różnych lat i do rozmaitych osób. Opisy jakie dają, są dość powierzchowne i zdawkowe, mimo że wyraźnie poeta podkreśla, iż żyje w jednym zachwycie i zainteresowaniu. Obojętność w stosunku do samych Włoch jest prawie niezrozumiała. Nie ma śladu uwagi dla ich walki wyzwoleńczej, co tym bardziej dziwi u Asnyka, zapalonego wielbiciela Garibaldiego (a niewątpliwie i Mazziniego). Z pierwszym z nich przecie, razem z kolegami, wymienił pełne wzajemnych uczuć telegramy. Tymczasem nie ma ani jednego
mienił pełne wzajemnych uczuć telegramy. Tymczasem nie ma ani jednego wyrazu o sprawie narodowej włoskiej, tak za pobytu neapolitańskiego, jak w r. 1872, kiedy poeta bawił pierwszy raz w świeżo uwolnionym Rzymie i poznał go jako nową stolicę zjednoczonego państwa. O literaturze włoskiej wogóle u Asnyka poza Dantem, Petrarcą i Brunem niema ani jednego odezwania. A poezja, która we Włoszech kwitła za czasów Asnyka, powinna by być bliska jego uczuciom, a nawet przykuć uwagę pewnymi wyraźnymi podobieństwami przekonaniowymi. Włochy zadźwiękły parokrotnie tylko w liryce miłosnej.

lipigos i Venere Capuana czyli Vincitrice. Tu napewno zamieszkał na zawsze jego myśl, aby nie tylko wracać w natchnieniach, ale wyrosnąć w wymowny symbol, potężny Herakles farnezyjski. Tu zachwycił się i wziął w duszę obraz Narcyza, Fauna itd. Atoli najważniejsza, zasadnicza, a nawet decydująca o twórczości była przyjaźń zawarta z uroczą dziewczęcą postacią, zakatalogowaną jako Psyche Praxitelesa [4]). Od niej zaczyna się naprawdę wielka ideowa poezja Asnyka.

W długim sam na sam z dziewczęcą Psyche możemy odrazu nawiązać znajomość z tak dobrze później znaną historiozofią Asnyka. Jeden z pierwszych jego wysiłków twórczych w tej chwili rozkłębił się w długi sznur i idzie przez wielowiecza, od rozbrzasków kultury, skroś wszystkie epoki, po dzisiejszość; brak mu tylko trzeciego człona: przyszłości, najważniejszego, stanowiącego o równowadze i celu wszech spraw. Ale przyszłość to dopiero późna zdobycz poety [5]).

Myśl Asnyka, jeszcze nie wydyscyplinowana, trochę tu kołuje i nawraca. Po obrazie pra-początków, nad którymi widać kierowniczą rękę Hesioda, zejściem od kolosalności i boju żywiołów do pierwszego wdzięku i umiaru było zjawienie się Aphrodity. Między nią a Psyche poeta czuje ścisły związek, Anadiomene to niejako jutrzenka przed porankiem duchowego życia. Ona przywiodła za sobą „dziecięcą Psyche“, d z i e c i ę c ą nie w znaczeniu, że Asnyk miał tu przed oczyma myśli przecudną parkę kapitolińską, ją i Erosa, lecz w znaczeniu budzącej się do bytu duchowości człowieka. Trzymała się ona oburącz ciała, była naiwnym poczuciem fizycznego piękna i powabu, poddawaniem się poezji miłości, niewinnej, choć niewątpliwie w naszym rozumieniu czysto zmysłowej. Asnyk hołdował zasadzie wywodzenia sztuki od erotyzmu. Traktuje go zresztą, zgodnie ze swoją subtelną, jak często określano ‘kobiecą’ naturą, w sposób nadzwyczaj delikatny i rzeczywiście pięknie. Krasa, sztuka, spłyną się w jego wyobraźni z urokiem dziewiczego ciała, marmury rzeźb bielą się przed nim czarem słodkiego spokoju i ciszy miłosnej. Psyche odrazu podbija go tym, że taka cicha i zadumana. Taksamo

---

[4]) *Odłamowi Psyche Praxytelesa.* Neapol 1864.

[5]) Takie właśnie marsze poezji wzdłuż historii były rysem znamiennym literatury, którą wtedy żyły całe Włochy: takimi wiekowymi kory-

mniej więcej wygląda jej uczucie, jak pierwsze nieśmiałe odezwanie się miłości w wiośnie ludzkiego życia[6]).

Jeżeli jesteśmy w tym wierszu świadkami narodzin plastyki: „wiecznej rozkoszy pragnienia, co ciała w jasne posągi zamienia", jeżeli w naszych oczach „życie zlało w poematu całość szlachetny kontur z ciepłem namiętności", to o początku poezji dowiemy się dopiero znacznie później w *Dziejach piosenki* (1878). Źródło jej biło tam gdzie i rzeźby:

Narodziła się w duszy poety
W łez mroku,
Wywołana miłością kobiety,
Jako tęcza na marzeń obłoku,
Śpiewnych dźwięków odziana sukienką,
Drgnieniem serca dobyta z nicości
Przyszła na świat naiwną piosenką Miłości.

I jej ojczyzną była także Grecja, skoro odrazu „przedrzeźniali ją Faunowie leśni, a płoche Nimfy wtórzyły jej śmiechem". Ostatnia zwrotka *Dziejów* nie tylko przyświadcza wieczności „tęczy zrodzonej na obłoku marzeń Hellady", ale wpada w ton *Psyche* i podkreśla znowu czarowną dziecięcość:

Jednak pieśń ta, starodawna, grecka,
Wciąż wraca!
Nieśmiertelnym swym uśmiechem dziecka
Chmurne niebo nad ziemią wyzłaca —
Wraca z każdą serc i wieków wiosną,
Pełna dziwnej, niepożytej siły,
I roztacza wkoło woń miłosną
Z mogiły.

W *Psyche* brak jeszcze tej klarowności rysunku wypowiedzianego słowem, domyślamy się raczej niż dowiadujemy, że poezja przyszła w ślad za rzeźbą („za każdym nowym kwiatem, co się wcielił, miłosnych legend powiewały wonie"), poezja jest

---

tami płyną Foscola *Groby* i *Gracje,* Leopardiego *Do Angela Mai* i inne, Carducciego *Ody barbarzyńskie.* Asnyk rozwinął swoją wstęgę obok powiewających dokoła niego wstąg włoskich. A jednak nie ma u niego najmniejszego śladu, nie tylko wpływu, lecz nawet znajomości współczesnych poetów Włochów. Wszelkie próby spinania, mimo że kuszące, są w najwyższym stopniu lekkomyślne i nieodpowiedzialne. Asnyk znał tylko Dantego, ale napewno już i przedtem, przez nasz romantyzm, głównie przez Słowackiego. Przypuszczalnie zajął się nim bliżej za dalszych pobytów, może nawet w Polsce. Przekład *Piekła,* tak jak i tłumaczenia Petrarki i Bruna noszą daty późniejsze.

[6]) Por. sonet *Pierwsze uczucia to kwiaty wiosenne* itd.

tedy niejako wtórna w stosunku do plastyki. W innym miejscu zdaje się majaczyć pogląd, że epos był wyrazem ery Uranidów (tak występują w *Psyche),* olbrzymów; liryka zakwitła już po objawieniu się Aphrodity.

Nastała jednak chwila, kiedy człowiek wyczuł, że samo ciało nie sączy dość zachwytów. Postąpił krok dalej. Dziecięca bogini duszy zaczęła rzucać świeże blaski na kraterach wygasłych pożądań, teraz naprawdę zazłocił się dzień jej władzy. „Psyche! tyś, przyszła kończyć dzień stworzenia“ — mówi tu już z dojrzałym artyzmem Asnyk:

Dziejowych zjawisk bezładne wyskoki,
Co się być zdają męką i rozruchem,
Zszeregowałaś w jeden nurt głęboki.

Ład i logika są dziełem ducha. Ale zrobiła jeszcze więcej: poplątane arabeski cudu ujęła w myślący porządek ethosu.

Ta pierwsza wielka rewolucja dziejowa dokonała się w Grecji. A potem już szczebel wyrastał nad szczeblem w kolejności, która tak nieomylnie znamionuje Asnyka: chwała i wolność, bohaterstwo w obronie ojczyzny, cnoty obywatelskie, a jeszcze wyżej Sokrates, który bogi postawił w zarzucie, i Platon, ideał najwyższego człowieczeństwa, niemal przesłonecznienie. Zczasem po tych samych szczeblach jak bluszcz opnie się *Oda* naszego poety: skala rośnięcia miłości od zmysłowego uroku po posłannictwo wszechludzkiej idei.

Nie ziścił się tylko ostatni dar: uczynienie najwyższego dobra powszechnym. Prawda, królestwo ducha nawet cichym i prostaczkom objawiło się „boskim płomieniem z Golgoty“, przecież „w dalekich zawisło niebiosach“. W ciemnościach nocy średniowiecznej uśmiech Psyche zagasł dla ziemi, i dopiero kiedyś, o tysiąc lat później, w Odrodzeniu „świeże kwiaty wyrosły na cmentarzach, biorąc swe światło z pod ruin kamieni“. Zbogaciła się wtedy znowu ludzkość o bezbronnych ofiarników — przedświtowców, jak jednym z niewielu, a bodaj nawet jedynym własnym neologizmem określa ich Asnyk, a napewno w myślach jego, gdy go tworzył, stał ukochany przezeń i tłumaczony Giordano Bruno, pewno Galileusz i Campanella:

Długo z bezbronną piersią przodownicy
Szli na śmierć pewną, nie wiedząc przy zgonie,
Czy prawda, której zatknęli sztandary,
Z nimi w niepamięć wieczną nie zatonie,
Próżną męczeństwa palmą zdobiąc skronie.

I tak przybyliśmy do dni naszych, kiedy już nie bohaterskie jednostki, lecz narody, cała ludzkość cierpi i ginie, a Psyche stoi nad tym dramatem milcząca, zamyślona, — zapowiedzianego Erosa dotychczas nie widać. Spełnienia mitu piękna i szczęścia ludzkości trudno się dzisiaj spodziewać.

Wiersz, mimo kilku stąpnięć myślowo, a raczej wyrażeniowo, chwiejnych, przynosi chlubę kulturze i rozpiętości wiedzy 26-letniego poety. Przechodzono nad nim do porządku, zapewne właśnie z powodu mętności tych kilku zdań. Zbyt wysokie było dla próbnego lotu twórcze zamierzenie. Pomijano w nim i 'dokument asnykowski': natychmiastową gotowość ideową: już nakierowane i spławne jest koryto, którym odtąd, tylko głębszym prądem, wyższą, szumniejszą i bardziej tęczującą falą, przepłynie poetycko całe myślowe bogactwo autora *Nad Głębiami*.

Dwie cechy powitały nas zaraz u wstępu: historyczny punkt obserwacji i interpretacji, stały odtąd w natchnieniach zrodzonych przez Włochy a ziarnem leżących w antyku, oraz fakt, że pod wpływem starożytności, głównie jej rzeźby, podniosła się w filozofii Asnyka rola ciała. Widzieliśmy, iż piękno było granicą, przez którą niedostrzegalnie fizyczność przeszła w psychiczność. Na przyszłość ciało tak krzepko w swoje zawiasy ujmować będzie ducha i duchowość, że im nigdy nie pozwoli na odcięte od siebie bytowanie, ani jako jednostkowej pośmiertności, ani jako pojęciu metafizycznemu. Ta równowaga pierwiastków, stanowiąca napewno o przylgnięciu poety do starożytności, była zarazem pierwszym nieświadomym lub conajwyżej napół uświadomionym jego odejściem od romantyzmu [6a]).

6a) Jeżeli trzymać się określenia romantyzmu, jakie dał największy jego teoretyk u nas, Mochnacki, a mianowicie, że polega on na słowiańskości, oraz na zastąpieniu mitologii klasycznej skandynawską, to Asnyk ani jednego dnia nie był romantykiem. W sprawie słowiańskiej odezwał się raz — okolicznościowo, na obchód Kollara, mitologię północną przyzwał też raz jedyny do udekorowania mu nocy nad Morskiem Okiem: placu boju „gdzie niegdyś walczyły północne groźne bogi i krew ofiar piły z czary, która w jezioro upadła rozbita". Harmonię władz ducha zachwiały w nim okoliczności, wcinając się ostro między równoważne w jego naturze: intellekt i uczucie. Zetknięcie z duchem klasycznym, ku któremu musiałby się nieuchronnie sam z siebie, wcześniej czy później nagiąć, jako ku najlepiej odpowiadającemu jego wewnętrznemu rozplanowaniu sił, przyspieszyło możność prędszego ustawienia obu szal ducho-

Od rosnącego przez wszystkie poziomy dziejowe poematu o Psyche, niby od głównego pnia, oddzielają się na różnych wysokościach zagadnienia, brane następnie w poszczególne wiersze. Gałęzie te z pnia, jak sok, ciągną swoją pełną treść i tylko w złączeniu z nim mogą być całkowicie zrozumiane. Najciekawsze jest p e n d a n t: *Asceta-Apostata,* dwaj bliźniacy z października 64 r. Istnieje między nimi, niewidzialnie, jakieś połączenie, wyszły zdawałoby się ze wspólnego potrącenia psychicznego i twórczo pokazały dwie strony jednego medalu, jakoby asnykowski odwzór Konrada i ks. Piotra. Wyczucie to jednak niezupełnie odpowiada prawdzie. W ostatnim wydaniu *Pism* Asnyka, przygotowanym przez Komitet Uczczenia Poety, w doskonałych i dużo nowego światła rzucających komentarzach H. Schippera znajdujemy w tym miejscu ciekawe wyjaśnienie: ustęp listu Asnyka do W. Biechońskiego, towarzysza broni powstańczej:

„...Czułem się w zupełności przygnieciony własną nicością, która zalega w człowieku, gdy mu przez dłuższy czas zabraknie sposobności odświeżenia się zetknięciem z zewnętrznym światem — pisze Asnyk. — W tem uwydatnia się doskonale ta niewystarczalność samej sobie natury ludzkiej, która też zarazem jest bodźcem wszelkich moralnych organizmów. Nie można się bezkarnie wyłamywać z pod jej naglącego do określania się przez inne indywidualne sfery prawa, tonie się bowiem wtedy w bezwładnej nieujętości własnych marzeń, nie przywiedzionych niczym do życiowego realizmu. Myśl potrzebuje koniecznie nieustannego zapładniania drugą odrębną myślą... Przypadkiem wlazłem w temat, który ma niejaką łączność z załączonym Ci tu przezemnie wierszem pt. *Asceta*". Pod samym zaś wierszem dopisuje autor: „Jest to wyjątek z naszej dzisiejszej *Apokalipsis,* a zarazem satyra w formie, w którejby ją i ortodoksy przełknąć może potrafiły... sam może obraz inspiracyjnej gimnastyki jest czegoś wart".

Ale i tak stworzony *Asceta* jest doskonałym *repoussoir'em* dla *Apostaty.* Najpierw jednak poznajmy jego klamrę z *Odłamem Psyche.* Jeżeli wspomniałam, że na Asnyku nie widać zetknięcia ze współczesną mu poezją włoską, — a do-

---

wych na zgodnym poziomie. Obok równej pozycji intellektu i uczucia nie dociągała się do tej samej miary wyobraźnia Asnyka.

dam że i znacznie mniej, niż się sądzi, z francuską (dialog poetów z publicznością ujawni w parę lat później, jak mu byli niesympatyczni) — to zato bezwarunkowo poddał się urokowi włoskiego malarstwa odrodzeniowego. Nie obcował, jak Konopnicka, imiennie z artystami, po omacku możemy się tylko podsuwać do przypuszczalnych zachęt malarskich jego twórczości, kto wie, czy to nie Fra Angelico i inni prerafaelici, kto wie, czy i nie sam Rafael? Wydaje się, jakgdyby przynajmniej częściowo ochota do ‘poetyckiej gimnastyki’ w *Ascecie* wykonanej bardzo płynnie, a rytmicznie popisowo przyszła od jakiegoś fresku lub obrazu. Kopia jest mocno ogólnikowa, należałoby dla sprawdzenia przejść z wierszem w ręku przez Muzeum Neapolitańskie, a może i nie tam wcale jest oryginał. Nieco podobieństwa co do jednego szczegółu zachodzi i z *Dysputą* Rafaela [7]). Obraz poety ma koloryt i Braciszka Anielskiego i trochę peruginowsko-rafaelowski, pełen błękitu, złota i bieli anielskich skrzydeł. Ziemska pamięć ascety próbuje roztopić się w tym błękicie i bieli. Próba zawodzi. Czy jednak goniąc spojrzeniem za wizjonerem, któremu „w dalekich niebiosach zawisło“ królestwo ducha, nie trafimy na jedno z ciemniejszych zdań *Odłamu Psyche:* że „tylko ziemskim pozostało płaczkom na wieków marnie uwiędłych pokosach, — tj. na gruzach zmarnowanej cywilizacji helleńskiej — w całopalenia odradzać się stosach?“. Uciekać z padołu w niebieskie tęcze kosztem całopalenia swojej ludzkiej natury, jak przyświadczył przed chwilą list do Biechońskiego? Niepłodna była ofiara takich płaczków: choćby nawet sami dobiegali duchem między niebieskie tęcze, ziemia nie podniosła się ze złoży ciemności. Czynna (teoretycznie) postawa Asnyka innymi torami pragnęła popchnąć bryłę świata.

Jeszcze ważniejszy niż przy *Psyche,* ukaże się nam *Asceta* jako pomocnik w stosunkach z *Julianem Apostatą*. *Apostatę,* jeden z najwcześniejszych poetyckich i myślowych tryumfów Asnyka, komentatorzy omijali lękliwie wskutek zdania dwukrotnie, a więc z naciskiem powtórzonego przy rzekomym przedzgonnym wykrzyku cesarza: „Lecz jutro, gdzie jutro świata?“ Nie ma się czego trwożyć, należy brać rozwiązanie z rąk samego poety, z sąsiednich utworów, z atmosfery jego ówczesnych

[7]) Nie ma śladu, żeby Asnyk za pierwszej podróży włoskiej był w Rzymie, a tym samym poznał w oryginale *Dysputę*.

przezroczystych poglądów. Caesar za całą ludzkość zrozumiał, że idzie czas zmarnowania pokosów jego ukochania: cywilizacji hellenskiej [8]). Czuł się ostatnim jej obrońcą i... ginął. Czy błądził, wyrażając trwogę? W *Psyche* czytamy:

Tęcze pogasły w dzikich zawieruchach,
Harmonię stłumił tętent barbarzyńców,
I myśl stanęła pod pręgierz w łańcuchach.
Na mętnej fali wichrem gnane hordy
Spłynęły burzą śród ziemskich gościńców,
Wstrząsając grzmiące przewrotów akordy
I niosąc trwogę na zasiew i mordy.

Czy naprawdę nie najstraszniejsze „jutro świata" dla tego, kto wtedy odchodził, jako... pokonany?

To mówił Asnyk natchniony przez *Psyche*. A teraz, co mówi Apostata przed bitwą:

Mądrość, na którą wieki się całe
Składały w ciężkiej kolei,
Mamyż wymienić na to niestałe
Zaziemskich widmo nadziei?

I barbarzyńską targnąć się ręką
Na święte przodków spuścizny?
Za galilejską biegnąc jutrzenką,
Odstąpić wrogom ojczyzny?

Wzrok nasz przesuwa się ku Ascecie. Modli się, wpatrzony właśnie „w zaziemskich widmo nadziei":

Niech obłąkane dumą anioły,
Co chcą zapłodnić martwe popioły,
Ziemskiej oddani ojczyźnie,
Dotknięci słusznym niebios wyrokiem,
Nie dojrzą Boga stęsknionem okiem,
W dziejowej niknąc krwawiźnie [9])

Dwa ideały, wyraźnie na antypodach, nie do pogodzenia!

Złowróżbne przeczucie cesarza idzie na bardzo dalekie czasy i koleje:

Czy tak jak teraz kona świat stary
Pod znakiem boskiego zbawcy,
Nie będą padać ludów ofiary
Wleczone pod miecz oprawcy?

Czy w imię tego czarnego krzyża
Świat się nie spławi krwi strugą?
I wiara, co dziś niebo przybliża,
Ciemności nie będzie sługą?

Psyche na tym punkcie nie zadawała pytań, ona widziała wyraźnie tych „bezbronnych przodowników", którzy „długo

---

[8]) Ks. Julian Machlejd w swojej pracy o *Juljanie Apostacie* trochę inaczej przedstawia młodego i genialnego cesarza: nie hołdował tak wyłącznie kulturze hellenskiej, wielkie miał zainteresowanie i znajomość nauk tajemnych, kultów wschodnich, magii itp.

[9]) Strofa ta przy dotychczasowym traktowaniu *Ascety* jako wyrazu pewnej chwili istotnie przeżytej przez poetę, kłóciła się z zakończe-

szli na śmierć pewną..., próżną męczeństwa palmą zdobiąc skronie". Po wielu latach myśli i twórczości Asnyk przyniósłby szlachetnemu Caesarowi pocieszenie od siebie. Przejrzał bowiem, że porażka i gwałt nie są równoważne ze zwycięstwem zła. Poglądom jego przywtórzy wtedy mądre „tajemnicze bóstwo", błogosławieństwem witające topór, który mu co pewien czas odnawia zużyty kształt. Ciągła przemiana, to jego największy cud. A na klasycznym planie Asnyka — zobaczymy to wkrótce — mędrzec Lykophron zapowie kiedyś, — późno, — najwyższą postać owego bóstwa, na którą przystaną wszyscy, bo będzie miłością, która wciąż wyżej „po szczeblach przemian poprowadzi światy"[10]). Ale zaczepiłam już mimochodem o ten fakt: przyszłość nie odrazu zamieszkała na myślowym planie Asnyka, aby na każdą sprawę zlać się krzepiącym światłem. Julian, jak młody Asnyk, widział tylko straszną teraźniejszość i drżał, że ona raz na zawsze decyduje o losach ludzkości. „O przyjdzie chwila (Cezar już umiera), w której o Tobie:

Gromady zwątpią cierpiące,
Gdy ujrzą na swych nadziei grobie
Jak ja dziś niebo milczące.

Jest naprawdę w tej godzinie Konradem, na zmniejszoną skalę Konradem z r. 63, i tak samo 'milionem': nosi w sobie prawdę i prawo nie całego narodu, ale całej skrzywdzonej, skazanej cywilizacji, a na jego pytania odpowiada głusza. Sam jeden ze śmiertelną raną swego ciała, z wszechludzkim bólem swojej myśli, pod kamiennym milczeniem mroczącego się na tysiąc lat nieba... Przy omdlałym Konradzie staje ks. Piotr i odbudowuje wiarą zdruzgotany świat dumnego Prometheusa. Przy gasnącym fizycznie caesarze niespodziewanie zjawia się Asceta, ale dlatego, że i on przed chwilą zagasł duchowo. Niezmierzenie dalecy sobie, niespodziewanie zaczynają mówić *unisono* — to głos Ascety:

Jacyż to biedni i odtrąceni
Idą w czerwone morze płomieni
Okryci hańby swej piętnem?

---

niem, i trudno było zrozumieć, jak mogła wyjść z pod pióra Asnyka. List do Biechońskiego, wyjaśniający genezę utworu i co do tego punktu zupełnie nas zadowolił.

[10]) *Lykofron do Fatum.* p. niżej.

Ach, to ostatni z mojego ludu,
Co próżno w jasnych zmartwychwstań cudu
Oczekiwaniu stał smętnem.

Bezpłodne męki dostał w udziale,
Choć zawsze świadczył o Twojej chwale,
I dziś go czeka zagłada!
Takąż robotnik Twój bierze płacę?
. . . .
Gdzie jesteś, Panie? Z oczów Cię tracę —
I niebo Twoje przepada!

Julian Apostata to nie tylko wyraz przywiązania Asnyka do mądrości i piękna starożytności a niechęć do jej burzycieli i całkowity brak artystycznego porozumienia ze średniowieczem, nie tylko komentarz do męki popowstaniowej. To zarazem symbol pewnego dnia duchowego, który się dlań zaczął w Neapolu. Słuchając mowy ruin greckich, wchodząc w wysokie dialogi z grecką rzeźbą, uciszał się i byłby może rozwiązał w sobie pewne bolesne zagadnienia. Świadczy o tym *Sen Grobów* (Neapol, luty 65), bardziej wysunięty ku dojrzałym stanowiskom myślowym poety aniżeli późniejsze wiersze z okresu powłoskiego. Niestety, musiały zajść nieznane nam dotąd wypadki, które powstrzymały zaczętą krystalizację ducha. Z kraju widocznie dotarł jakiś głos, co go oburzył do żywego. Zareagował *Odpowiedzią*. Wiersz pisany jest w tym samym miesiącu co *Asceta* i *Julian Apostata*, miesiącu zatem burz i szarpaniny. Dużo tu wyolbrzymienia przez stylizację dantejską, ale jądro nieomylne: Polska musiała się skazić małodusznością, zaprzeć prawdy i ognia powstańczego. Wszystko, co się w duszy Asnyka zaczęło harmonizować, wytrysło jeszcze raz ciężką czarną krwią i jadowitą pianą. Jesteśmy o krok od hermy: *Asceta - Apostata*. Na widok uczuć rozsadzających *Odpowiedź* „archanielskie bledną twarze". Ten kto ją pisze, „nie w pokutnych długich zwłokach jasne zyskać chce męczeństwo" jak *Asceta,* lecz przeciwnie: „w zawodów ciągłej kaźni w niebo wściekłą pięść podnosić" jak *Apostata*.

Potem, zgarniając w dłonie już drżące
Strumień krwawego koralu,
Cisnął nim w niebo jasne, milczące
Z wymówką skargi i żalu.

(Julian Apostata).

A jeszcze głębiej w wyobraźni Asnyka pewnie stał nieugięty nawet śród mąk piekielnych i pośmiertnie jeszcze

wyzywający niebo dantejski Kapaneus. Będzie mu on towarzyszył i przy dalszych natchnieniach w kraju. Z dniem wyjazdu z Włoch głos ten przybiera na sile.

Pójdziemy za Asnykiem do Polski, bo choć chwilowo schodzi z ziemi klasycznej, echo jej przywarło do jego twórczej duszy i w porachunkach z Polską popowstaniową raz po raz raz uderza o ściany naszej niewoli.

Recydywa męczarni jest dla poety równie groźna jak przebyta już fala bezpośrednio po klęsce polskiego oręża. Niczym Sybir... lecz narodu duch zatruty... W r. 69, już u wyjścia z tego ciężkiego okresu, wyspowiada się wyraźnie w wierszu *Pod stopy krzyża,* chwilowym, ale tym razem, zdaje się, nie „gimnastycznym" zwrocie do religijnego źródła pomocy. Początkowo kochał jeszcze „biedne ludzkie rzesze, które na stosach palą się i świecą", — wyznaje pod krzyżem Asnyk, a my zabiegamy myślą ku pewnym obrazom powstańczym ze *Snu Grobów,* — lecz, gdy zobaczył, skąd te wszystkie czyny swój tajemniczy początek wywodzą, i gdy „wnikając w serc zranionych ciemność, za każdym bólem znalazł nikczemność", natenczas jego miłość stała się podobna do nienawiści, i w surowym samosądzie uczuł się „występnym tym samym grzechem", co i reszta narodu. Nim to wyzna i spróbuje obmyć się w łzach przed krucyfiksem, przeżywa swój zaczęty w Neapolu okres promethejsko-konradowy.

Po *Apostacie* z dziwnym uczuciem bierzemy do rąk gniewną *Apostrofę,* ciskającą garściami błota w oblicze ojczyzny. Poeta widocznie na pewien czas zapomniał o noszonych wiernie w sercu świętych radach matki: „O nie mów, dziecię me... że wszystko fałsz i brud.... że trzeba wątpić i szydzić, pogardzać i nienawidzić". Gardził i szydził, mówił, że wszystko brud, bo na powtórne cierpienie nie miał już w duszy sił. W *Apostrofie,* zrodzonej pod cieniem *Grobu Agamemnona,* aż się przelewają wyobrażenia klasyczne. Polska przedstawiona jest jako Messalina, która rzuca się w ramiona liktorom, a zaraz potem jako sługa Phokiona. Poeta nie może stać spokojnie i patrzeć na to jak — nasz znajomy — Narcyz neapolitański. Zamiast giąć się przed Caesarem, każe jej twarzą Gorgony świecić zbrodniom i w imię ludów, dręczonych przez laokoonowe węże, przypomnieć sobie, iż jest wdową Aristodemosa i wielką misję ma spełnić na świecie (co za skok od Messaliny!). A w gniewie na nią, wytrwały ciągle

przy słowniku klasycznym i potępiając ją aż po wyraz: ‘przeklęta!’, on, ten sam, niezdolny do losu Narcyza, oznajmia, że nim został jej czcicielem, już był synem Spartaka. I od niej żąda, aby „zmieniła w czyn sen zabitych Grakchów“. Można było tę na wielkich imionach i wielkich zbrodniach rozpiętą inwektywę znacznie uprościć, a i o sobie, bez obchodzenia dalekimi drogami, powiedzieć, że się czuje przede wszystkim synem ludu, demokratą, człowiekiem bojowym. Bo po zdjęciu wiersza z kothurnów ta myśl okazuje się w nim najwartościowsza.

Jak od *Apostaty* blisko do *Odpowiedzi,* tak od *Apostrofy* do wiersza *Do...* Mniej w nim naboju mitologicznego, ze świata helleńskiego wchodzi tylko Prometheus, ponieważ poetę łączy z nim „wieczność cierpienia“. Masa wyobrażeniowa, z której wiersz się wyłonił, została bez zmian, i czujemy reakcję na tę samą burzę [11]).

Nawałnica trwa w duszy Asnyka przez parę lat. Datą przełomową jest mniej więcej rok 1868. Paliły i osobiste cierpienia, zadane rękami Grudzińskich, po czym następuje zwrot. Wichura zacicha, głos przestaje się rwać, wchodzimy w okres asnykowskiego *piana* [12]). Jest to dobrze zrozumiała reakcja, wyczerpanie po zmaganiu się ze sobą i z duchem dnia. Myśl Asnyka nierzadko zatrzymuje się w zadumaniu na pograniczach życia i śmierci. „Dusza, gdy przeboli raz wszystkie ziemskie cierpienia serdeczne, nie chce się nagiąć do znikomej doli i tylko sięga po to, co już wieczne“. Chciałabym zaryzykować twierdzenie, że wiersze o bardziej osobistym piętnie są wyrazem utęsknienia do bezwzględnej ciszy, do niezamąconego odpoczynku, utwory postawione bliżej my-

---

11) Mocne zdania nie wiemy do kogo skierowanego wiersza *Do...* zgadzają się niemal dosłownie z wyrazami, malującymi Słowackiego we *Śnie Grobów* jako potępieńca, za to że „deptał światów zwyczajne porządki“, oraz z wariantem *Juliana Apostaty* (por. Komentarze H. Schippera w tomie I *Pism* Asnyka. Płomień wszystkich trzech, tak jak i napomkniętej *Odpowiedzi* bił z tego samego gorącego źródła gniewu i buntu, do którego dotąd nie znaleźliśmy dojścia.

12) Okres ten Asnyk z czasem nazwie jeszcze boleśniejszym od poprzedniego, jako dobę zupełnej apatii, drętwoty, niezdolności podniesienia gniewnego głosu. Przez wiersze ‘klasyczne’ jednak ten mroźny pas jak gdyby przesunął się bokiem, musnęły je właściwie tylko jego skraje. Jeden utwór późniejszy we *Freskach starożytnych* odda ten nastrój w całej pełni, to *Tantal,* tak silny odruch przeciw letargowi, że wprost przechodzi w namiętną modlitwę o ból, o mękę — byle było życie.

słowego czy społecznego szlaku gardzą samolubną nagrodą spokoju, byt — zgodnie z tym, co z czasem wzbije się na naczelne miejsce w systemie — malują jako ciągły ruch, nieśmiertelność jako świadomy udział w obrotach światów i wzlotach idei.

Zagadnienie to wkracza i w odłam klasyczny twórczości poety. Kiedy wzruszeni słuchamy zwierzeń umierającej narzeczonej *W cichej przystani,* lub podchodzimy do trumny *Zmarłej dziewicy,* stają nam w myśli marmurowe postacie dziewczęce, oglądane w Neapolu i poddajemy się nastrojowi łagodnej ciszy, która kiedyś swym dobrodziejstwem opłynęła poetę:

Rozmiłowana w nieśmiertelnym pięknie,
Ukołysana pieśnią tajemniczą,
Ani się grobu ciemności ulęknie,
Ani zatęskni za życia słodyczą,
Ale uwieczni swą piękność dziewiczą,
Rozmiłowana w nieśmiertelnym pięknie.

(Zmarłej dziewicy).

Czy to nie jest siostra słodkiej, białej i zamyślonej Psyche?

Jawnie do tej tonacji dostraja się klasycyzm w *Endymionie.* Wiersz zrodziło zmęczenie miłosnym cierpieniem, przenośnię poddał dawny powiew Włoch, obraz zapamiętany, może stara rzeźba. „W wiecznej rozkoszy pragnienia poezja ciała weszła na tej niwie jako kwiat pierwszy czarodziejskiej woni" — tak Asnyk, patrząc na posągi greckie, snuł swoją wczesną estetykę w Poemacie o *Psyche,* „A siła, miękką podnosząc omdlałość, rozkosznych wygięć uwieczniła trwałość". Ten sam obraz czy rzeźbę miał napewno przed oczami, kiedy pisał, że Endymion, „cień cichy umarłych pasterza, przechylony w rozkosznym wygięciu", razem ze swoją ukochaną „w zachwytów nieskończoność leci".

Z marzeniem Endymiona spotkamy się jeszcze, naogół jednak w życiu Asnyka noc księżycowa prędko dobiegła kresu. Wlał się świt, a w jego rosnącej białości zaczęły się podnosić zręby nowego świata. Wróciła na swoją mocną pozycję ziemia i wróciła walka. Nie beznadziejny zryw, nie krwawa klęska i pokuta, lecz walka-żywioł, walka-prawda na wszystkich, aż po najwyższe, tarasach bytu. Chwilowe stężenie opadło z duszy; cokolwiek ona odtąd w siebie przyjmie, będzie szło na wspólny skarb, znajdzie swoją wartość i ważność

w jednolitym obrazie stworzenia. Nasz poeta, jak Amphion, dźwiękiem swojej liry zmusi teraz pojęcia, aby się ustawiły w warowny gród.

W r. 1872 Asnyk po raz drugi jedzie do Włoch i osiada na dłuższy pobyt w Rzymie. Wraca obejrzeć ukochane ruiny okiem, które nie tylko szuka w pięknie pociechy, ale wyznacza mu miejsce w życiu ludzkości i w kolejach zjawisk:

Ślad każdy, co z ciemnej przeszłości zostaje,
Tyle mówi do duszy, takie rzuca światło
Na te zniknione światy! A gdy jeszcze za tło
Służy jemu idea piękna, w nieśmiertelny
Kształt przybrana, podniosła, jakby hymn kościelny
Ponad grobem narodów i tyle mówiąca
O pojęciach, religii, zwyczaju tysiąca
Zgasłych plemion, to wtenczas tak się chciwie czyta!
(Gałązka Heliotropu).

I teraz Włochy, a raczej Grecja — miała dać na powstający gród swój najkosztowniejszy budulec, swoje marmury, słońce, poematy. Jeżeli za pierwszym pobytem punktem centralnym było Muzeum Neapolitańskie, za drugim staje się nim Teatr w Tusculum. Jest on tym dla Asnyka, czym dla Krasińskiego było Colosseum. Zawitał tutaj jako jedyny dzisiaj widz, odszedł — jako nowy dla tej sceny autor. Teatr uczynił na nim głębokie wrażenie. Opis pierwszych odwiedzin jest pełen nastroju. Zaznaczmy, że tu po raz pierwszy we Włoszech mamy opis, dopiero później, za następnych podróży podniesie Asnyk oczy na piękno krajobrazu, zresztą zawsze tylko jako świadka starożytnych mitów lub dziejów — i da kilka arcydzieł poetyckiego pędzla.

Razem z widokiem ruin tusculańskich i wpuszczonej w ramiona gór marmurowej konchy teatru wysoki wiew poezji wnika do duszy:

Scena już pusta... i tylko w mej duszy
Na nowo dramat rozgrywał się smutny,
Po stosach ofiar zdążając przez wieki
Ku jakiejś gwieździe jasnej i dalekiej.
(Teatr w Tusculum).

Piękne i prawdziwe powiedzenie: Stanęła dusza Asnyka jako szlachetna i twórcza pośredniczka między rozwianymi w powietrzu widmami tego teatru a gwiazdą trosk i ideałów nowożytnego człowieka. A do poezji polskiej skroś jego duszy przypłynęło z Tusculum, — jeszcze głębiej, z poza Tuscu-

lum: z Grecji, — pozdrowienie, dar nowej twórczości i piękna. Początkowo myśl krążyła koło postaci, które dosłownie stąpały niegdyś i cierpiały na tej scenie, i w ten sposób przyszły Polsce dwa bezpośrednio przynaglone wizją utwory: *studium o Antygonie* i porzucona niestety tragedia *Prometeusz.*

W obu pomysłach szło Asnykowi przede wszystkim o kościec idei, zagadnienie które przeżywał dogłębnie i latami: o stosunek pierwiastka ruchu do zastoju. Pierwszy jest w społeczeństwach ludzkich myślą lub sumieniem, drugi uświęceniem i prawem, pierwszy idzie na ofiarę i spala się, drugi karze i — chwilowo — zwycięża. Tryumf się przesunie ku pierwszej stronie dopiero gdy z biegiem czasów jednostkowość stężeje w uświadomioną zbiorowość. „Przedświtowcy" nie dożywają zwycięstwa własnych prawd, giną najczęściej niedocenieni. Jednak wspomnijmy *Bóstwo tajemnicze.* Duch człowieczy, ideał święci wielki dzień swój nawet w gwałcie nad nimi, nawet w ich męczeństwie: *zdobywa jutro świata.*

Ta myśl w *Antygonie* Asnyka jest krwią i tętnem stosunku do bohaterki, światłem wygłoszonego odczytu. Pali się wysoko nad bramą objaśnień, przez którą poeta-prelegent wprowadził swoich słuchaczy do dziejów, do budowy tragedii greckiej i starannych, scena za sceną, oględzin samego utworu. „W Antygonie — mówił Asnyk — spoczywa myśl niezmiernej doniosłości i ogólnie-ludzkiego znaczenia, myśl wybiegająca poza granice jednej wyłącznej epoki i jednego szczególnego kraju i plemienia, sięga ona bowiem do najgłębszych zadań społecznych, do nieskończonego nigdy sporu, który się toczy przez wszystkie wieki między poczuciem wyższych moralnych praw a obowiązującemi spółcześnie ustawami, wyposażonemi siłą ku utrzymaniu skrystalizowanego społeczeństwa porządku".

Zeszedł się, naprzekór różnicy kultur i er, polski poeta postępu z greckim geniuszem. Znalazł dla swoich przekonań najwyższe potwierdzenie i sojusznictwo w świecie, który tak bardzo ukochał. I dalej: „Śmierć taka — nie jest bezpłodną i jałową, ale staje się wymownem świadectwem idealnej prawdy, mającej zwyciężyć w przyszłości i trwałym aktem zaskarżenia praw i urządzeń niezgodnych z moralnością. Bezwzględni wyznawcy ideału padają zwyciężeni, ale padając, pociągają za sobą zwycięzców, co upojeni

wyłącznym uwielbieniem siły i wszechwładzy państwowej, zapominają, iż są jeszcze wyższe, boskie prawa, których obrażać nie wolno".

Czy słowa te odnoszą się do Antigony, czy do naszych dni? Odnoszą się wyraźnie do sprawy wiecznej. Jak blisko było w myślach Asnyka od własnych czasów do świata starożytnego! Niedarmo swoją *Psyche* otworzył i zamknął jednobrzmiącym wyrażeniem o „chwili wieków".

W istocie — mówił dalej w sali odczytowej — „Mijają wieki, zmieniają się pokolenia i ludy, ale myśl ta płynie ponad ziemią falą wzniosłej harmonii, niosąc przestrogę tym, co zaufani w swą siłę i rozum, gwałcą ogólno-ludzkie świętości, pociechę zaś dla tych, co pozbawieni praw i siły, opierają się jednak na wyższej moralnej idei".

Nic dziwnego, że myśl Asnyka, która na kamiennych stopniach teatru greckiego widziała Antigonę, walczącą w promethejskich zorzach z ziemską potęgą, przesunęła się ku Titanowi, co tutaj podniósł ongi bunt przeciw potędze niebieskiej. Tym razem poeta nie był już referentem cudzego geniuszu: bluszczem własnego natchnienia oplótł najwyższy i najmajestatyczniejszy mit ludzkości. Opłakiwać należy, że *Prometeusz,* trafiwszy do najbardziej powołanych w Polsce rąk i ducha, nie stał się pełnym artystycznym kształtem. Możemy go tylko dobudowywać domyślnością, wiedząc na jakim miejscu tarczy stała w okresie pisania wskazówka filozoficznych rozmyślań poety.

Prometeusza rysuje nam w chwili słabości, czyli opiera go o swoje minione przeżycia. W dalszym ciągu szczegół ten uległby zmianie. Trudno na podstawie fragmentu rozstrzygnąć, czy Prometheus miał być wogóle symbolem buntu, cierpienia i ideowego zwycięstwa, czy może raczej symbolem Polski. Niepewność pod tym względem nasuwa nie tylko nasz ułomek tragedii, lecz niejeden utwór jasny i wykończony. Nie dlatego, żeby Asnyk, wzorem Konrada, własne bóle i przemyślenia podnosił do potęgi miliona, ale ze względu na „jedyność" prawa, które coraz widomiej wsiąkało w jego plan świata i objawiało się tak samo na gruncie jednostki, jak narodu, ludzkości jak kosmosu. Były to wszystko ilustracje do jego powszechności. Jeżeli Prometheus jest Polską, napewno tragedia kończyłaby się napływem nowej energii, zdolnej stawić czoło nawet wieczności, albo wręcz rozkuciem,

po shelley'owsku. Na tę myśl naprowadza zakończenie innego *Fresku starożytnego:* ostatniego z trzech sonetów o *Heraklesie*, a jeszcze bliżej cudowne słowa o cierpieniu, włożone w usta czuwającym nad Prometheusem Okeanidom:

Wielkość z cierpieniem zawsze chodzi w parze,
W najwyższe szczyty grom bije
. . . .
Nie wolno wznieść się bezkarnie.
Lecz kara w tryumf zamienia się potem,
Do dawnych blasków dorzucając świeże:
Prawdziwa wielkość pod nieszczęścia młotem
Kształt doskonały przybierze.

I znowu czujemy żal, że los nie dał nam towarzyszyć spełnieniu tej zapowiedzi na gruncie asnykowskiego *Prometeusza*. Wszystko, czym możemy się pochwalić, to tylko monolog Tytana, cztery strofy śpiewane przez Oceanidy i podobno także mający wchodzić do tragedii, niezależnie figurujący fresk *Chór Oceanid*. Ten zrąb, jako próba samodzielnego głosu w tonacji poddanej przez scenę tusculańską jest nad wyraz piękny. Klasyczny rytm monologu, mimo że niesie tylko skargi i świadczy załamaniu się hartu, twardy jest i szczęka, jakby rąbany w opornej skale (jakże doskonale odchuchał Asnyk z Kaukazu swoje zwykłe śpiewne spadki stroficzne). Bije od niego jednocześnie pierwotność i majestat. Wrażenie ogromu potęguje jeszcze drugi ogrom: kosmicznej pustki tła, dwu żywiołów nieskończonych, jednego bezednią bólu, drugiego nieugiętą obojętnością. Jakoby jęczał jakiś Giewont o nieudolnie rzeźbionych zarysach człowieczych, kiedy nad nim na wiekowiecznych prawach odbywają się obroty astronomicznego nieba.

Zresztą żaden ślad życia do tej wyżyny nie sięga,
Prócz powszechnych obrotów wiecznie ruchliwej natury,
Zawsze tylko nad sobą widzę te same niebiosa,
Rozesłane przez światów bezdenne przestworza,
Widzę, jak rankiem jutrznia wiedzie rumaki Heliosa,
Jak na nocleg wraz z niemi zstępuje do morza,

Widzę majestat nocy, pełnej cichej grozy,
Ruchy niebieskich świateł, srebrne Diany miesiące,
Oriona tajne biegi i gwiaździste wozy,
Wytkniętemi drogami w wszechświat się toczące.
To widzę w ciągu wieków, a czy mam nad głową
Wóz słońca, czy też nowy księżyc w srebrnym sierpie,

Nigdy nie mam wytchnienia: zawsze jednakowo
Pasuję się z mym losem, bezsilny, i cierpię,
I własną nieśmiertelność w wolnem przeklinam konaniu.

Jest coś niemal Beethovenowskiego w zestawieniu tej pierwszej części symfonii z drugą, którąby stanowił *Chór Oceanid,* śpiew sfer, tych właśnie krążących na niedostępnych wyżach, które niespodziewanie wypowiadają siostrzaność swego prawa ze wszystkim, cobądź istnieje. To olbrzymia „walka, co „zapala jedne nad drugimi słońca i w ruch wprowadza wszechświatowy pył". Oto jest „wyraz twórczej myśli bożej, która w tej walce ożywia i tworzy i dzierży wieczny nad światami rząd". Nie tylko przejmuje dreszczem zestawienie dwu oblicz świata, z których jedno patrzy ze skarg monologu, drugie jaśnieje w pieśni Oceanid, ale sam obraz bytu w *Chórze* jest czymś wspaniałym, gdy na promieniach „od tajni natury do głębin ducha, od dobytych z nicestwa atomów do bogów na błękitach, wszędzie ze zniszczenia sieje światło nowych zórz". — Asnyk ma w tej chwili głos Herakleitosa, kiedy uczył: „Bój jest ojcem wszechrzeczy a jedność rozdwaja się sama ze sobą i znów się z sobą łączy jak harmonia łuku i liry".

Zaduma Asnyka w teatrze tusculańskim nie zatrzymała się na dwu górnie bojujących za ludzkość cieniach. Znalazłszy gościnną dla siebie scenę, zaczął raz po raz, i to coraz gęściej, wysyłać na nią swoje własne zagadnienia. Dawał im maski i kothurny greckich aktorów i przed widownią bez widzów kazał im wieść dialogi i wieńczyć laurem zwycięstwa ukochane przez siebie idee. Niezupełnie gramatycznie nazwane *Freska starożytne* i inne utwory, oparte tłem o świat antyczny, zasadniczo są dwojakiego charakteru, o czym już miałam sposobność napomknąć: rzadsze, czysto opisowe, pochodzenia zasadniczo późniejszego, oraz obfitsze: upoetyzowania asnykowskich tematów myślowych w stylu klasycznym. Zaczniemy od drugich, tj. od fresków opartych o ideę.

Przedtem jednak damy jeszcze głos starożytności nie ujętej we *Fresk.* Myślę o wierszu *Odpowiedź przeszłości.* Asnyk, jak podkreśliłam zaraz na początku, natchnienia brane ze świata starożytnego zawsze ujmował w kategorii czasowej, czuł je w dziejowym tempie. Gruntując swoje stanowisko filozoficzne na współczesnej sobie nauce i na współżyciu z przyrodą, dochodził do coraz wyraźniejszego poświęcenia pier-

wiastka indywidualnego w ofierze zbiorowości, o ile idzie o ludzkość, a w ofierze zasadzie jedności w metafizyce. Chwycił się tego poglądu — on zdecydowany indywidualista — aby w ten sposób odnieść zwycięstwo nad własnym cierpieniem. I w rzeczy samej, w atmosferze wspólnoty znalazł ukojenie, potrafił się nawet zdobyć na cichą, bladą radość. Widząc sztukę grecką taką spokojną i beznamiętną — tem go przecie oczarowała, kiedy sam jeszcze oddany był na pastwę cierpieniu, — melodie takie czyste, rzeźby takie białe, rozpacz nawet tak bez grymasu (Niobe samą podziwiał za tyle spokoju w boleści), samorzutnie wywnioskował, że było to tajemnicą antycznej kultury: umiejętnością przełamywania w każdej chwili egoizmu, jednaką we wszystkich członkach społeczności, od dziatwy po starców, od bohaterów do najbardziej przez życie upośledzonych osobników. Innymi słowy, ukochany przez siebie świat zbliżył na własną odpowiedzialność do swojego klucza tonacyjnego i postawił jako wzór przed wiekiem samolubnym, a przez to chmurnym, estetycznie i etycznie niegodnym minionych stuleci.

Takie odwdzięczenie się poety za doznany niegdyś pierwszy uśmiech w męczarni było jednakże rozumowaniem *à rebours*; z charakteru twórczości helleńskiej wywnioskował, że źródło jej pogody było to samo, któremu on zawdzięczał pojednanie z życiem.

Wiersz *Odpowiedź przeszłości,* właściwie treścią nie oparty o antyk, ma to znaczenie, że poeta ogólną syntezą pragnie ogarnąć i starożytność, wciągnąć ją organicznie jako człon do swojego gotowego już systemu. Wysoki duch obywatelski starożytności, sprawca siły moralnej i pogody ducha, występuje w *Freskach* na dwu przykładach: w *Epaminondasie* i w *Królu Jubie*. Obaj umierają przed nami bohatersko i godnie, pierwszy z rany w bitwie, jako zwycięski wódz, drugi samobójczo, bo kraj jego stracił wolność, tym samym i życie cel, dla którego wartoby je przedłużać. Obaj wielki próg przestępują z niewzruszonym spokojem, jeden, iż zostawia naród bezpieczny i umocniony, drugi przeto, że w niewoli dla jego czynu nie byłoby miejsca. Wypełnili swoje role jednostkowe do wyznaczonych im kresów, powołanie osobnika ludzkiego zamyka się wraz z dokonaną miarą obowiązków wobec ogółu.

Z tego stanowiska szczególnie tragiczny jest pół żywy

pół umarły *Memnon*. Skonać i stracić pamięci mu nie dano, ale go pozbawiono możności czynu. Została mu świadomość, z której płynie tyko ból, „każdy może go znieważać bezkarnie, może śmiało bezwładnego deptać lwa". Jesteśmy drugim nawrotem na pograniczu życia i śmierci. Mimowoli zestawiamy ten straszny los ze szczęściem snu miłosnego, jaki stał się udziałem *Endymiona*. Ale *Memnon* budzi w nas inne jeszcze wspomnienie: Młody powstaniec padł w bitwie. Boginki, leśne tanecznice, przywróciły mu żywot, chcą by z nimi, jako duch bezcielesny, unosił się radośnie w księżycowym promieniu. Młodzieniec odrzucił dar rusałek, nie pragnie życia bez ciała, „bytu mglistej szaty", tj. samego ducha; (jeden jeszcze przykład znanej nam teorii Asnyka) i nie chce tego właśnie, co spotkało Memnona:

Mamże jeszcze marnym cieniem
Na mogile stać?
Fosforycznym lśniąc płomieniem
Przeszłą męką trwać,

Co noc boleść swą odświeżyć,
Wskrzesić wspomnień moc,
I pozorem życia przeżyć
Nieskończoną noc?

Mamże znów nawiązać krwawą
Rozerwaną nić?
Wrócić z bólem i niesławą,
Nie mogąc się mścić?

Między żywych pójść ukradkiem
Jedną z próżnych mar
I pozostać zbrodni świadkiem
A spólnikiem kar? [13]).

Jak to wytłumaczyć? Może, jak przypuściłam, mówiąc o *Endymionie*, że gdzie o społeczne, obywatelskie czy patriotyczne uczucia idzie, tam poeta wyrzeka się, ą nawet potępia marzoną szczęśliwość, sen słodki w objęciach srebrnej bogini nocy, albo polotne tańce z nimfami. Życie ma tyle ceny, ile pozwala na czyn. Powstaniec, wzgardziwszy darem, umiera po raz drugi, już wieczyście, Memnon słyszy od matki swojej niespodziewaną naukę:

„Synu — biedny synu mój,
Znosić musisz taki smutny los poto,
Byś mógł powstać na ostatni bój.

Przeznaczenie próśb daremnych nie słucha,
Wszystko trzeba okupywać nam,
Trzeba w grobie zdobyć nową moc ducha,
Chcąc do życia znów powrócić bram".

Więc takie cierpienie jest... zwycięstwem życia nad śmiercią, jest znowu obowiązkiem nie dla siebie. *Memnon* Asnyka to

---

[13]) *Odpoczywa*.

może pięknie ujęta przenośnia Polski, jej „próba grobu“. Prawdy zasadniczej to nie zmienia: obowiązek narodu w teoriach poety jest jednobrzmiący z obowiązkiem jednostki. Zawsze idzie o tę jeszcze wyższą ponad nimi ogólność i czynny do niej stosunek.

I pewnie *Tantal*, bohater innego *Fresku*, gdyby usłyszał zapowiedź, jaką Eos przed chwilą dała synowi, uczułby nawet zazdrość co do losu Memnona. Dla niego niema takiej nadziei. Sam, kiedy cierpiał, wybłagał u bogów nieczułość i drętwotę, a teraz tęskni do męczarni. I jego tragiczna postać to Polska: ta która wyrzekła się mowy orężnej, szarpania oków: myślała że w sennym bycie niewola nie będzie tyle dojmująca. Zawiodła się.

Zanim po raz trzeci wrócimy na rubież dwu światów zatrzymuje nas najmocniejszy we *Freskach* szturm człowieka do wieczności, na drugim krańcu od niemocy *Memnona* i *Tantala* tragiczny nadmiar siły. *Thetys i Achilles* świetny dyptyk, pierwszą częścią należy do nietkniętego dotąd przez nas działu opisowego utworów klasycznych, drugą wchodzi między wiersze osnute na idei. Otworzymy oba rozdziały razem, tym bardziej, że przez swoje bezpośrednie sąsiedztwo przymierzają wzajemnie nieśmiertelność boską i możliwie największe do niej ludzkie zbliżenie: sławę.

Część pierwsza powstała pod urokiem jakiegoś obrazu czy fresku i wchodzi między perły asnykowskiego malarstwa. Wygląda na rozszerzoną oktawę *Giostry* Poliziana, poetyckiej odpowiedzi na Rafaela *Tryumf Galatei*. W Polsce został jej cały błękit, chociaż słoneczna radość jednej nimfy przeszła w macierzyńską boleść drugiej. Dla porównania przepisuję oktawę Poliziana w odwzorze, nie sądzę, mimo to, żeby Asnyk zetknął się z nią bez Rafaela:

Dwa pod zaprzęgiem wspaniałe delfiny
Płyną wiedzione Galatei dłonią —
I zgodnie dyszą. Swawolne drużyny
W okół rydwanu suną morską tonią;
Tańczą, parskają słupem słonej śliny,
W zbytkach miłosnych pluszczą się i gonią.
Uroczą nimfę bawi ich uciecha,
Śród wiernych siostrzyc wabna się uśmiecha.

Taka jest i u Asnyka nieśmiertelność bogów: słońce o dwu uśmiechach: w morzu i na niebie, nieogarnięty po-

dwójny błękit i swoboda. Po tym malunku, obok *Fresku Pompejańskiego,* najwyższym w całej tece Asnyka, bardzo dramatycznie wypada część druga — ludzka. Nieśmiertelna matka przybyła morzami, aby miłością i perswazją powstrzymać ziemskiego syna od czynów wiodących prosto w śmierć. Pragnie go nagiąć ku bardziej ziemskim kolejom. Tymczasem Achilleus żądzą czynu rzuca się na podniebia i z tej wyżyny własną śmierć przeocza. Asnyk nie miał poczucia jednostkowego bohaterstwa, roztopił czyn indywidualny w swojej teorii powszechności. Czuł tylko, czcił i umiał dać wspaniały wyraz ofiarnictwu, którego dwa przykłady przesunął przez scenę. Zwłaszcza jeśli ofiarnictwo płynęło z idei, było odwagą rwącej naprzód myśli. Czyn orężny, bojowość, malowana w samej chwili dokonania, a już tembardziej płomienny krzak sławy nie widnieje ani razu na jego palecie, poza hymnem pochwalnym w ustach Achilleusa. Pewnie dlatego poeta, który tak jasno widzi zorzę przyszłego odżycia Polski, patrząc na zmartwychwstający nakazem prawa naród, nie stawia przed nim — i tutaj zgodny jest z Konopnicką — przewodniej jednostki, indywidualnego wybawcy.

Achilleus to mocarz ramienia. Wzniośle tłumaczy matce, że: „na tym właśnie polega nasza wielkość i chwała, by dokonać wszystkiego, co nam tylko wskazała moc wewnętrzna, nie dbając co i kiedy nas czeka“. Ten to przepis napewno wykonał co do joty *Epaminondas,* wypełnił bowiem całą treść, jaka mu była wpojona. Ale czemu Pelida nie poprzestaje na tym samym? Dlaczego nie zawiesza głosu na owej górnej zasadzie? Wykonać trzeba — ciągnie dalej — „bez litości nad sercem i nad losem człowieka“. Czy myśli o własnym sercu i losie? Niestety:

Prąd nas zmusza silniejszy ponad żale chwilowe
Pędzić dalej a dalej po zdobycze wciąż nowe!
Przez tryumfy i klęski, przez orężne zatargi
Całych plemion, przez stosy ciał poległych, przez skargi
Biednych starców i niewiast, przez ruiny i zgliszcze —
Tak zdążamy do kresu!

Bohater zatem to siła, która raczej burzy niż stawia. Co za odległość od Antigony, a nawet od Prometheusa, i jaka różnica między uśmiechniętą wielkością niebian a burzową wielkością człowieka. Sława to kometa, ciągnie za sobą strach i pożogę, równie tajemniczą, jak wielka niebieska zagadka.

Achilleus tak mówiący — prawda, że kilka tysięcy lat temu — ma na nieszczęście i dziś jeszcze spełnicieli swoich haseł, w poglądach i czynach, jak ich miał w ciemnych wiekach ludzkości, w Atillach i Dżengis-Chanach. Trudno odgadnąć co kierowało Asnykiem, kiedy w wyidealizowaną przez poezję postać bohatera Homerowego wcielił prawdy, objawiające duszę i wolę „biczów bożych", czy własna odległość uczuciowa od tego typu, czy chęć malowania pierwocin kultury (wbrew zwykłemu stosunkowi do Hellady), czy pragnienie podkreślenia dojmującego kontrastu między boskością a najwyższym dobiegiem siły człowieka? W każdym razie ten Achilleus jest samotny w świecie twórczym Asnyka [14]). A najsmutniejsze, że u kresu staje mgła:

Ostateczny cel jaki? Nikt się tego nie dowie
Z nas śmiertelnych; zaledwie znać go mogą bogowie.

Nie tylko od strony ziemskiej — i od pośmiertnej bohaterstwo nie daje zadośćuczynienia. Fuga znanych nam motywów *Endymion - Memnon* idzie dalej przez świat antyczny Asnyka, zagarniając na swoją plecionkę i zagadnienie sławy. Po najgłębszą odpowiedź posyła nas Asnyk poza Grecję, do sąsiedniej wielkiej kultury: do Egiptu. Zachodzimy na sąd Ozyrysa nad umarłymi. Bóg nie sądzi tutaj, jakby można przypuszczać, dobrych i złych, ale rozdziela dwa rodzaje zasługi: głośną chwałę i cichą cnotę, wyznaczając im odrębną nagrodę nieśmiertelności. Pierwszym wieczny blask, który „ich wydzieli z powszechnej istot ginących topieli", ale bez „słodkiego cienia mogiły i zmarłych wypoczynku świętego", drugim „niepamięć, pitą z kielicha wieczności", której im pozazdrości pycha, widząc, jak „dumny proch sponiewierano". Ciągłym budzeniem, naruszaniem zamkniętego grobowca, „odarciem z wierzchniej złotogłowiu przędzy", jak mówi Asnyk, „odbronzowianiem", jak to nazywają nasze czasy. I sam bóg-sędzia i z nim napewno poeta, stojący w tej chwili w znaku Endymiona, nieśmiertelność cichych uważa za przywilej:

Wy utoniecie w wiecznym oceanie,
Skąd wschodzi, dokąd znów powracać spieszy

---

[14]) Może nie bez wpływu, że w tym samym mniej więcej czasie Asnyk zajął się *Cola Rienzim,* miał więc w myśli stale postać dyktatora, któremu tak samo dał w duszę ideał siły a w usta twarde wyrazy.

[15]) *Z egipskiego rytuału zmarłych.*

Wszelkie dusz ludzkich anielskie świtanie,
I roztopieni w bezimiennej rzeszy,
Będziecie światłem, które ludzkość cieszy,
Bez względu na to gdzie i jak powstanie.

W świetle tego sądu, przenoszącego masę nad jednostki, nie tylko ze stanowiska osobistej doli, ale nawet ceny dla człowieczeństwa, jeszcze tragiczniej wygląda huragan wielkości, gnający ku nieznanym metom duszę Achilleusa, aby nawet potem, po płonącym życiu, nie mógł wpłynąć do zatoki wieczystego wytchnienia.

Czego nie dopiął niewolnik wyższej potęgi Achilleus, to spełni, aczkolwiek także nieświadomy, już nie tylko dróg swoich, ale i mocy *Herakles*. Spełni, albowiem on dla Asnyka nie jest indywidualnym bohaterem:

Greckie go mity Heraklesem zwały,
Chociaż właściwie ludem się nazywa.

Nie mogę oprzeć się myśli, że poeta świadomie zestawił te dwa *Freski*[16]), aby wykazać odmienne role obu pierwiastków: oślepiającej bengalskiej jasności heroizmu jednostkowego i mozolnej, często na kałuże schodzącej, a przecie zwycięskiej drogi siły zbiorowej. Jeden z najzasłużeńszych rzeczników demokracji w naszej poezji olbrzyma Heraklesa w Muzeum Neapolitańskim, wielkimi mięśniami mówiącego o potędze, bolesnym opadnięciem głowy i ramion — o znużeniu i niewiedzy — wyczuł jako symbol ludu. I w rzeczy samej przenośnia wypadła Asnykowi nieporównanie. Wprost każde słowo trzech sonetów chciałoby się podkreślić w prawdziwości, z jaką staje w obliczu nędzy Kolosa. Wszystko mu wybacza, bo wszystko rozumie. I to, że pragnąc zapomnieć „co go boli“, pijaną orgią gasi ogień w łonie, i nawet to, że

rozżarty nadmiarem niedoli
Chwyta w szaleństwie za trujące bronie,
I na świat biegnie w niszczyciela roli
I krwią niewinnych plami swoje dłonie.

Jakżeby poeta, którego „Bóstwo tajemnicze“ pochwalało dokonywany na sobie gwałt, nie miał mieć zrozumienia dla rewolucyj? Tym bardziej, że ten, przez którego szały ginie nieraz dorobek wieków:

---

[16]) We *Freskach Thetys i Achilles* i *Herakles* podane są razem i oznaczone literami *A* i *B*.

Z obłędu swego budząc się pomału,
Kornie na dawne stanowisko wraca
I spełnia dalej dzieło bohatera.

To też choć „bohaterstwo swoje mało ceni i nie wie jeszcze czym jest i czym będzie (wiersz pisany był lat temu sześćdziesiąt kilka!), poeta z zupełną pewnością zamyka ostatni sonet tryumfalną w tonie tercyną:

Bezsilne gniewy, zasadzki i zdrady!
Będzie zwycięzcą, i przy gromów błysku
Prometeusza z więzów wyswobodzi! [17])

Obok demokratyzmu jeszcze inne ze swoich idei przewodnich odział Asnyk w szatę antyczną. Sprawę walk i zwycięstwa idealizmu, piękna i miłości nad oporem czasów.

W *Pigmalionie* zazieramy w tajemnicę samej twórczości. Spojrzenie na rzecz takie samo jak w znanych nam już *Dziejach piosenki,* tylko jeszcze piękniej wyrażone. Artysta mówi do własnego dzieła:

Jam sercem cień twój odszukał daleki,
Błądzący w istot niestworzonych rzędzie,
Ja cię przeniosłem przez ciemne krawędzie
Snu i nicestwa na ten świat słoneczny,
Twojej piękności dając żywot wieczny,

Artysta to człowiek wywołujący byty *ex nihilo* ale *in aeterno.*

Znana nam z *Psyche* miłosna pobudka twórczości gra rozgłośnie w namiętnym uczuciu Pygmaliona do stworzonej przezeń Galatei. Skróś spowiedzi rzeźbiarza, snuje się pogląd, który wprowadził do estetyki prof. W. Jerusalem, kiedy sto-

---

[17]) Uderzające jest, jak niezmiernie podobnie, zwłaszcza do pierwszego sonetu o Heraklesie, scharakteryzował lud Tomasz Campanella:

Lud jest dziwacznym i grubym zwierzęciem,
Co nie zna własnych sił, idzie na smyczę,
Brzemiona znosi i lżenia i bicze,
Cicho uległy przed słabem dziecięciem,

Któreby jednym położył szturgnięciem;
Lecz drży i pełni służby niewolnicze.
Że jest postrachem, nie wie, bo panicze
Myśl mu stępili nikczemnem zaklęciem.

Rzecz nie do wiary: Dręczy się, zarzyna
Własnymi dłońmi, pod stryk wali ławą,
By ująć królom z haraczu — karlina.

sunek artysty do tworzonego dzieła nazwał „zalotami miłosnymi“ (Liebeswerben). Na przykładzie Pygmaliona poznajemy to uczucie jako palące, zabójcze, beznadziejne. Z innej strony tragizm jego bije z wiersza Asnyka poświęconego *Modrzejewskiej*. I tam artysta spala się żywcem w całożyciowej „walce z nieuchwyconym nigdy ideałem“, a nawet przybywa jeszcze inne, nieznane Pygmalionowi ognisko cierpienia: „brak spółczujących świadków“, niezrozumienie społeczne, samowiedza, że „źródło, co było w twórcze łzy bogatem, zostanie ciemną zagadką na zawsze“. Oba wiersze o twórczości czynią wrażenie postawionych na gruncie osobistym. Czytelnik nie przeczuwa zazwyczaj w tworzącym Asnyku: „tej wielkiej rany, skąd krwi upływa strumień nieprzebrany“; dopuścił on nas tylko do innego spojrzenia na swoją tajemnicę poety: że „choćby dał swą duszę, nie żąda nic dla siebie“.

Pygmalion spalił się w swojej miłości dla Galatei, lecz nie żałuje. Wie, że płomień, który ukrył pod milczącym głazem, wybuchnie po jego śmierci. Mamy skondensowaną do jednej strofy całą filozofię sztuki Asnyka: Zrodzona na wczesnych jeszcze piętrach cywilizacyjnych z „żądzy zmysłowej, namiętnej“ i objawiona u początku w „ciała czystości dziewiczej“, o czym już wiemy, w pewnej chwili „przez tajemniczy krąg przeobrażeń“, wchodzi do świata ducha, staje się siłą podnoszącą, uszlachetnia, kładzie piętno swoje na wszystkich objawach życia ludzkiego, zaczyna „karmić głodnych chlebem ideału“, jak powiada Asnyk do Modrzejewskiej, a „w dziedzinie ludzkich uczuć i czynów rozwija wieczyste piękności ducha“ jak go uzupełnia *Pigmalion*. Wielka jest rola dana krasotwórstwu wobec ludzkości przez poetę, a jednak nie jest bezwzględna i nie stanowi celu sama dla siebie: Piękno i sztuka to tryumfalne Propylaie, którymi duch człowieczy wkracza w dziedzinę najwyższego, powszechnego Dobra i Ideału.

Dużo przecierpiał Asnyk, zanim mógł tę prawdę tak pełnym głosem wypowiedzieć. Na drodze jego młodzieńczego uwielbienia poezji, bo nią głównie w Polsce od dzieciństwa oddychał, stanął głuchy mur: nowy prąd myślowy, który strącił z przewodniego stanowiska duchowego piękno i ide-

---

Do nieb od ziemi wszędzie jego prawo;
Nie zna go, ale gdy mu kto spomina,
Własnych wybawców kamienuje krwawo.

alizm. Nie tu miejsce rysować etapy walki, którą przewojował, najcentralniejszej walki jego życia, spocząć tylko należy okiem na trzech odbiciach, jakie rzuciła na tło klasycznego krajobrazu. Myśl fragmentów niemal jednakowa, są to właściwie jej trzy różne warianty, różne zinstrumentowania. *Ociemniały Thamirys, Orfeusz i Bachantki, Lykofron do Fatum.*

Wszystkie znamionuje trójczłonowość, wyraźny znak pobudowania przez Asnyka własnej stacji filozoficznej — teza — antyteza — synteza, opartej o trzy pozycje czasowe: przeszłość — teraźniejszość — przyszłość. Samemu sobie wyznacza poeta za każdym razem inną rolę. Thamirys, niewidomy pieśniarz, właśnie on sam, zgnębiony, iż nie spełniło się nic z przeczuć, które w młodości kładł w pieśń swoją dla ludzi, iż przeciwnie, „rozpacz szła za uciskiem, gwałt kroczył za siłą, a nienawiść i zemsta rozdzielała ludy" (widać z tego, jak blisko z dawnej ojczyzny Thamirysa do Polski), przychodzi raz jeszcze na święte wzgórze Helikonu i błaga Muzy, tak ongi dla niego łaskawe, aby mu wytłumaczyły czarną zagadkę losów. Odpowiedź dziewic niebieskich, niestety, nieco szarzeje prozą, kiedy nazywają go niewdzięcznym. W kołysce hojnie przez nie obdarowany, świat, iż mu marzeń doraźnie nie ziścił, nazywa złym i bluźni czasom. Jakże ciężkiej askezy wymaga powołanie pieśniarskie! Nie dziwmy się jednak: I Asnykowi osobiście oznajmiła poezja, że otrzymał „moc nad sercem ludu", więcej dostać nie ma prawa. „Spełnienia snów, owoców trudu, nie pragnij tu oglądać" [18]). Dziewiczy głos na Helikonie obwieścił to samo twarde prawo:

Nie doskonałość waszym jest udziałem,
Nie tryumf, co już żadnej nie podlega zmianie,
Lecz postęp, okupiony dążeniem wytrwałem,
Dobra, prawdy i piękna wieczne pożądanie.
To wasz skarb, który szczęście najwyższe stanowi,

Z nim możemy piąć się śmiało naprzekór losom, pewni, że praca nasza nie pójdzie na marne. Tak daleko idzie Asnyk w hołdzie dla postępu, że zamykanie się człowieka w ścianach własnego dnia, bez postawienia stopy na szlaku, który od niego pocznie się wznosić w górę, nazywa egoizmem. Niech nam będzie pociechą, nam co jasności nie dożyjemy, którzy po nieomylnym gościńcu czasu chodzimy omackiem (ślepota pieśniarza może być tłumaczona i jako symbol), iż „świat

---

[18]) *Dałam ci moc.*

coraz więcej boskich przyswaja promieni". Poprzez grób jednakoż, wbrew Ozyrysowi — bo oto wróciliśmy jeszcze na naszą granicę — dają Muzy osłodę znękanemu poecie. Przyjdzie czas, kiedy wszystkie jego natchnienia wieszcze ozdobią go blaskiem niepożytej chwały:

I ten pośmiertny tryumf tęskniącego ducha
Będzie za mękę życia sowitą nagrodą.

Melancholijnym światłem majaczy nagroda nad ślepotą starca, krwią i łzami wiersza do Modrzejewskiej nad namiętnością Pygmaliona i trupem Orpheusa... Razem z miniaturowym dramatem o *Orfeuszu i Bachantkach* podnosi się puls poetycki na scenie w Tusculum. Orpheus to Asnyk we wczesnych latach twórczych, kiedy okryty żałobą wrócił z piekieł, zostawiwszy im najdroższy skarb duszy. Przy powrocie zastał ziemię hałaśliwą od orgij dzikich Bacchantek. Wezwały go i pieśń jego do swego rozpasanego grona. Odmówił wyrazem pogardy i w jednej chwili padł martwy od ciosu mściwych kobiet. To co się dzieje dalej, na pierwsze wrażenie dziwi. Oto nad trupem śpiewaka zjawia się Dionysos. W obronie jego znieważonej czci dokonano zbrodni. Lecz bóg potępia, bóg wyraża zgrozę. A potem — on właśnie — wypowiada pełne mądrości zdania o koniecznej przemianie epok i dróg ducha. Atoli kto zna Asnyka, zrozumie dlaczego syntezę włożył w słowa strony zbrodniczej i zwycięskiej. To jeden z głębokich węzłów jego myśli. W pierwszej godzinie nowy prąd wkracza niszczycielsko czy nawet przestępczo, sprawiedliwość wszelako nie wyłoni się z poza niego: z samych jego trzewi, z własnego dna dźwignie się konieczność, siła odmieniająca, aby ze zjawiska, co dzisiaj jest krzywdą, jutro uczynić błogosławieństwo. Burzenie jest boleścią, jest tragedią ludzi, którzy oddychali powietrzem wczorajszości i oddech im zabrano. Dionysos to siła dodatnia, a przynajmniej dojrzała samowiedza kierunku. Bacchantki to tylko ślepe narzędzia. Synteza pączkuje na ciele antytezy.

Świadomość, że sam Asnyk utożsamiał się z Orpheusem, i mord dokonany w naszej obecności sprawiają, iż droga wzwyż i mądrość głosu Dionysosa nie brzmi jako tryumf prawdy, lecz jak blada rezygnacja. To konieczność przejścia rozumem po własnym sercu. Postęp zestroi się ze zwycięstwem uczuć dopiero w ostatnim utworze: w *Lykofronie i Fatum.* Tu zwykłe człony stały się trzema epokami pod rozmaitą

naczelną władzą świata. Przeszłość miała rząd bogów pięknych i promiennych, ale kapryśnych i samolubów. Poeta zdobył się na zupełnie już krytyczne ustosunkowanie do niej, mimo że nosiła przewodni znak poezji i wyobraźni. Teraźniejszość to nie liczące się z człowiekiem Fatum, bezczuła maska na miejscu słonecznego Olympu, wyrok zagłady na wszystko, co jest sercem i marzeniem[19]). Przyszłość — przeczuwana dopiero, ale już widzialna w dalekich spojrzeniach ducha, ten co nam mignął w przechodzie: „jasny Bóg, który wciąż wyżej po szczeblach przemian poprowadzi światy".

Stanisław Krzemiński, otrzymawszy w r. 1879 od przyjaciela rękopis *Lykofrona do Fatum* dla umieszczenia w *Bluszczu,* zareagował nań podwójnym zachwytem: nad formą i nad przełamanym pesymizmem.

„Dziś otrzymałem nowy Twój list... z przecudną apostrofą *Lykofrona do Fatum.* Jakżebym jeszcze mógł milczeć? Powagą i rytmicznością swoją jakąś grecką, obywającą się bez rymów, nowy ten utwór jest tak pięknym i oryginalnym, że nie wiem, do czegobym mógł go w literaturze naszej porównać. Cieszę się niezmiernie z tej potęgi talentu twojego, który wciąż nowe formy dla natchnienia zdobywa... Wierzyłem i dziś wierzę w tego Prometeusza, którego masz w sobie. Szturmować do nieba to prawdziwe powołanie poety. W tobie właśnie, ci co cię rozumieją widzą takiego gwałtownika... Wiem też, żeś i ty nieraz w struny zwątpienia uderzył, ale znać było w tym tylko boleść duszy do ideału przywiązanej. Pesymizm aniołów jest najszczytniejszym idealizmem i innego nie chcę... Mój kochany Adamie, jako poeta powołany jesteś przez Rząd Świata do walki z pesymizmem, z czczością wszelką, z niewiarą wszelką, z poziomością wszelką i ciasnotą serc i umysłów. Jakże się cieszę, że to posłannictwo swoje spełniasz!".

Nie można godniejszych słów położyć u najdalszego dobiegu myśli Asnykowskiej w świecie klasycznym, jak właśnie wykrzyk radości najserdeczniejszego przyjaciela, bezpośredniego świadka przemiany.

---

19) Zajmujące jest bogactwo środków, których Asnyk użył dla zobrazowania niemiłej sobie ery pozytywistycznej. Na samym szczupłym wykrawku klasycznym widzimy odrazu trzy motywy: w Thamirysie dzisiejszość to — ślepota i nieszczęście pieśniarza, w Orpheuszu — Bakchantki, w Lykophronie — Fatum.

Po zdobyciu sobie ewolucjonistycznej i monistycznej [20]) twierdzy myślowej Asnyk w dalszym ciągu odwiedzał Włochy. Uspokojony, nie osnuwał już wokół ruin i marmurów swoich filozoficznych trosk — bezinteresownie patrzył. Rozkoszował się i malował poezją. I nam pora popatrzeć na jego krajobrazy. Włoskie są, tak, ale wiemy, że on i nadal we Włoszech widzi tylko Grecję. Obok wspomnianego już, wziętego zresztą nie z natury, lecz z dzieła sztuki i z wyobraźni opisu Thetydy na falach, cofniemy się, do równolatka *Achillesa* i *Teatru w Tusculum,* do przemalowanego *Fresku pompejańskiego. Fresk* to cudny twór poetyckiego pędzla, świetna transpozycja malowidła na wyrazy. Chciałoby mu się dać dwa sąsiedztwa: malarskie Boecklina, ponieważ oryginału starożytnego, któremu zawdzięcza powstanie, nie znamy, i muzyczne: Debussy'ego *L'aprèsmidi d'un Faune.*

Podróż włoska z r. 1888 przyniosła już krajobraz „z natury", bez malarskiego pośrednictwa, prześliczną *Taorminę.* Wiersz, z charakteru opisowy, poszedł na drogi zwykłej asnykowskiej liryki refleksyjnej: rozwinął się wstęgą tysiącoleci, które przed okiem wędrowca biegną od greckich ruin po promienne piękno dzisiejszych widoków.

Legendowe echa wieją
I słoneczne błyszczą mity...
Dni spółczesnych z Odysseją
Pada jeszcze blask odbity.

Starożytny duch Hellady
Swe pajęcze nici przędzie,
Choć zamglony, nikły, blady,
Piętno swoje wyrył wszędzie.

Zlał się z całą tą przyrodą,
I jak światło gdzieś z grobowca,
Pod powierzchnią życia młodą
Śle promienie dla wędrowca.

Oczarowany echami i promieniami poeta ma w każdym poruszeniu pióra tyle wdzięku, a w oczach jasności, w duszy tyle spokoju i zapatrzenia, tyle muzyki prostej, jak jego umiłowana piosenka grecka, co „wiecznie powraca", że wiersz urodzony w takich warunkach nie może nie budzić zachwytu. Jednej rzeczy chyba mu nie dostaje: „złoty pył przeszłości drzemiącej w laurach" zwycięża rozjarzone sycylijskie słońce: nie leje się ono żarem na świat, nie jest mocniejsze od tego, które wschodzi *Rankiem w górach,* w chłodnych północnych Tatrach. Ale już takim musimy brać Asnyka: bardziej niż nasycony koloryt śródziemnomorskiego krajobrazu podzi-

---

[20]) Patrz E. Kucharski i H. Szucki.

wiać nieskazitelną linię każdego obrysu, „każdy występ, każdy załom“, widoczny w migotach złotego pyłu wspomnień. Asnyk w ostatnim swoim okresie twórczym w znakomitej harmonii patrzy i myśli.

Równy pięknem *Taorminie* jest wiersz *Na polach Kartagi,* plon tej samej podróży 88-go r. i noszący tak samo nieomylne piętno późnego, o najwyższej doskonałości, stylu poety. Wbrew czasowej rozciągłości poprzedniego utworu mamy rozpołowienie: rzeczywistość i wizję, obraz w obrazie. Tylko wielki kunszt i głębokie wczucie się mogły trafić do słów malujących złom afrykańskiego wybrzeża, na którym oko nie widzi prawie nic, a myśl uderza o natłok mar i ech. „Grunt pogarbiony, zdziczały i nagi, odkryte doły, zaklęśnięte jamy i bezimienne szczątki wykopalisk, posępna plemion zginionych kotlina“. Znowu przychodzi na pamięć Beethoven i *Ruiny Ateńskie*... Nie podnosi na duchu, przeciwnie, jakby mocniej jeszcze nas pognębia pierwotne i obce wspomnieniom biedne życie arabskie, które się czepia dumnej historycznej ziemi. Wtem:

Słońce ku morzu zeszło gorejące,
A przez kaktusów dzikie żywopłoty
Wybiegło naraz promieni tysiące,
Przedarł się pożar czerwony i złoty...

. . . .

A mnie się zdało, że przedemną płonie
Olbrzymie miasto, gdzie wre bój zajadły,

. . . .

Goreją gmachy, świątynie, portyki,
A orły rzymskie ulatują górą.

Są — wynikły z nadmorskich agaw, z runi jęczmienia wschodzącego na strzaskanych odłamach, z otwartego łona ziemi, z którego się dotąd piętrzą warstwy cegły i kamieni. Widzenie walki i pożogi jest tak żywe, takim buchające żarem i szkarłatem, że zajmuje się od nich i goreje w naszych duszach dobiegły wraz z bitwą okrzyk *Vae victis*! a potem ponure refleksje Scipiona: „Pomyślałem — mówi zwycięzca Karthaginy w jakimś proroczym przejrzeniu dalekich wieków — iż dzień nadejść gotów, w którym dla Rzymu zajdzie chwały słońce“, i gdy duch jego zmaleje, a ci co go bronią, powymierają:

Może tak samo w krwi, ogniu i dymie,
Mściwej Nemezis karcące narzędzie,

Dzicz barbarzyńska, hańbiąc jego imię,
W gruz go obróci, gdy już nas nie będzie?.

Zanim słońce zgaśnie w morzu, widmo zapadnie w noc grobów, a poeta zostanie sam na pustkowiu z długo brzmiącym w duszy okrzykiem „Zwyciężonym biada“!, — nasza myśl zdążyła już, wstecz dróg twórczych Asnyka, zabiec do młodocianego utworu, w którym ciałem stało się to, co dla Scipiona było chwilową chmurą na słońcu tryumfu: śmierć ostatniego obrońcy Rzymu i jego rozpaczliwy wykrzyk: „Dziś zwyciężyłeś, Galilejczyku, lecz jutro....“. Głęboko organiczne są pewne poglądy Asnyka, konsekwentny i z jednej bryły jest jego duchowy świat, a jakkolwiek rósł przez lata i pod nieprzewidzianymi uderzeniami młotów dziejowych, umysł mędrca i uczucie o jednym naczelnym przywiązaniu, ustawiały wszystko w niezachwiany pion.

Szło mi o przesnucie myśli poety przez świat starożytny. Ani jedna z nich nie jest związana wyłącznie z tym gruntem, przeciwnie, wszystkie utwory, na które zwróciliśmy spojrzenie, mają swoje odpowiedniki w pozostałej twórczości. Asnyk rzucał pewnymi myślami wielokrotnie, urabiając je rozmaicie co do nastroju i nieraz fabuły; taki rzut, bywało, trafiał i doskonale się przyjmował w świecie starożytnym. Z drugiej strony antyk odegrał rolę kształtującą, jak widzieliśmy, w stosunku do samego poety. Asnyk stał duchowo, prawie równie mocno, na dwu oparciach: współczesnym sobie przyrodoznawstwie i na humaniorach. Sądzę, że w drugim odłamie najważniejszą „szkołą“ była mu starożytność. Przez historyczne postawienie, przez ciągłość aż po dziś dzień jej zjawisk duchowych, a z drugiej strony przez harmonię między pierwiastkami psychicznymi, w nim samym rwanymi przez czas pewien w sprzeczne zupełnie strony. Starożytność dopomogła mu wydatnie przy najcięższym kroku do jakiego zmusiły go okoliczności: przy odrywaniu się od Polski romantycznej do żyjącej realnością Polski popowstaniowej. Antyk był zbawienną klamrą, która mu dała postawić ten niebezpieczny krok nad przepaścią, kiedy przechodził ze szczytu na szczyt. Na samym jego tworzywie artystycznym położyła się dwukrotnie wyraźną pieczęcią: uspokojeniem we wczesnym spotkaniu i uwzrokowieniem po drugim. Przepiękne optycznie

opisy w ostatnich utworach, podkreślenie rysunku u poety, który początkowo dawał tylko blade kolory, jest bezwzględnym nabytkiem z południa. Okres wzmożonego i usamodzielniającego się od refleksji artyzmu, a raczej wsysającego ją w siebie coraz harmonijniej trwał, niestety, krótko. Śmierć przerwała go, kiedy poeta dłonią zwolnioną już od budowania Kosmosu, siał coraz swobodniej kwiaty piękna i myśli po wszystkich swoich drogach.

HORATIUS III 23. Do Pheidyli.

Gdy z nowiu wschodem dłonie podnosisz wzwyż
i bóstwa swoje, wiejska Pheidylo, czcisz,
gdy w darze składasz im latosie
plony, kadzidło i tłuste prosię —

zaraza żadna twych nie wyniszczy zbóż,
ni twoich winnic — przemoc gwałtownych burz,
ni od jesiennej niepogody
twoje wełniste nie zginą trzody.

Ofiarne bydło, które śród śnieżnych gór
Algidu hasa, strojnych w dębowy bór,
lub pasie się śród łąk albańskich,
padnie pod ciosem siekier kapłańskich.

Lecz ty nie musisz pod ofiarniczy nóż
wieść tłumu jagniąt! Skromnym Penatom złóż
w ofierze mirtu kruche wiązki
i w rozmarynu ich wieńcz gałązki!

Bo gdy ołtarza dotknie niewinna dłoń,
kosztownych darów zgoła nie niosąc doń,
to bóg przebłagać się pozwoli
garstką jęczmienia i szczyptą soli!...

Przełożył JÓZEF BIRKENMAJER

JULIUSZ KRYŻANOWSKI

SYMBOLIKA ONTOLOGICZNA CZY ALGEBRA LOGIKI

(na marginesie artykułu p. B. Bornsteina).

Przy końcu *Organonu* tak zawsze bezosobowy Aristoteles uderza wyjątkowo w osobistą nutę: podczas gdy w innych naukach twórcy mieli pewne podstawy opracowane już przez swych poprzedników, to ταύτης δὲ τῆς πραγματείας μὲν ἦν τὸ δ' οὐκ ἦν προεξειργασμένον, ἀλλ' οὐδὲν παντελῶς ὑπῆρχεν. I trudno odmówić mu racji: logika syllogistyczna pozostanie zadziwiająco oryginalnym tworem jednego człowieka. Wieki upłynęły, zanim pojawiła się groźna dla niej rywalka w postaci logiki symbolicznej i logistyki. I jeżeli rozwój nauki podpada — mówiąc terminologią Aristotelesa — pod kategorię rzeczy w których istnieje πρότερον καὶ ὕστερον nie podobna wyobrazić sobie procesu odwrotnego w logice. Również topologiczne ujęcie algebry logiki — pewnego rodzaju analogon do Eulerowskich diagramów w stosunku do logiki tradycyjnej — może być dopiero trzecim ogniwem w rozwoju logiki w ogóle. Dlatego teza p. Bornsteina o zaczątkach logiki geometrycznej u Platona mogłaby się wydawać *a priori* mało prawdopodobną. W zachowanych pismach Platona nie widzimy też sformułowań praw myślenia w sensie logicznym. Platona interesują z logiki właściwie tylko dwa działy: problem tworzenia pojęć i ich definicji i problem podziału logicznego. Zagadnieniem centralnym natomiast jego filozofii jest epistemologia i ontologia, niezależnie od tego, czy będziemy idee rozumieć po aristotelesowsku, jako substancje, czy też jako pewne 'prawa' idąc za interpretacją neokantystów (Natorp, Hartmann).

Lecz przejdźmy od tych ogólnych rozważań do zbadania tych danych, na których opiera p. Bornstein swe twierdzenie. Podstawą faktyczną wywodów p. B. jest nauka Platona zawarta w *Metafizyce* Aristotelesa, a w szczególności w ks. XIII i XIV.

Lektura tych ksiąg jest podwójnie przykra: z jednej strony musimy z trudem rekonstruować z rozsianych wypowiedzeń Aristotelesa dość mglisty obraz ostatniej fazy ideologii, fazy zabarwionej wpływami pythagoreizmu i wtłaczać go w ramy nauki znanej z dialogów, z drugiej zaś strony wyczuwamy w całej tej nieubłaganie konsekwentnej

a jednak dziwnie ciasnej krytyce jakieś wielkie nieporozumienie, jakieś starcie dwóch odmiennych nie tylko światopoglądów, ale i struktur psychicznych [1]). Trzeba przyznać p. B. że zupełnie ściśle przedstawia zasady tej pythagorejskiej ideologii: charakter jakościowy liczb idealnych, dwójkę nieokreśloną, pośredni świat przedmiotów matematycznych itd. Lecz gdy zaczyna się interpretacja tych terminów w duchu tezy artykułu, zaczynają się budzić wątpliwości. I tak pisze p. B.:

1. „Mnogość elementów świata idealnego sprowadza Platon do 10 kategoryj, do 10 liczb idealnych". Choć Aristoteles mówi rzeczywiście o ograniczeniu szeregu liczb idealnych do 10 (wprawdzie z zastrzeżeniem ὥσπερ τινές φασι M. 1084 a 13 bo w innym miejscu N. 1040 a 5 εἴπερ ἕκαστος τῶν ἀριθμῶν ἰδέα τις) to wcale nie wiemy, czy te dziesięć liczb przedstawiało naczelne kategorie, jak chce p. B. Przeciwnie z dalszej krytyki Arist. (αὐτοάνθρωπος, αὐτόιππος) wygląda, jakby one były ideami konkretnych zespołów. Mamy natomiast inny tekst (niecytowany przez p. B.), który świadczy wprawdzie o postulowaniu pewnych kategoryj przez Platona, ale który wskazuje zarazem, na to, że Platon wywodził je (a nie identyfikował) z dwóch naczelnych principiów (ἕν, δυὰς ἀόριστος) i z pewnych właściwości samych liczb: M. 8. 1084 a 33 γεννῶσι γοῦν τὰ ἑπόμενα, οἷον τὸ κενόν, ἀναλογίαν, τὸ περιττόν, τἆλλα τὰ τοιαῦτα ἐντὸς τῆς δεκάδος. τὰ μὲν γὰρ ταῖς ἀρχαῖς ἀποδιδόασιν, οἷον κίνησιν, στάσιν, ἀγαθόν, κακόν, τὰ δ' ἄλλα τοῖς ἀριθμοῖς.

2. „W ten sposób dialektyka czy logika sprowadza się u Platona w zasadzie do arytmetyki jakości, a że arytmetyka ta posiadać ma wysoce ogólny kategorialny charakter, więc jest ona w istocie rzeczy najbliższą temu, co teraz nazywamy algebrą jakości: przede wszystkim algebrą pojęć, czyli algebrą logiki". Przede wszystkim nic nie wiadomo, jak zaznaczyliśmy powyżej, o kategorialnym charakterze tych liczb. Następnie przejście od arytmetyki do algebry jest tu zbyt szybkie. Z tego, że niektóre (wszystkie?) idee były pojęte

[1]) Dzieło Robina daje świetną filologiczną egzegezę prawie całego tekstu tych ksiąg wraz z przejrzystym rozplanowaniem zasadniczych problemów, syntetyczne jednak konkluzje Robina budzą zastrzeżenia (np. nadrzędna rola liczb w stosunku do idei). Walkę dwóch światopoglądów — idealizmu i dogmatyzmu teoriopoznawczego — maluje dosadnie Natorp w ostatnich dwóch rozdziałach swego dzieła.

jako konkretne liczby (pythagorejskie πέρας było tu może ogniwem między normatywnym charakterem idei a liczbą) wnioskuje p. B., że mamy tu zaczątek algebry logiki. Ależ primo: algebra logiki polega na o g ó l n y m symbolizowaniu *(a, b . . .)* całego *universe of discourse,* a nie na konkretnej numeracji wybranych pojęć (czy kategoryj, jak chce p. B.); secundo algebra logiki zaczyna się dopiero wtedy i tylko wtedy, gdy mamy nie tylko samo symbolizowanie, ale gdy zaczynają się operacje *(calculus)* na tych symbolach. („As soon as a calculus is expressed in symbols meaning general terms and their relations in general, it is an ‚algebra", S. K. Langer, *An introduction to symbolic logic,* p. 235).

3. Dalej widzi p. B. „wybitne pokrewieństwo, prawie że identyczność dwóch zasad platońskich świata logicznego, jedności i dwójki nieokreślonej, z granicznymi pojęciami współczesnej algebry logiki: jedności *(1)* i zera *(0)*". Pozwólmy sobie zauważyć najpierw tak ubocznie, że owa rzekoma identyczność zewnętrznie o wiele więcej rzucałaby się w oczy, gdyby zamiast symbolu dwójki Platon był użył także zera, bo tak przypomina to wywodzenie *lucus a non lucendo.* Panu B. jednak chodzi o pokrewieństwo wewnętrzne, treściowe tych symbolów. Uzasadnienie podane przez niego możnaby poprzeć jeszcze tym argumentem, że według innych tekstów Aristotelesa Platon miał nazywać dwójkę nieokreśloną niebytem i fałszem, co stwarzałoby pozory analogii z rachunkiem zero-jedynkowym. Czy istnieje wszelako jaka analogia treściowa między tymi symbolami? Co znaczy u Platona jedność i dwójka nieokreślona? W przybliżeniu dałoby się to tak ująć: zasadniczy problem filozofii greckiej sprowadzenia wielości zjawisk do jednej ἀρχή rozwiązał Platon w pierwszej fazie rozszczepianiem się (mówiąc stylem Schopenhauera) jedności idei w formie przestrzenno-czasowej *(principium individuationis).* Adekwatne określenie tego drugiego elementu sprawiało Platonowi kłopot, jak to widać z wahania się terminologicznego χώρα, τὸ μέγα καὶ μικρόν, δυὰς ἀόριστος. Lecz uporawszy się ze światem zjawiskowym natrafił Platon na ten sam problem w świecie idei: jak wytłumaczyć wielość idei? Odpowiedź Platona jest jakgdyby przetransponowaniem poprzedniego rozwiązania na inną skalę: idee ‘powstają’ przez ‘rozszczepienie’ samej jedności w materii ‘idealnej’. Platońskie więc ἕν to maximum determinacji (ujęcie intensywne), δυὰς

ἀόριστος to *principium individuationis* w sferze idei (ujęcie extensywne). Ta interpretacja jest, jak mi się wydaje, zgodna z tym, co mówi o tych zasadach p. B. Posłuchajmy teraz, co mówi algebra logiki o jedności i zerze: „*0* logiczne jest właśnie wspólnym rodzajem dla *a* i *a'*, jest ich iloczynem logicznym: *0* = *aa'* (to znaczy: zero jest albo *a*, albo *nie-a* czyli *a'*). W tym określeniu logicznego zera popełnia p. B. mały lapsus: znak mnożenia nie oznacza 'albo' lecz 'i' [1]). Klasę zerową można symbolicznie przedstawić w ten sposób *(x): (xε0)* ⊃ *(xεA).(xε-A)*.

Otóż czy jest jakieś choćby dalekie pokrewieństwo (nie mówiąc już o identyczności) między „klasą, która nie ma żadnego elementu" a ontologiczną zasadą wielości czyto zjawisk czyto idei? I dalej — między najwyższym hierarchicznie bytem determinującym cały świat idei a całością złożoną z jakiejkolwiek klasy i jej negacji?

4. Wreszcie świat wielkości idealnych. Istnienie ich obok idei w systemie platońskim nie jest dla nas żadną niespodzianką. Fundamentalna dążność do szukania ἓν ἐπὶ πολλῶν musiała doprowadzić do najwyższych uogólnień (linie, powierzchnie, bryły) również na polu tej nauki. Ogniwem pośrednim (τὰ μεταξύ) między nimi a figurami świata zjawisk są więcej zróżnicowane „przedmioty matematyczne". Jeśli p. B. widzi w wielkościach idealnych „koncepcję geometryzacji świata idei", to odpowiemy mu, że te wielkości są raczej odpowiednikami przestrzennymi form geometrycznych świata zjawiskowego poprzez wielkości matematyczne niż rzutami idei-liczb w wymiary przestrzeni. Na potwierdzenie swego poglądu przytacza p. B. sposób genezy wielkości idealnych według Platona: oto mają one powstawać z połączenia liczb idealnych (1, 2, 3, 4) i form przestrzennych dwójki nieokreślonej. Ten jednak sposób genezy ich jest według wszelkiego prawdopodobieństwa koncepcją Xenokratesa (v. Robin n. 272), podczas gdy według Platona zasadą determinującą było analogon jedności — linia niepodzielna. Ale nawet gdyby pierwszy sposób był własnością Platona, to szedłby tu Platon nie tylko za dawnymi koncepcjami pythagorejskimi (v. Diels,

---

[2]) Langer op. cit. p. 75: joint assertion, this is expressed by the word 'and' or the traditional symbol '.'.

Fragmente der Vorsokratiker s. 335 Theol. arith. τὸ μὲν γὰρ ᾱ στιγμή τὰ δὲ β̄ γραμμή, τὰ δὲ τρία τρίγωνον, τὰ δὲ δ̄ πυραμίς — o Philolaosie) lecz także za tradycją języka greckiego wyrażającego właściwości liczb terminami przestrzennymi. Zresztą poza tym liczbowym symbolizowaniem figur nie mamy tu również żadnych formuł relacyj przestrzennych, od których dopiero zaczyna się topologia. Jedyna paralela godna uwagi, którą podkreśla p. B., to podobieństwo między rozwijaniem się podziału dichotomicznego a liczbami symbolizującymi podstawowe figury idealne: punkt (1), linia (2), powierzchnia (4), bryła (8). Pomijając wszakże ten fakt, że owa analogia jest zaczerpnięta z pseudo-platońskiej *Epinomis* i że widoczne jest w niej pythagorejskie podkreślanie doniosłości potęg dwójki, wiemy, że Plato paralelizował wielkości idealne nie z szeregiem 1—2—4—8, lecz z szeregiem 1—2—3—4 (opieramy się tu na tekście *de anima* I 2, 404 b, 21—27 a nie na *Met.* N 3, 1090 b 20—24, który dotyczy raczej Xenokratesa) i że nie zacieśniał podziału logicznego do dichotomii, o czym świadczy Philelos 16 D: μετὰ μίαν δύο, εἴ πως εἰσί, σκοπεῖν, εἰ δὲ μή, τ ρ ε ῖ ς ἤτινα ἄλλον ἀριθμόν.

Kończąc[2]) powtarzamy jeszcze raz: naczelne zasady Platona — jedność i dwójka nieokreślona to ontologiczne principia tłumaczące ‘powstawanie’ świata zjawisk i świata idei, symbolika liczbowa to nie żadne algebraiczne czy arytmetyczne ujęcie relacyj pojęć, lecz pythagorejska wiara w doniosłość ilościowego tłumaczenia jakości (cp. Arist. *Met.* A 9, 992 a 32 γέγονε τὰ μαθήματα τοῖς νῦν ἡ φιλοσοφία). Jeżeli przeto *licet componere parva magnis,* to mogliśmy wywody p. B. scharakteryzować, tym wyrażeniem, którego użył Aristoteles mówiąc o zasadach Platona, „że się je tak naciąga, że aż krzyczą“ (Arist. *Met.* N 3, 1091 a 8: φαίνεται δὲ καὶ αὐτὰ στοιχεῖα τὸ μέγα καὶ τὸ μικρὸν βοᾶν ὡς ἑλκόμενα).

---

[3]) P. B. daje jeszcze diagramat z zakresu topologii logicznej; w świetle powyższych rozważań krytyka jego wydaje się nam zbędną.

BENEDYKT BORNSTEIN

JESZCZE O POCZĄTKACH LOGIKI MATEMATYCZNEJ U PLATONA

(w odpowiedzi p. J. Krzyżanowskiemu).

W artykule *Symbolika ontologiczna czy algebra logiki* p. Krzyżanowski podnosi szereg zarzutów przeciwko poglądom naszym, przedstawionym w artykule *Początki logiki geometrycznej w filozofii Platona* (Przegląd Klasyczny 1938 IV, 8—9), formułując je w 4 punktach. Oto nasza na nie odpowiedź.

Ad 1. W punkcie tym p. K. bierze pod obstrzał twierdzenie moje, że „mnogość elementów świata idealnego sprowadza (Platon) do 10 kategoryj, do 10 liczb idealnych". Zgadzając się (z pewnymi zastrzeżeniami [1]), że istotnie mamy u Platona zredukowanie szeregu liczb idealnych czyli liczb-idei do 10, poddaje jednak w wątpliwość, czy tych dziesięć liczb-idei przedstawia naczelne kategorie. Ostatecznie, opierając się na Aristotelesa *Met.* VIII 1084, 33—7 dochodzi do wniosku, że kategorie te wprawdzie wywodzą się z liczb idealnych wzgl. z ich zasad, lecz jednak nie są z nimi identyczne.

Otóż wszystkie te rozważania chybiają całkowicie celu, albowiem nie mają nic wspólnego z tym, o co mnie chodziło, gdy identyfikowałem 10 liczb idealnych z 10 kategoriami. Jak się okazuje z wzmiankowanej powyżej cytaty z *Met.* Aristotelesa, p. K. bez żadnych podstaw przypuszczał, że mówiąc o kategoriach, mam na myśli jakieś naczelne kategorie metafizyczne, czy kosmiczne w rodzaju ruchu, spoczynku, dobra, zła itp. Cała jednak ta sprawa była mi tu najzupełniej obojętna. Miałem tu na myśli tylko kategorie logiczne (wzgl. arytmetyczno-idealne), najwyższe jednostki świata logicznego, pojęcia najogólniejsze — i te pojęcia, najogólniejsze — zgodnie z odwieczną tradycją — nazywałem

[1]) Niewątpliwie jednak, kiedy Aristoteles powiada, że „wszelka liczba jest ideą, to ma on na myśli liczby arytmetyczne, nie zaś idealne, idea zaś nie jest tu ideą naczelną. Kiedy zaś mówi o 'człowieku w sobie' jako np. trójce, zaś o 'koniu w sobie' jako czwórce, to może to mieć jakiś sens wtedy tylko, gdy trójka i czwórka są tu liczbami arytmetycznymi, nie zaś liczbami idealnymi, przedstawiającymi idee naczelne w najwyższych stopniach ogólności.

kategoriami, w przeciwieństwie do mnogości idei niższych, bardziej wyspecyfikowanych, podpadających pod te nieliczne idee najogólniejsze, liczby-idee, pod te „kondensacje kategorialne świata idei“ (s. 532). Samo więc pytanie, „czy te dziesięć liczb przedstawiało naczelne kategorie“ jest tu elementarnym nieporozumieniem, albowiem synonimicznie naczelne idee (tutaj dziesięć liczb) nazywam — zgodnie ze zwyczajem — kategoriami. Mamy tu nieporozumienie, zawinione nie przeze mnie.

Odkładając na później rozpatrzenie punktu drugiego uwag polemicznych p. K., przechodzimy teraz do punktu trzeciego.

Ad 3. Tutaj, niestety, sprawa przedstawia się gorzej, niż w punkcie pierwszym. Tam mieliśmy do czynienia z nieporozumieniem, które możnaby nazwać wprost niewinnym, w porównaniu z tym, z czym się tutaj spotykamy. Chodzi tu mianowicie krytykowi o moje twierdzenie, w którym, przechodząc od liczb-idei do ich zasad, podkreślam „wybitne pokrewieństwo, prawie że identyczność dwóch zasad platońskich świata logicznego, jedności i dwójki nieokreślonej, z granicznymi pojęciami współczesnej algebry logiki: jednością (1) i zerem (0)“. P. K. charakteryzuje przede wszystkim te dwie naczelne zasady platońskie (jedność — to maximum determinacji, zero to zasada indywiduacji, wielości) i kończy tę charakterystykę, mówiąc: „ta interpretacja jest, jak mi się wydaje, zgodna z tym, co mówi o tych zasadach p. B.“. W istocie rzeczy jest tak, i pod tym względem jesteśmy w ogólnych zarysach zgodni ze sobą, chociaż charakterystyka p. K. zbyt słabo podkreśla pewne ważne momenty np. nieokreśloność dwójki nieokreślonej. Ale oto zbliżamy się do właściwego kamienia obrazy, kiedy krytyk przechodzi do zasad logicznych jedności i zera w celu skonfrontowania ich z powyższymi zasadami platońskimi i wykazania, że między nimi nie ma nie tylko wybitnego, jak ja twierdzę, lecz nawet choćby dalekiego pokrewieństwa. „Posłuchajmy teraz — powiada p. K. — co mówi algebra logiki o jedności i zerze“ i cytuje tu słowa moje: „*0* logiczne jest właśnie wspólnym rodzajem dla *a* i *a'*, jest ich iloczynem logicznym: $0 = aa'$ (to znaczy: zero jest albo *a*, albo *nie-a* czyli *a'*)“. Po czym, zarzucającmi tu mimochodem ‘mały lapsus’ [2]), przechodzi gwałtownie

[2]) P. K. śmiało twierdzi: „W tym określeniu logicznego zera

do zera, jako klasy (pustej) i powiada: „otóż czy jest jakieś choćby dalekie pokrewieństwo (nie mówiąc już o identyczności) między 'klasą, która nie ma żadnego elementu', a ontologiczną zasadą wielości czy to zjawisk, czy to idei?".

Okazuje się, że krytyk po przeczytaniu całego artykułu nie zauważył takiej podstawowej rzeczy, że logikę i topologikę traktuję tutaj całkowicie z punktu widzenia treści (to znaczy: pojęć ogólnych), nie zaś z punktu widzenia klas (zakresów). Ten treściowy punkt widzenia — który jedynie pozwala na zbliżenie logiki matematycznej do filozofii w ogóle, a specjalnie do filozofii idealistycznej, takiej, jaką reprezentuje Platon — zdaje się być zupełnie obcy p. K., (skoro nie dojrzał go u mnie, pomimo tego, że niejednokrotnie podkreślałem ten treściowy charakter logiki w moich rozważaniach (np. na s. 543 lub w odnośniku na s. 537), o klasach zaś zupełnie nie wspominałem. Mimo to p. K. z całą swobodą traktuje zero logiczne, które występuje w moich rozważaniach, jako klasę, nie zaś jako treść — to już nie jest nieporozumienie, lecz zasadnicze niezrozumienie kwestii, pociągające za sobą skutki opłakane, przede wszystkim zaś uniemożliwiające bezpośredni wgląd w najgłębsze pokrewieństwo, zachodzące między zerem logicznym a dwójką nieokreśloną.

Zobaczmy jednak teraz, jak się sprawa stosunku tych dwóch elementów przedstawiać będzie, kiedy *0* pojmiemy jako treść logiczną. Będzie wtedy *0* treścią najogólniejszą, najwyższym rodzajem, prarodzajem, będzie to 'coś, cokolwiek', minimum logiczne (por. odnośnik na s. 537), treść najmniej określona, najmniej zróżniczkowana, minimum determinacji. Z tej to treści nieokreślonej, z tego zera logicznego za spra-

---

($O = aa'$, to znaczy: zero jest albo *a*, albo *nie-a* czyli *a'*) popełnia p. B. mały lapsus: znak mnożenia nie oznacza „albo", lecz „i". Najwidoczniej krytyk miał do czynienia tylko z taką symbolizacją znaku mnożenia i przypuszczał, że jest ona jedyna. Ale tak nie jest. Znakowania różnych logików różnią się między sobą, i np. Hilbert w swej logice teoretycznej (D. Hilbert und W. Ackermann, *Grundzüge der theoretischen Logik,* 1928) przez znak mnożenia oznacza „albo". I my też przez znak mnożenia oznaczamy „albo" i wyraźnie to zaznaczamy, pisząc: $O = aa'$ (to znaczy zero jest albo *a,* albo *nie-a,* czyli *a'*). Ale wtedy nie można nam przecie zarzucać, że znak mnożenia nie oznacza tego, co u nas ma on oznaczać — przecież to są konwencje. Mamy tu lapsus, ale ze strony p. K. — i to nie mały.

wą różnic gatunkowych rozwija się w przeciwieństwach wielość elementów już zróżnicowanych (*a—a'* itp.), i ta treść nieokreślona, to zero logiczne jest tym, co mają te elementy wspólnego z sobą, jest ich wspólnym, niezróżnicowanym, nieokreślonym substratem, jest ich iloczynem logicznym $(a \times a' = 0)$. Słowem: zero logiczne, ta najuboższa, niezdeterminowana, nieokreślona treść logiczna jest zasadą i możliwością (potencjalnością) wielości elementów, przede wszystkim dwójek elementów przeciwstawnych (*a—a'* itp.).

A czym jest platońska dwójka nieokreślona? Wszak jest to właśnie — jak sama jej nazwa wskazuje — ów element nieokreślony i niezdeterminowany, który jest możliwością 'wielkiego i małego', a więc dwójki (wielości) elementów przeciwstawnych (sam jest 'wielkiem i małem' potencjalnie).

Zero logiczne i platońska dwójka nieokreślona okazują się nie tylko wybitnie sobie pokrewne, lecz wprost i całkowicie identyczne [3]).

A teraz zapytujemy: czy ta platońska dwójka nieokreślona bardzo 'krzyczy' — jak to powiada p. K. w ostatnich słowach swej krytyki — gdy ją zestawiamy i identyfikujemy z zerem algebry logiki, czy to zestawienie i ta identyfikacja są 'naciągnięte', czy też raczej odwrotnie: najbliższe, najgłębsze pokrewieństwo, wprost identyczność tych zasad narzuca się nieodparcie, gdy zero logiczne pojmowane jest tak, jak u nas, treściowo, nie zaś klasowo.

Cała ta sprawa przedstawiona była przez nas dostatecznie jasno; mogła być i powinna była być przez krytyka zrozumiana. Ale krytyk zestawia treściowo pojmowane zasady platońskie z klasowo pojętymi elementami algebry logiki, a potem stwierdza, że nie wykazują pokrewieństwa!

Przechodzimy z kolei rzeczy do punktu czwartego krytyki p. K.

Ad 4. Poruszone tu są sprawy dla nas najważniejsze, dotyczą bowiem 'wielkości idealnych', a więc odpowiedników

---

[3]) Jeżeli chodzi o jedność algebry logiki i jedność platońską, to również zbiegają się one z sobą zasadniczo, jako elementy maksymalnie zdeterminowane, jako treści całościowe, wszystko w sobie reprezentujące, nawet elementy wzajemnie przeciwstawne: $1 = a + a'$. To właśnie, że jedność logiczna jest wyznaczona przez elementy biegunowo przeciwstawne, stanowi o jej hyperdeterminacji.

przestrzennych liczb-idei. Jeżeli można stwierdzić, że kategorialnym typom logicznym, liczbom-ideom, i ich zasadom starał się Platon przyporządkować kategorialne typy geometryczne, figury idealne i zasady tych figur — to eo ipso zostaje u Platona stwierdzona, „koncepcja geometrii świata idei“, stanowiąca ośrodek zainteresowania naszego artykułu. Otóż na s. 535—538 próbujemy zrozumieć genezę tej koncepcji, a następnie sprecyzować ją bardziej szczegółowo.

Przede wszystkim więc zwracamy uwagę na to:

1. że w samym pojęciu platońskiej idei = εἶδος mamy już zawarte pojęcie kształtu,
2. że w związku z tym świat idei Platon pojmował już w *Rzeczypospolitej* na podobieństwo ‘miejsca logicznego’, ‘przestrzeni logicznej’,
3. że gdy Platon doszedł do koncepcji idei-liczb, to odwzorowanie przestrzenne elementów świata idei nasunęło już mu się samo przez się, albowiem za Pythagorasem świat liczb uważał za najbliżej spokrewniony ze światem przestrzeni.

Następnie zaś stwierdzamy:

4. że Platon istotnie wprowadził ten czwarty rodzaj przedmiotów — figury idealne (Aristoteles, *Met.* I 9, 992 b), umieszczając ich dziedzinę między światem idei-liczb z jednej strony, a światem przedmiotów matematycznych i światem zjawisk z drugiej strony,
5. że świat figur idealnych (linia idealna, powierzchnia idealna, bryła idealna) był u Platona światem jakościowych wzorów dla elementów geometrycznych, że przedstawiał w ten sposób skrót kategorialny, kategorialną kondensację zwykłego mnogościowego świata geometrii (Aristoteles, *Met.* I 6, 987 b) równolegle do tego, jak świat liczb-idei przedstawiał taką samą kondensację zwykłych liczb arytmetycznych i zwykłych idei,
6. że — zgodnie z powyższym — równolegle do dekady liczb-idealnych przyjmuje Platon dekadę figur idealnych (Aristoteles, *Met.* XIII 8, 1084a przy końcu),
7. że analogicznie do tego, jak dekada liczb idealnych ma swe zasady logiczno-arytmetyczne w jedności i wielości (dwójce nieokreślonej), tak też i dekada figur

idealnych ma swe zasady geometryczne w dwóch elementach, odpowiadających przestrzennie tym zasadom logiczno-arytmetycznym. Miejsce jedności zajmie tu punkt niepodzielny, wzgl. linia niepodzielna; na miejscu wielości (dwójki nieokreślonej) mieć tu będziemy przestrzeń, jako coś jeszcze nieokreślonego, jeszcze niezróżnicowanego. Przy tym podkreśla się wyraźnie związek i odpowiedzialność analogiczną tych zasad świata figur idealnych z zasadami świata idei (Aristoteles, *Met.* XIII 9, 1085 a, 31—32).

Wreszcie podajemy:

8. dwie próby platońskie przyporządkowania poszczególnych figur idealnych: linii idealnej, powierzchni idealnej i bryły idealnej — liczbom idealnym 2, 3, 4 (Aristoteles *Met.* XIV 3, 1090 b, 20—24) wzgl. liczbom idealnym 2, 4, 8 (*Epinomis*).

Jeżeli nawet pozostawimy tymczasem na uboczu próby takiego czy innego przyporządkowania poszczególnych figur idealnych elementom arytmetyczno-logicznym, to 7 punktów wyżej wymienionych, a specjalnie punkty 4—7 wystarczą chyba, żeby stwierdzić niezbicie, że według Platona świat figur idealnych ma przedstawiać doskonałe przestrzenne analogon świata liczb-idei, że więc poza wszelką wątpliwością mamy tu platońską „koncepcję geometryzacji świata idei".

Jak się ustosunkowuje do tego nasz krytyk? Nie zwróciwszy najmniejszej uwagi na dane, zawarte w naszej pracy, a zrekapitulowane tutaj w punktach 1—3 i 5—7, powiada on tak: „Jeśli p. B. widzi w wielkościach idealnych „koncepcję geometryzacji świata idei", to odpowiadamy mu, że te wielkości są raczej odpowiednikami [4]) przestrzennymi form geometrycznych świata zjawiskowego poprzez wielkości matematyczne, niż rzutami idei-liczb w wymiary przestrzeni".

Co to znaczy? Otóż p. K., mając przed sobą cztery związane z sobą światy platońskie: świat logiczny, świat figur idealnych, świat tworów matematycznych i świat zjawisk, łączy świat figur idealnych z dwoma niższymi od niego światami — do czego zresztą ma najzupełniejsze prawo i co

---

[4]) W każdym razie nie odpowiednikami, tylko kategorialnymi kondensacjami przestrzennych form geometrycznych.

my również czynimy (por. w naszym artykule s. 536, pierwsze cztery wiersze od góry). Ale czy to może być w najmniejszym choćby stopniu argumentem przeciwko temu, że ten świat figur idealnych jest również związany, według koncepcji Platona, węzłami najściślejszej analogii ze światem wyższym od niego, światem logicznym, jak to niezbicie wykazały dane, zrekapitulowane w powyższych siedmiu punktach, pomijając już tymczasem punkt ósmy. Argumentacja p. K. dokładnie odpowiada takiej oto formie rozumowania: „Lokal na trzecim piętrze nie ma rozkładu analogicznego do (rozkładu) lokalu na wyższym, czwartym piętrze, albowiem ma rozkład analogiczny do (rozkładu) lokalów na niższych piętrach, pierwszym i drugim". Takiego oto rodzaju jest odpowiedź p. K. na moje wywody, stwierdzające u Platona istnienie „koncepcji geometryzacji świata idei".

Pominąwszy milczeniem całkowitym punkty 1—3 i 5—7, p. K. bliżej nieco rozpatruje próby przyporządkowania poszczególnych figur idealnych liczbom idealnym (obecny punkt 8). Jeżeli chodzi o przyporządkowanie figur idealnych liczbom 1, 2, 3, 4, to p. K. waha się, czy uznać Platona za autora, który wyprowadza wielkości idealne bezpośrednio z połączenia liczb idealnych — co jakoby jest moim zdaniem — i form przestrzennych dwójki nieokreślonej, czy też przyjąć, że wyprowadza je Platon z linii niepodzielnej (analogonu jedności [5]) i form przestrzennych dwójki nieokreślonej. Ale to ja właśnie twierdzę wyraźnie, że Platon próbuje wyprowadzić poszczególne figury idealne z dwóch zasad przestrzennych („Z tych dwóch zasad przestrzennych [punktu, wzgl. linii niepodzielnej i przestrzeni] Platon próbuje wyprowadzić dekadę idealnych", s. 534), a tylko dla zorientowania się w sposobie przyporządkowania powołuję się na Aristotelesa *Met.* XIV 3, 1090 b 20—24, gdzie mowa o tych, którzy będąc wyznawcami Platona wyprowadzają jednak linie, powierzchnie i bryły idealne bezpośrednio z liczb 2, 3, 4).

A więc mamy tu znowu nieporozumienie, i znowu nie przeze mnie zawinione.

---

[5]) Uznaje więc jednak p. K., że linia niepodzielna, zasada świata figur idealnych, nie jest tylko związana ze światem matematycznym i zjawiskowym, lecz jest według Platona analogonem jedności, zasady świata arytmetyczno-logicznego.

Tak się sprawa przedstawia w krytyce p. K. z pierwszą przytoczoną przez nas próbą platońską sparalelizowania figur idealnych i liczb idealnych. O drugiej z tych prób powiada krytyk tak: „Jedyna paralela godna uwagi, którą podkreśla p. B., to podobieństwo między rozwijaniem się podziału dichotomicznego a liczbami symbolizującymi podstawowe figury idealne: punkt *(1)*, linia *(2)*, powierzchnia *(4)*, bryła *(8)*“. Zaraz jednak p. K. osłabia znaczenie tego przyporządkowania mówiąc: „wiemy, że Platon paralelizował wielkości idealne nie z szeregiem *1—2—4—8*, lecz z szeregiem *1—2—3—4*“ [6]). Oczywista jednak, że fakt, iż Platon paralelizował wielkości idealne z liczbami *1, 2, 3, 4* nie wyłącza u niego możliwości prób innego ich analogizowania np. z szeregiem *1—2—4—8*. Że rozmaite były próby paralelizowania tych dwóch światów, świadczy o tym Aristoteles, powiadając o wyznawcach teorii idei, że konstruowali oni wielkości idealne z liczb *2, 3, 4* „albo też z innych liczb, bo to nie stanowi różnicy“ (Aristoteles *Met.* ostatnio cytowane XIV 3, 1090 b, 20—24). Zupełnie to samo mamy prawo przypuścić o samym Platonie, nie widząc w zjawieniu się szeregu *1—2—4—8* bynajmniej dowodu nieautentyczności traktatu *Epinomis*, w którym ten szereg występuje. Gdybyśmy jednak nawet przyjęli, że *Epinomis* nie jest dziełem samego Platona, lecz jego bezpośredniego i najbliższego ucznia Philipposa Opunckiego (por. s. 536 naszego artykułu), to sprawa ta dla nas nie miałaby tutaj żadnego poważniejszego znaczenia, ponieważ w każdym razie traktat ten reprezentowałby poglądy najstarszej Akademii, inspirowanej bezpośrednio przez samego mistrza.

Tak się oto sprawa przedstawia z faktem, niewątpliwym zresztą i dla samego p. K. (por. ostatni odnośnik), że Platon poszczególne figury idealne w ten czy inny sposób analogizował z liczbami-ideami, a więc że i pod tym względem,

---

[6]) Uznaje więc jednak p. K., że Platon paralelizował wielkości idealne z szeregiem liczb-idei, a więc że istniała u niego „koncepcja geometryzacji świata idei“ (por. tu również poprzedni odnośnik).

[7]) Musimy przy tym podkreślić tu — idąc za Stenzla *Zahl und Gestalt bei Platon u. Aristoteles*, 1924, s. 92, 3 — że to pojęcie rozwijania się (αὔξη) nie występuje bynajmniej tylko w *Epinomis*, lecz również w X księdze *Praw* (894a), gdzie również służy przy trzykrotnym zastosowaniu do zrozumienia powstania trójwymiarowych ciał. Mamy tu poważny argument na korzyść autentyczności *Epinomis*.

w szczegółach, starał się realizować swą koncepcję ogólną geometryzacji świata idei.

Powróćmy jednak na chwilę jeszcze do *Epinomis*. Traktat ten istotnie jest dla nas bardzo ważny, gdyż występuje w nim wyraźnie paralelizacja świata logiki, arytmetyki i geometrii (por. s. 536—538) w postaci równoległego 'rozwijania się' (αὔξη [7]) elementów tych dziedzin. Równolegle do tego jak *1* rozwija się, zdwajając, poprzez *2* i *4* do *8*, tak samo rozwija się praidea w szeregu podziałów dichotomicznych na rodzaje i gatunki, i tak samo rozwija się (rozciąga) punkt poprzez linię i powierzchnię (kwadrat) do bryły trójwymiarowej (sześcian). Mamy więc tu pewną czynność, pewne działanie, mianowicie działanie rozwijania (się), które spotykamy zarówno w dziedzinie logiki (szereg dichotomii), jak i arytmetyki oraz geometrii. Stwierdzenie tego okaże się pożytecznym teraz, kiedy przechodzimy do rozpatrzenia punktu drugiego krytyki, którego dotychczas nie poruszaliśmy jeszcze, a który dotyczy algebry logiki.

Ad 2. Pan K. twierdzi, że nie ma u Platona zaczątków tej nauki, jak ja to wnioskuję rzekomo „z tego że niektóre (wszystkie?) idee były pojęte jako konkretne liczby". „Ależ primo — powiada w dalszym ciągu p. K. — algebra logiki polega na o g ó l n y m symbolizowaniu *(a, b...)* całego *universe of discourse* a nie na konkretnej numeracji wybranych pojęć (czy kategoryj, jak chce p. B.)". Mielibyśmy więc tu takie przeciwieństwo: algebra logiki posiłkuje się ogólnym symbolizowaniem *(a, b...)* wszystkich pojęć, u Platona zaś mamy konkretną jakoby numerację tylko wybranych pojęć. Ale jeżeli algebra logiki wszystkie pojęcia o g ó l n i e symbolizuje za pomocą (nielicznych) znaków *(a, b...)*, to oczywiście te znaki *a, b...* reprezentują jakieś (nieliczne) pojęcia o g ó l n e czyli kategorie (takie jak rodzaj, różnica gatunkowa itp.), pod które następnie dopiero podpadają wszystkie pojęcia bardziej szczegółowe. Zupełnie tak samo jednak liczby-idee są to nieliczne kategorie (por. ad 1), formy ogólne, pod które podpadają wszystkie pojęcia czy liczby bardziej szczegółowe, bynajmniej zaś nie są to 'konkretne liczby', jak to chce p. K. Nie różnią się więc między sobą zasadniczo co do charakteru elementy algebry logiki i jakościowe liczby-idee Platona.

Jeszcze i drugi argument przytacza p. K. na potwierdzenie swej tezy, że nie ma u Platona zaczątków algebry logiki. „Secundo — powiada on — algebra logiki zaczyna się dopiero wtedy i tylko wtedy, gdy mamy nie tylko samo symbolizowanie, ale gdy zaczynają się operacje *(calculus)* na tych symbolach“. Otóż, jak widzieliśmy dopiero co (przy końcu ad 4) mamy właśnie u Platona logiczne operacje, logiczne działanie rozwijania — wyraża się ono w współczesnej logice algebry w tzw. prawie rozwijania *(la loi du développement)* — które arytmetycznie symbolizuje Platon przez działanie zdwajania, prowadzące od *1* do *2, 4, 8,* geometrycznie zaś przez rozwijanie bezwymiarowego punktu na twór jedno-, dwu- i trzywymiarowy. Mamy więc u Platona działania i arytmetyczne i geometryczne, mamy więc nie tylko analogizowanie samych elementów dziedziny logicznej, arytmetycznej i geometrycznej, ale również i analogizowanie stosunków i działań w tych dziedzinach. Nie mamy jeszcze, oczywiście, u Platona symbolów algebry jakościowej, nie mamy więc tam we właściwej, algebraicznej postaci zaczątków algebry logiki, ale możemy na zasadzie powyższego, — jak to uczyniliśmy już dawniej (por. s. 532) — śmiało powiedzieć: „Logika sprowadza się u Platona w zasadzie do arytmetyki jakości, a że arytmetyka ta posiadać ma wysoce ogólny, kategorialny charakter, więc jest ona w istocie rzeczy najbliższa temu, co teraz nazywamy algebrą jakości. Tak więc Platon, twórca logiki europejskiej, jest równocześnie antycypatorem logiki matematycznej w postaci logiki arytmetycznej, bezpośrednio już prowadzącej do logiki algebraicznej“. Zwracamy tu uwagę na to, że nigdy nie przychodzi nam na myśl nazywać Platona twórcą logiki arytmetycznej, algebraicznej czy geometrycznej, lecz zawsze mówimy o nim tylko jako o antycypatorze logiki matematycznej: logiki arytmetycznej, geometrycznej, tylko zaś pośrednio — algebraicznej. A do tego chyba — jak staraliśmy się to wykazać — prawo mamy zupełne.

P. K. pyta w tytule swej krytyki: ‘symbolika ontologiczna czy algebra logiki?’, kończąc zaś mówi: „naczelne zasady Platona — jedność i dwójka nieokreślona to ontologiczne principia tłumaczące powstawanie świata zjawisk i świata idei, symbolika liczbowa to nie żadne algebraiczne czy aryt-

metyczne ujęcie relacyj pojęć...“. Ale przecież, jeżeli jedność i dwójka nieokreślona to principia, tłumaczące powstanie świata idei (i świata zjawisk), to ta symbolika liczbowa *eo ipso* służy Platonowi do arytmetycznego ujęcia relacyj pojęć, ujęcia ich powstawania, rozwijania się z dwójki przy pomocy jedności, jak to czyni znów obecnie algebra logiki, mówiąc o rozwijaniu się logicznego zera. A więc nie ma i być nie może rozbieżności i wyłączania się między niewątpliwym ontologizmem Platona a również niewątpliwą jego tendencją do nadania logice charakteru matematycznego. Bo Platon z logiki, którą dopiero powoływał do bytu, chciał właśnie stworzyć równocześnie ścisłe, jakościowo-matematyczne narzędzie filozofii, metodę ontologicznego, metafizycznego i fizycznego poznania.

HORATIUS, I 9, AD THALIARCHUM

Vides ut alta stet nive candidum

Widzisz, jak stoi, w srebrny odziana śnieg
Soracte?... widzisz tafle zamarzłych rzek?...
Widzisz, jak lód — co fale więzi —
ciąży soplami na drzew gałęzi?

Hej, mróz siarczysty!... Trzeba się jakoś grzać!
Więc drew na komin, mój Talijarchu, kładź!
Odszpuntuj beczkę swą sabińską
i czteroletnie nam podaj wińsko!

O inne sprawy troskę na bogów złóż!
Gdy oni ściszą odmęt huczących mórz,
co wichrów waśnią był skołatan,
cyprys nie zadrży ni stary platan!

Nie pytaj, co nam niesie jutrzejszy dzień,
i każdą chwilę daną od losu ceń!...
Miłostek, pląsów nie lekceważ,
póki, mój chłopcze, sposobność miewasz...

Dziś, nim siwizna zrzędnych przyczyni lat,
Marsowe pole, rynki nawiedzaj rad;
niech rozhowory miłe psocą
o umówionej godzinie, nocą...

I śmiech dziś miły — brzmiący nie wiedzieć skąd? —
dziewczęcia, co się skryło w najgłębszy kąt, —
i dar, porwany przez zuchwalca
z ramion, lub — mimo oporu — z palca...

Tłum. JÓZEF BIRKENMAJER, uczeń kl. VIII

PRZEKŁADY

SENECA (?), OCTAVIA s. 437—592

Nero:
Wykonaj me rozkazy! Wnet mi poszlij kogoś,
Ktoby Sulli i Plauta przyniósł ścięte głowy!

Dowódca praetorianów:
Bez zwłoki to wypełnię: ruszam do obozu.

Seneca:
Losem bliźnich nie można lekkomyślnie rządzić.

Nero:
Łatwo być sprawiedliwym, gdy się nie zna lęku.

Seneca:
Łaskawość jest zbawiennym przeciw trwodze środkiem.

Nero:
Zgnieść wrogów to największą jest zasługą władcy.

Seneca:
Oszczędzać ludzi większą dla ojczyzny ojca.

Nero:
Dzieci uczyć powinien łagodny staruszek...

Seneca:
Bardziej młodość burzliwa wymaga kierunku.

Nero:
Dosyć swego rozsądku ma wiek ten, jak sądzę.

Seneca:
Oby niebianie czyny twoje pochwalali!

Nero:
Głupstwem strach przed bogami, gdy sam ich mianuję.

Seneca:
Tym więcej się obawiaj, że ci tyle wolno.

Nero:
Na wszystko mi pozwala łaskawa Fortuna.

Seneca:
Nie wierz jej uprzejmości: płocha to bogini.

Nero:
Nie wiedzieć, co mu wolno, to rzecz niedołęgi!

Seneca:
Chwalebnym, co godziwe, a nie to, co wolno.

Nero:
Pokornych depcą tłumy.

Seneca:
Nienawistnych miażdżą!

Nero:
Żelazo strzeże władcę.

Seneca:
Ale lepiej wierność.

Nero:
Strach musi budzić Caesar.

Seneca:
Ale bardziej miłość.

Nero:
Powinni drżeć przede mną.

Seneca:
Przymusu złe skutki.

Nero:
Muszą spełniać, co każę!

Seneca:
Rozkazuj, co słuszne.

Nero:
To już sam zdecyduję.

Seneca:
Lecz niech uzna ogół.

Nero:
Ten miecz wymusi wszystko.

Seneca:
Usuń tę szkaradę!

Nero:
Czyż mogę dłużej ścierpieć, że krwi mojej pragną?
Jeśli zemsty nie wywrę, sam zginę wzgardzony.
Nie złamało wygnanie Sulli ani Plauta,
Którzy nawet z daleka w swym szale zaciekli
Zyskują zwolenników mnie gotując zgubę;
Chociaż ich tutaj nie ma, cieszą się sympatią
W naszym mieście, to wspiera nadzieje wygnańców.
Więc niech miecz pousuwa wrogów podejrzanych;
Nienawistna mi żona niech, jak brat jej, zginie,
I niechaj runie wszystko, co nad tłum się wznosi!

Seneca:
Piękna to rzecz wśród sławnych wyróżniać się mężów,
Dbać o kraj swój, ochraniać nieszczęśliwych, zbrodni
Wystrzegać się okrutnej, gniew hamować czasem,
Dać światu wypoczynek, epoce swej pokój!

To największą zasługą, to drogą do nieba.
Tak August, pierwszy ojciec ojczyzny, otrzymał
Wśród gwiazd miejsce i czczą go, jak boga, w świątyniach.
A jednak i nim długo na ziemi i morzu
Miotał Los poprzez różne wojenne koleje,
Dopóki nie ujarzmił wrogów swego ojca.
Tobie bez krwi rozlewu poddał Los swą wolę
I, cugle władzy dając swą łaskawą dłonią,
Rzucił pod twe rozkazy i ziemie i morza.
Ponurą zazdrość zmogła powszechna życzliwość,
Cały senat, rycerstwo darzy cię miłością;
Głosem ludu, senatu uchwałą uznany
Za sędziego ludzkości, za pokoju dawcę
Rządzisz światem; radosną go krzepisz otuchą
Ojczyzny ojciec. Nazwę tę żebyś zachował,
Pragnie Rzym powierzając ci obywateli.

Nero:

Darem to bogów dla mnie jest, że tak mi służy
Rzym i senat, że prośby i słowa służalcze
Nawet z ludzi niechętnych wyciska obawa.
Zachować niebezpiecznych dla władcy i państwa,
Dumnych z rodu świetnego — jakaż to głupota!
Gdy można jednym słowem wszystkich podejrzanych
Na śmierć posłać! Masz przykład: Brutus przeciw władcy,
Który jego ocalił, podniósł rękę zbrojną.
I oto ten, co w boju był niezwyciężony,
Ten, co stopniem zaszczytów zrównał się z Jowiszem,
Caesar z obywateli rąk zdradzieckich zginął.
Ile to Rzym zobaczył własnej krwi przelanej,
Rozdzierany tylekroć! I sam August przecież,
Choć przez zasługi niebo zdobył, iluż mężów
Pozabijał, młodzieńców ze szlachetnych rodów.
Rzucali kraj rodzinny, gnał ich strach przed śmiercią,
Trzech wodzów groźne miecze, i szli w świat szeroki...
A na tablicach były nazwiska skazanych.
Patrzyli senatorzy na głowy zabitych
Wiszące na mównicy, a nie wolno było
Opłakiwać swych bliskich, ni jęczeć, gdy rynek
Spływał posoką z twarzy przegniłych kapiącą.
Ale nie na tym koniec rzezi, krwi rozlewu:
Żałobne pod Philippi pola długo żeru
Dostarczały zwierzętom, Sycylijskie morze
Pochłonęło okręty, mężów krwią splamionych.
Zatrząsł się świat, gdy zwarły się siły dowódców!
Zwyciężony do Nilu na okrętach zdąża
Przygotowanych przedtem, sam ma zginąć wkrótce:
Splamiony Egipt znowu wodza Rzymianina
Krew wypił; teraz kryje lekkie obu cienie.

Tam pogrzebano w końcu bezbożną i długą
Domową wojnę. Schował nareszcie zwycięzca
Zmęczony swoje miecze stępione od ciosów
Zabójczych, ale władzę utrzymywał strachem.
Bezpiecznym go czyniły broń i wierność wojska,
Ogromna miłość syna zrobiła go bogiem,
Po śmierci ubóstwiony zamieszkał w świątyniach.
I na mnie czeka miejsce wśród gwiazd, jeśli mieczem
Najpierw zgniotę to wszystko, co tu jest mi wrogie,
I dom utwierdzę własny godnym mnie potomkiem.

S e n e c a:

Napełni tobie pałac niebiańskimi dziećmi
Córka boga, ozdoba klaudyjskiego rodu,
Która, niby Junona, brata dzieli łoże.

N e r o:

Wątpliwa czystość rodu, bo matka wszeteczna,
I żona tak duchowo ode mnie daleka...

S e n e c a:

W dziewczęcych latach nie dość wyraźną jest miłość,
Skromność jej każe tłumić zbyt silne płomienie.

N e r o:

Tym właśnie sam się długo łudziłem napróżno,
Choć wyraźne dowody, jak jej dziwna skrytość,
Wyraz twarzy zdradzały jej nienawiść ku mnie.
Aż wreszcie ból jątrzący zemstę podyktował.
Godną mojej łożnicy znalazłem już żonę,
Piękną, z dobrego rodu, której nie dorówna
Venus, żona Jowisza, ni zbrojna bogini.

S e n e c a:

Prawość, wierność małżonki, obyczajność, skromność —
To mąż cenić powinien: bo duchowe dobra
Niczemu niepodległe wciąż bez zmiany trwają,
Z kwiatu piękności płatki dzień obrywa każdy.

N e r o:

Jedną bóg wyposażył we wszystkie zalety,
Los chciał, żeby się taką dla mnie urodziła.

S e n e c a:

Opuści cię ta miłość, jeśli się nie poddasz.

N e r o:

Przecież to tyran niebian, któremu ulega
Nawet władca piorunów, który morza zgłębia,
Do państwa cieniów wkracza, bogów ściąga z niebios.

S e n e c a:

Jest to mylny sąd ludzki, że miłość uznają
Za skrzydlatego boga, który w świętych dłoniach
Ma łuk i ostre strzały i groźną pochodnię,
A jest bogini Venus i Vulcana synem.

Miłość jest wielką siłą, miłym żarem duszy,
Jej źródłem bywa młodość, bezczynność i zbytek,
Potem żywią ją dary Fortuny obfite.
Przestaniesz ją podsycać, pielęgnować, słabnie,
Traci siły i wkrótce zupełnie wygasa.

Nero:

A według mnie jest życia przyczyną najwyższą
Siła, co daje rozkosz. Ona od zagłady
Chroni ludzkość, bo każe jej wciąż się rozmnażać.
Nawet zwierzęta dzikie znają czar miłości.
Ten bóg niech mi małżeńskie poniesie pochodnie,
Wprowadzając Poppaeę do mojego łoża.

Seneca:

Z ledwością może ścierpieć to małżeństwo naród
W wierności swojej, święta go zbożność zabrania.

Nero:

Tego, co wolno wszystkim, mnie jednemu wzbronią?

Seneca:

Od wyższych stanowiskiem więcej się wymaga.

Nero:

Spróbuję, czy też siłą przełamać się nie da
Przychylność lekkomyślnie w sercach zaszczepiona.

Seneca:

Raczej spełnij powolnie poddanych życzenia.

Nero:

Złe to rządy, gdy władcom rozkazują tłumy.

Seneca:

Słuszny żal, gdy niczego nie mogą wyjednać.

Nero:

Czy także siła słuszna, gdy prośby bez skutku?

Seneca:

Odmawiać przykro.

Nero:

Władcy zmuszać się nie godzi.

Seneca:

Niech sam ustąpi.

Nero:

Plotka go zrobi pobitym.

Seneca:

Pusta i bez znaczenia.

Nero:

Tak, lecz szkodzi wielu.

Seneca:

Potężnych się obawia.

Nero:
Ale jednak szarpie.
Seneca:
Łatwo ją stłumić. Ojca boskiego zasługi
Niech wzruszą cię, wiek żony, jej prawość i skromność.
Nero:
Przestań wreszcie! zbnadto mi jesteś natrętny!
Niech wolno będzie działać bez zgody Seneki!
I tak już zbyt odwlekam narodu życzenia,
Bo w łonie, jako zastaw, ma część mnie samego.
Czemuż nie mam na jutro zaślubin wyznaczyć?

przeł. MARIA ROSIŃSKA

LUCANUS, WOJNA DOMOWA (Pharsalia I 1—157)

Cięższe niźli domowe pogromy na polach Emathii,
Prawo zbrodni przyznane opiewam, jak naród potężny
W trzewia własne skierował zwycięską swoją prawicę,
Jak to bratnie szeregi, gdy sojusz rządów zerwano,
Wstrząśnionego wkół świata wszystkimi walczyły siłami
W imię wspólnego bezprawia, sztandary też przeciw sztandarom
Wrogim i orły parami i włócznie włóczniom grożące.
Jakiż to szał, o ziomkowie, jak wielka miecza swywola,
Żeby plemionom obmierzłym latyńską krew ofiarować!
Kiedyście mieli Babylon z ausońskich złupić trofeów,
Dumny, kiedy bez pomsty Crassusa cień się tam błąkał,
Boje woleliście wieść, co nie miały dać żadnych triumfów?
Przebóg, ileż to lądu i morza nam mogła przysporzyć
Ta krew, którą słynęły obywatelskie prawice!
Skąd wschód Titan prowadzi i gdzie noc gwiazdy ukrywa,
Albo kędy południe w upalnych kipi godzinach,
W krajach też zimy surowej, nieustępliwej przed wiosną
Lecz skuwającej mrozami u Skythów morze lodowe;
Już by Serowie pod jarzmo, już barbarzyński Araxes
Poszedł i jeśli jest lud, który Nilu zbadał kolebkę.
Później, skoro świat cały pod prawa już ugniesz latyńskie,
Jeśli tak bardzo, o Romo, zapragniesz wojny niegodnej,
Zwróć przeciw sobie twe dłonie; wszak dotąd nie brakło ci wroga.

1. *Emathia,* dawna nazwa Makedonii zamiast sąsiedniej Thessalii, gdzie leży Pharsalos, miejsce walki między Caesarem a Pompeiusem (48 r.). — 10. *Babylon,* stolica Parthów, którzy zagarnęli dawne państwo Medów i Persów, a dla Rzymian byli zawsze groźnymi przeciwnikami. Triumvir M. Crassus, pobity przez nich pod Karrhai w Mesopotamii (r. 53), ginie wraz z synem, a sztandary rzymskie dostają się w moc wroga. — *Ausoński* = italski, rzymski. — 15. *Titan* = słońce; Apollon był wnukiem titana Keosa. — 19. *Serowie,* mieszkańcy kończyn Wschodu

Teraz, że na pół zburzonym domostwom w miastach Italii
Szańce tuż grożą, a z murów rozpadłych głazy potężne
Leżą na ziemi, że domu żaden już stróż nie pilnuje,
Rzadko też jeszcze mieszkaniec po dawnych tuła się grodach,
Że ścierniskiem się jeżąc, od wielu lat pługiem nietknięta
Jest Hesperia, a łanom spragnionym rąk już ubyło:
Nie ty, butny Pyrrhosie, ani punicki wódz będzie
Takich klęsk sprawcą; na wskróś nie zdołało tak żadne żelazo
Wryć się: od bratniej to dłoni głęboko siedzą w nas rany.
Ale jeśli już innej przyszłemu los Neronowi
Drogi znaleźć nie umiał, gdyż wieczne bogom królestwa
Wielką zdobywa się ceną i nieba Gromowładnemu
Służyć nie mogły jak tylko po wojnach okrutnych gigantów —
Na nic się już, o niebianie, nie skarzę; te zbrodnie niegodne
Chwalę za taką zapłatę; niech boje Pharsalskie zapełnią
Pola przeklęte, a krwią się mary Punickie nasycą;
Niechaj w Mundzie żałobnej do starć ostatecznych już dojdzie.
Do tych, Caesarze, przeznaczeń niech głód Perusyński i znoje
Pod Mutiną przystąpią i floty w skalistej Leukadzie
Zdruzgotane i wojny z rabami pod Etną ognistą:
Roma jednak zbyt wiele zawdzięcza swym sporom domowym,
Gdyż dla ciebie je wiodła. Gdy ty po ziemskiej wędrówce
Późno już do gwiazd podążysz, obrany cię pałac niebieski
Przyjmie ku bogów radości; czy ci się berło spodoba
Dzierżyć, czy płomienistego rydwanu dosiąść Phoibosa,
Aby okrążać ogniami błędnymi ziem wolną od obaw
Przed odmienioną słońca postacią — ustąpi ci wszelkie
Bóstwo, wybór zaś tobie swobodny zostawi przyroda,
Jakim zechcesz być bogiem i gdzie założyć tron świata.
Ale ty nie wybieraj siedziby w strefie północnej,
Ani gdzie przeciwległego południa chyli się ciepły
Biegun, skąd twoja gwiazda ukośnie na Rzym by patrzała.
Jeśli niezmierzonego eteru część jedną naciśniesz,

(Chińczycy). — *Araxes,* rzeka w Armenii. — 29. *Hesperia* = Italia. — 30. *punicki wódz* = Hannibal. — 33 nn. W pochlebstwach, skierowanych do Nerona wzoruje autor swój styl na Wergilim (*Georg.* I 24 nn.). — 39. *mary Punickie,* ma tu na myśli wojnę domową w Afryce (Thapsus 46) z Jubą i stronnikami Pompeiusa. — 40. pod Mundą w płdn. Hiszpanii (45) pokonał Caesar synów Pompeiusa. — 41. *Caesarze* = Neronie. Po pierwszej wojnie domowej wspomina poeta o drugiej; pod Perusią brat triumvira L. Antonius, obleżony przez Octaviana, poddał się zmuszony głodem (r. 41). — 42. *pod Mutiną* (Modena) w Gallii oblegał triumvir Antonius Dec. Brutusa; polegli tam wysłani przeciw A. konsulowie Hirtius i Pansa (43 r.). — Między przylądkami Epeiru i Akarnanii, Leukas i Actium, pobił Octavianus w bitwie morskiej Antoniusa i Kleopatrę (31 r.). — 43. przeciw synowi Pompeiusa Sextusowi, uprawiającemu przy pomocy band niewolniczych korsarstwo na Sycylii, walczył zwycię-

Oś ten ciężar poczuje. Trzymaj więc w środku wszechświata
Zrównoważone niebiosa; eteru szmat cały w pogodzie
Caesarowi niech służy, a żaden go obłok nie skrywa.
Niechaj wtedy ród ludzki broń złoży, radzi o sobie,
Wzajem się wszystek miłuje; po świecie pokój się szerząc,
Wojennego Ianusa wierzeje żelazne niech zawrze.
Dla mnie jesteś już bóstwem: we wieszczym gdy czuję cię sercu,
Nie chcę wzywać wśród modłów boga, co tajnie odsłania
Kirrhy, ani Bakchosa od jego Nysy odwodzić.
Ty wystarczasz, by pieśni tej rzymskiej natchnienia użyczyć.
Duch mój pragnie tak wielkich wypadków rozjaśnić przyczyny,
Ogrom zadania przede mną: co rozszalały do broni
Naród popchnęło, co pokój światu całemu wydarło?
Łańcuch zawistny przeznaczeń, wzbronione stojącym u szczytu
Prawo trwania, pod zbytnim brzemieniem ich ciężkie upadki,
Rzym nie znoszący sam siebie. Tak gdy się rozluźnią spoidła
Świata, ostatnia godzina zakończy tyle mu wieków,
Chaos pierwotny wzywając z powrotem, więc wszystkie zmieszane
Gwiazdy z gwiazdami się zderzą, ogniste ciała do morza
Wpadną, a ziemia nie zechce utrzymać linii wybrzeży,
Morze od siebie odpędzi, też Phoibe bratu na przekór
Pójdzie w swym biegu i źląc się, że kręgiem pochyłym prowadzi
Rydwan, dzień sobie zastrzeże, i cała niezgodna machina
Skłóci i zerwie przymierza rozluźnionego wszechświata.
Wielkość obala się sama: bo taką bóstwo stanowi
Wzrostu granicę wszystkiemu, co kwitnie. Na żadne też ludy
Przeciw tej rasie, co włada nad ziemią i morzem, Fortuna
Swej zawiści nie zdaje. Tyś jest przyczyną twych nieszczęść,
Rzymie, spółko trzech panów, jak też złowróżbne przymierze
W rządach, których się nigdy pomiędzy głów wiele nie dzieli
O wy, niezgodni i chucią nieokiełznaną oślepli!
Na cóż przyda się łączyć swe siły, po społu tym światem
Władać? Jak długo ziemica morze, zaś ziemię powietrze
Dźwignie, i w znojach bezkresnych tarcz słońca będzie się toczyć,
Noc zaś na niebie podąży za dniem poprzez tyleż zodiaku
Znaków — wierność nie wytrwa wśród rządu wspólników, bo wszelka
Władza podziału nie zniesie. Nie szukać poręki u żadnych
Ludów, ani wam sięgać daleko po wzory przeznaczeń:
Krew braterska tej Romy pierwotne mury zwilżyła.
Ależ nagrodą ni ziemia ni morze za szał ten tak wielki
Wonczas nie była: zażegło spór panów mizerne azylum. —
W ograniczonym zbyt czasie trwała ta zgoda niezgodna,
Pokój nie z woli wodzów istniał; jedyną wszak przyszłej
Wojny odwłoką był Crassus pośrednik. Podobnie jak wąski

sko wódz Octaviana, M. Agrippa. — 64. n. mówi o Apollonie (Kirrha, miasto pod Delphami) i Bakchosie, wychowanym na górze Nysa (w Arabii lub Indii), jako o bóstwach opiekuńczych poetów. — 77. Phoibe =

Isthmos, który tnie fale, rozdziela dwa morza i nie da
Wodom ich razem się złączyć, bo gdyby ląd się wstecz cofnął,
Morzu dałby Jońskiemu tłuc się z Aigajskim: tak kiedy
Crassus, dzielący broń wodzów, w żałosnym swym zgonie
Karrhai w Assyrii obficie posoką splamił Latynów,
Wtedy już rozpętały szał Rzymian straty parthyjskie.
Więcej niźli sądzicie w tej walce wam się powiodło,
Arsakidzi: spór bratni pobitych waszym był dziełem.
Rządy dzieli żelazo, władczego narodu Fortuna,
Która morze i ziemię i cały świat już posiadła,
Dwóch nie umiała pomieścić. Albowiem krwi związku rękojmię
I pochodnie weselne, złą wróżbą wieszczące żałobę,
Julia zabrała do cieniów podziemia: Park sroga jej ręka
Nić żywota przecięła. Jeśliby ci losu wyroki
Dłużej na ziemi bytować zwoliły, jedyna byś mogła
Szał tu małżonka, zaś tam powstrzymać szał rodziciela,
Zbrojne ich dłonie połączyć, wytrącić oręż z prawicy,
Jak pośrednicząc Sabinki z teściami złączyły ich zięciów.
Śmierć twoja ufność zerwała i dopuściła, by wodze
Wszczęli wojnę. Dodała im bodźca w zapasach ich dzielność:
Ty się, Wielki, obawiasz, by nowe dawnych nie zćmiły
Czyny triumfów, a Gallom pobitym piracki twój wawrzyn
Nie ustąpił; zaś ciebie twych znojów szereg i wprawa
Podniecają i szczęście, co miejsca drugiego nie ścierpi.
Już nikogo pierwszego nie zdoła więcej znieść Caesar,
A Pompeius równego. Któż słuszniej przywdział zbroicę?
Wiedzieć to się nie godzi; obroną im obu sąd ważki:
Bogi wolały zwycięską snać sprawę, przegraną zaś Cato.
Starli się nie jako równi: u schyłku lat ku starości
Jeden i mniej wojowniczy, bo długo już togi używał,
Roli też wodza w pokoju zapomniał; o rozgłos swój dbały
Hojnie gmin darzył i cały podmuchom popularności
Nieść się pozwalał i cieszył swojego teatru oklaskiem,
A przysparzać sił nowych nie myśląc, zanadto poprzedniej
Ufał fortunie. Imienia wielkiego stoi ta mara;
Nie inaczej na żyznej roli wyniosły dąb dźwiga
Dawne ludu trofea i uświęcone podarki

Luna. — 105. por. w. 10. — 108. *Arsakidzi,* królowie parthyjscy, potomkowie Arsakesa. Dynastia ta panuje 250 r. przed — 226 r. po Chr. — 113. Iulia, córka Caesara a małżonka Pompeiusa, um. 54 r. — 121. *Wielki,* przydomek Pompeiusa, nadany mu przez Sullę za wojnę w Afryce przeciw stronnikom Mariusa. — 122. Pompeius triumfował nad Armenią, Pontus, Afryką, Sycylią, Hiszpanią, a zwłaszcza zasłużył się zwycięstwem nad Kilikami i innymi korsarzami morskimi w Małej Azji. Caesara wsławiła wojna z Gallami. — 128. *Cato,* młodszy, niezłomny republikanin i Stoik, odbiera sobie po klęsce pod Thapsus życie w Utyce. — 129. Pompeius ur. 106 r., Caesar 100 r. — 133. wspaniały teatr z marmuru

Wodzów, ale już nie tkwi silnym korzeniem i tylko
Wrył się własnym ciężarem, gałęzie zaś nagie w powietrze
Wyciągając, pniem swoim nie liśćmi cienie wytwarza;
Chociaż jednak się chwieje, za lada wiatrem paść może,
Choć dookoła drzew tyle silnych i jędrnych się wznosi,
Sam on jeden jest czczony. Natomiast Caesar nie tylko
Imię i sławę miał wodza, lecz dzielność też, która nie umie
W miejscu stanąć i jeden wstyd: nie być na wojnie zwycięzcą;
Bystry i nieposkromiony, gdzie wzywał go gniew lub nadzieja,
Tam niósł ramię, a nigdy ten śmiałek oręża nie szczędził,
Swe powodzenia przynaglał, szedł w trop za bóstw życzliwością,
Obalając, cokolwiek by mu w dążeniu do szczytów
Zawadzało, radośnie torując swą drogę ruiną.
Piorun podobnie przez chmury wypchnięty wiatrów powiewem
Wśród eterycznych wstrząsów i huku i świata łoskotu
Błyśnie, niebiosa rozedrze, narody trwogą porazi,
Zygzakowatym płomieniem ślepiąc źrenice, i szał swój
W miejsca swe święte skieruje, skąd gdy mu żaden materiał
Wyjść nie zabrania, ogromne wpadając i wypadając
Spustoszenie w dal szerzy i ognie z rozsypki znów zbiera.

tłum. SEWERYN HAMMER

M. K. SARBIEWSKI ODA IV. Do fijołka.

(ślubując co roku 1 V. wieńczyć główkę Dzieciątka Jezus).

Zorzo wiosenna, czerwiennego świeża
Królowa pola! — uwieńcz mego, proszę,
Czółko chłopięcia! czemuż — ach — pod złotem —
Maleńki — i pod ciężarem klejnotów

Lub pod cisnącej blaskiem purpury
Ma się uginać? O! któremum ja nędzny
Królestwo moje poświęcił, uwij wianuszek,
Uwij mojemu koronę królowi!

Darem ubogim wieńczy się Pan Bóg
Częstokroć, — jeśli coś daje ręką ubogą
Wola bogata: bardziej, niż wielkie,
Miłe są wielkiej duszy — małe podarki.

S. LAURENTA SKORSKA C. R.

wzniósł Pompeius w r. 54. — 155. *w miejsca,* które sam niegdyś uświęcił; wedle wyobrażeń starożytnych miejsca rażone piorunem uchodziły za święte.

BIBLIOGRAFIA

Veikko V ä ä n ä n e n, Le latin vulgaire des inscriptions pompéiennes, Helsinki 1937, s. 228 (Annales Academiae Scientiarum Fennicae, B XL 2).

Wartość napisów pompejańskich dla badań nad łaciną ludową znana była od dawna. Wcześnie zauważono, że te teksty, odbijające codzienne życie niewielkiego miasta prowincjonalnego, odzwierciedlają jak żadne inne język mówiony, codzienny, szerokich mas ludności. Nie tylko w zakresie fonetyki i fleksji, gdzie wykroczenia przeciw normie języka klasycznego dostarczają wartościowych wskazówek o stanie języka, ale zwłaszcza w zakresie słownika i składni inskrypcje pompejańskie są źródłem informacji o łacinie ludowej. Wartość tych materiałów podnosi jeszcze fakt, że są one dość ściśle datowane: katastrofalny wybuch Wezuwiusza, który zniszczył Pompei, nastąpił w r. 79 po Chr.; jest to dla wszystkich tekstów pompejańskich *terminus ante quem;* ponieważ zaś napisy na ścianach nie mogą się zachować dłużej niż lat kilka, możemy z wielkim prawdopodobieństwem twierdzić, że prawie wszystkie pochodzą one z ósmego dziesięciolecia I w. po Chr.

Nic też dziwnego, że wcześnie zainteresowano się językiem tych inskrypcji. Już w r. 1875 ukazała się dysertacja, której autorem był H. v. Guericke, na temat: *De linguae vulgaris reliquiis apud Petronium et in inscriptionibus parietariis Pompeianis* (Królewiec). Powtórnie, na obszerniejszym materiale, przedstawił stan języka napisów F. C. Wick w rozprawie: *La fonetica delle iscrizioni parietarie pompeiane specialmente in quanto risenta dell'osco e accenni all'evoluzione romanza* (Atti dell'Accademia di Archeologia, Lettere e Belle Arti XXIII), Napoli 1905. Wkrótce potem ukazał się wartościowy zbiór inskrypcyj: *Pompeianische Wandinschriften und Verwandtes ausgewählt* v. E. Diehl (Kleine Texte 56;) Bonn 1910, zaopatrzony w cenne indeksy, które zastąpić mogą całą rozprawę o języku tych tekstów; książka Diehla ukazała się ponownie, w znacznie rozszerzonej postaci, w r. 1930. Wreszcie w r. 1937 wyszła omawiana tu praca.

Väänänen uwzględnił wszystkie znane dziś napisy pochodzące z Pompei, a więc nie tylko łatwo dostępny materiał czwartego tomu *Corpus Inscr. Lat.* (1871; *Suppl. pars* I 1898, II 1909), lecz również nie zebrany jeszcze w jednolitym wydawnictwie zasób napisów opublikowanych w *Notizie degli scavi di antichita* (Rzym), do r. 1936 włącznie, a nawet napisy w ogóle dotąd nie wydrukowane, udostępnione mu przez prof. M. Della Corte. Również i napisy z Herculanum wzięte tu zostały pod uwagę.

Mając tak zebrany kompletny materiał, autor przystąpił do jego systematyzacji. Praca polegała na uwidocznieniu różnic łaciny pompejańskiej w porównaniu z łaciną klasyczną. Staranne i kompletne, jak się

zdaje, przedstawienie tych materiałów jest najbardziej wartościową częścią pracy Väänänena. Omówiono tu po kolei zjawiska dotyczące fonetyki (s. 27—142), morfologii (s. 143—152), słownika (s. 153—192), składni (s. 193—214). Oprócz tego znajdujemy dość obszerny wstęp (s. 14—26) i zamknięcie (s. 215—220); indeks zajmuje część końcową (s. 221—226).

Autor nie ogranicza się jednak do suchego wyliczenia faktów. Już we wstępie porusza sprawy ogólniejsze, dotyczące szeroko dyskutowanych zagadnień genezy różnic łaciny ludowej w porównaniu z klasyczną; w szczególności zatrzymuje się nad kwestią wpływu substratu oskiego na łacinę pompejańską. Przeważnie jednak ogranicza się do zreferowania w tym względzie dotychczasowych badań. Dopiero w końcowym ustępie zajmuje wyraźne stanowisko, wskazując, że w niektórych wypadkach wpływ oski wydaje się istotnie niewątpliwy. Chodzi o zmianę *ct* > *t*, zapewne poprzez stadium *χt*; o ukazywanie się *-s* zamiast *-x*, oraz o wahanie *-d*: *-t* w końcówkach czasownikowych (ten ostatni punkt oceniam inaczej niż Väänänen, por. o tym niżej). Nawet tam, gdzie autor nie daje nowego ujęcia, praca jego jest pożyteczna dzięki obficie cytowanej bibliografii.

Również poszczególne zagadnienia czy to fonetyki, czy morfologii, czy innych dziedzin gramatyki, przedstawione zostały w sposób taki, że czytelnik łatwo może się zorientować, jakie kwestie wiążą się z omawianymi faktami. Można by tu jednak czasem uczynić zarzut, że autor tłumaczy już w nazbyt elementarny sposób niektóre pospolite zjawiska; tak na s. 35 uwagi uzasadniające stanowisko autora wobec hyperpoprawnej pisowni *ei* zamiast *ī* (*veivant, queidam, queintus* itd.) są zbędne. Szczegóły te nie obniżają jednak wartości pracy.

W dalszym ciągu postaram się uwidocznić, co nowego wprowadził w swej rozprawie Väänänen do badań nad łaciną.

Z nieuwzględnionych dotąd m a t e r i a ł ó w, które autor wykorzystał w sposób właściwy, wymienię:

accupiamus 'accipiamus' (s. 41, z Herculanum, informacja Della Corte) z ciekawym użyciem *ŭ* w zgłosce środkowej otwartej przed spółgłoską wargową, po której jednak następuje *i*; w takim wypadku zwykle ukazuje się *ĭ* nie zaś *ŭ*, por. klas. *accĭpiō* obok *occŭpō* (Niedermann, *Phonétique*², s. 37; Graur, *I et V en latin,* Paryż 1929, s. 67). Użycie *accupiamus,* formy z *u*, musiało być z pewnością wywołane skojarzeniem z jakąś postacią, w której *u* było regularne. Podobny wypadek znajdziemy w *stabulio* (s. 42; Not. d. sc. 1933, s. 320, 359), gdzie przed *l* palatalnym musi ukazać się *ĭ*, jak w klasycznym *stabĭliō*. Użycie *u* usprawiedliwić tu można tylko wpływem analogicznym wyrazu *stabulum* (por. imię własne *Stabilius* CIL II 4586 itd.; W. Schulze, *Zur Gesch. lat. Eigennamen.,* 1904, s. 163).

Ποτιωλοις z napisu greckiego z r. 174 po Chr. (s. 62) jest najstarszym przykładem datowanym na zmianę miejsca akcentu w wyrazach typu *Putéoli* > *Puteóli.* Niestety, przykład to nie całkiem pewny, jak podkreśla sam autor, wobec wahania w pisowni ο i ω w napisach greckich tej epoki.

como 'quomodo', Not. d. sc. 1916, s. 305 (s. 94; por. s, 228) jest najstarszym przykładem tej skróconej postaci, która istnieje w językach

romańskich (st.-wł. *como*, hiszp., pg. *como* itd.; Meyer-Lübke, Rom. Et. Wb. nr. 6972).

Przytoczone na s. 99 przykłady na pisownię *f* = gr. φ (i odwrotnie: *ph* zamiast łacińskiego *f*) są tym ciekawsze, że Diehl w swym zbiorku daje przykłady tylko późniejsze (z Rzymu: 843 *Fedra, Pasifae,* 1027[a], *Eufrates,* z Ostii, z Catanii). Mamy więc w Pompei: *Dafne* 680, *Fileto* 2402 add. p. 222, *Fyllis* 1265[a], 7057, *Trofime* 2039; oraz pisownię odwrotną *Ruphus* 4615.

catecra zamiast *cathedra* (καθέδρα), Not. d. sc. 1933, s. 277, 1 (s. 177) jest ciekawym wypadkiem wprowadzenia sufiksu *-cra* na miejsce niezrozumiałej z punktu widzenia łacińskiego grupy *-dra,* jak to słusznie objaśnił Väänänen.

Są też próby nowej interpretacji znanych poprzednio faktów. Z nich przytoczę tu udane, jak mi się zdaje, objaśnienie nowotworu *formonsus.* Wahanie w użyciu postaci *formōsus* i *formōnsus* możliwe było oczywiście dlatego, że przed *s* nie było wyraźnej różnicy w wymawianiu samogłoski długiej *ō* a samogłoski nosowej *ǫ* (również z pewnością długiej). Ale jeżeli wahanie to częste jest tylko w przymiotniku *formōsus,* nie ukazuje się zaś prawie wcale w innych przymiotnikach, zawierających ten sam przyrostek, to chyba ze względu na znaczenie: przymiotniki na *-ōsus* miały przeważnie wartość pejoratywną (*vinosus, ebriosus, mulierosus, furiosus, rabiosus* itd.); *formōsus* przeciwstawiało się im, skąd potrzeba wyróżnienia tego przymiotnika pod względem formalnym, mianowicie przez użycie drugiej fonetycznie możliwej „odmianki", tj. *formōnsus.*

Z kolei przejdę do omówienia tych szczegółów, które mię w książce Väänänena nie zadowalają.

W zakresie wskazówek bibliograficznych informacje autora wydają się kompletne. W paru jednak miejscach należałoby je uzupełnić, a mianowicie: na s. 40 w związku z formą *lagunas* (Della Corte, z Herculanum) 'lagoenas' można było wskazać, że wahaniem *ū*:*oe* zajmował się ostatnio w sposób szczegółowy Svennung w książce *Kleine Beiträge zur lateinischen Lautlehre,* Uppsala 1936, s. 30—40 (por. recenzję w Przeglądzie Klasycznym III 1937, s. 526—8).

Na s. 104 i n., omawiając tzw. prawo *mamilla* (uproszczenie geminaty w pozycji interwokalicznej przed samogłoską krótką), można było wspomnieć o pracy Safarewicza, *Le rhotacisme latin,* Wilno 1932, gdzie na s. 48—65 prawu temu poświęcono osobny rozdział.

Referując na s. 137 poglądy na zanik lub utrzymanie końcowego *-s* na różnych obszarach romańskich mógł autor uwzględnić też świeżą pracę v. Wartburga, *Die Ausgliederung der romanischen Sprachräume,* Zeitschrift f. rom. Phil. LVI 1926, s. 1—48 (zwłaszcza s. 4—7).

Na s. 197 uw. 2. autor cytuje obfitą literaturę dotyczącą interpretacji łacińskich form nom. pl. fem. na *-ās.* Brakuje tu jeszcze rozprawy Pisaniego *Accusativo per nominativo nel latino volgare* (Arch. Glott. Italiano XXV 1933, s. 138—141).

Co się tyczy ujęcia poszczególnych zagadnień, nasunęły mi się w tym związku następujące jeszcze uwagi.

S. 31. Formy *ocilli* 1780 i *Simpronius* 4794 potraktowano jako błędy pisarskie (I = *i* zamiast II = *e*). Ale w formie *ocilli* można upatrywać znane wahanie przyrostków *-illo-*: *-ello-*, w imieniu zaś *Simpronius* zmiana może być ściśle fonetyczna, taka sama, jak w *simplex* obok *semel*.

Na tej samej stronie objaśniono (ze znakiem zapytania) *Phylotero* 653 'Philetaero' jako wypadek dissymilacji wokalicznej. Prawdopodobniejsze jest tu objaśnienie przez analogię: widać tu wpływ licznych imion własnych greckich zaczynających się od Φιλο- (np. Φιλόνικος).

S. 32. *filix* 4511 'felix' *filic(iter)* 6882 'feliciter' objaśniono asymilacją wokaliczną. Prawdopodobnie mamy tu objaw znanego pomieszania ortograficznego *ē* (o artykulacji wąskiej) z *ĭ* (o artykulacji otwartej); słusznie natomiast upatruje Väänänen tu i na s. 36 objaw asymilacji w postaci *felex*.

S. 33. Omówiono tu formę *supstenet* 'sustinet', którą autor pojmuje jako objaw rekompozycji (por. s. 29 i 82). Chodzi tu o napis 4456, który brzmi:

Semper M. Terentius Eudoxsus unus supstenet amicos,
Et tenet et tutat, supstener omne modu.

Jest to (jeżeli pominąć wtórnie wtrącone imię własne) dystych elegijny; w pierwszym zatem wierszu należy czytać *supsténet*, w drugim *súpstĕnet*. Przykłady nie stoją więc na równi: tylko w pierwszym może być mowa o normalnej i całkowitej rekompozycji; w drugim wypadku rekompozycja jest tylko częściowa, mianowicie z pozostawieniem akcentu na dawnym miejscu i wobec tego bez wzdłużenia samogłoski w sylabie środkowej. Widać, że w tej epoce wpływ akcentu na iloczas samogłosek jest bardzo jeszcze nieznaczny; wzdłużenie pierwotnie krótkich samogłosek akcentowanych jest dopiero w zalążkach (inne podobne przykłady cytuje Väänänen na s. 29:

Amoris ignes si sentires, mulio,
Magi properares, ut videres Vénerem.
. . . .
Pompeios defer, úbi dulcis est amor.

5092, z rytmu jambicznego; por. Carm. Epigr. 44). — Mówiąc o wahaniu *ĭ*: *ĕ* w wyrazie *supstenet* autor tłumaczy je niewyraźną barwą samogłoski w tej pozycji wyrazu; uwaga ta jest po pierwsze w tym miejscu zbędna, skoro formę (słusznie) uznano za zrekomponowaną; po wtóre zaś ujęcie zredagowano w sposób fałszywy. Nie wystarcza bowiem powiedzieć, że w środkowej sylabie otwartej nieakcentowanej krótka samogłoska przybiera barwę nieokreśloną: wahanie jest tu ściśle ograniczone; znajdziemy przykłady na pisownię *E* zamiast *ĭ*, *O* zamiast *ŭ* (por. Vään. s. 45), o wiele rzadsze będą już przykłady odwrotne, hyperpoprawne, ale nie ma wahania np. *O* zamiast *ĭ* albo *E* zamiast *ŭ*. Dowodzi to, że podstawą wahania nie była redukcja samogłosek krótkich w tej pozycji, lecz otwarta artykulacja samogłosek krótkich, czyli że — jak wiadomo — *ĭ* zbliżało się do *ẹ* *ŭ* zaś do *ọ*.

S. 34 i n. Częste ukazywanie się w inskrypcjach pompejańskich zakończeń *-es*, *-et* zamiast oczekiwanych *-ĭs*, *-ĭt* w odmianie czasownika objaśnia autor jako cechę dialektyczną, mianowicie jako utrzymanie daw-

nych zakończeń, które w łacinie Rzymu uległy zmianie. Co do mnie, skłaniam się raczej do objaśnienia tych form przez zapisanie *ĭ* jako *E* (por. wyżej). Aby bowiem przyjąć hypotezę Väänänena, trzeba przypuścić, że po pierwsze tylko *-et* w 3. osobie może być fonetyczne: w formie 2. osoby krótkie *ĕ* przed końcowym *s* w dialekcie oskim jak wiadomo zanika bez śladu; a więc zakończenie *-ĕs* musiałoby być wytworzone analogicznie na wzór normalnego *-ĕt*. Po wtóre, trzeba by jeszcze dodatkowo udowodnić, że częste ukazywanie się zakończeń *-es, -et* ograniczone jest do tych obszarów, na których pierwotnie rozpowszechniony był dialekt oski.

S. 48. Pomimo istnienia pewnej liczby form zakończonych na *-o* w wypadku, gdy w łacinie klasycznej byłoby *-um,* Väänänen nie uważa za słuszne przypuszczenie o przekształceniu *-um* > *-o* w języku mówionym tej epoki. Stanowisko to mym zdaniem niesłuszne. Z faktu, że formy na *-o* są stosunkowo nieliczne nie można wyciągać wniosku negatywnego: każde bowiem *-um* może być pojmowane jako objaw stosowania ortografii oficjalnej, natomiast każdy przykład z *-o* w tym miejscu, jako przykład na nieregularność, wymaga osobnego objaśnienia. A więc wartościowe będą zapisy *allio(m)* 5246, *coliclo(m)* 4888, *Quintio(m)* 2887, *Tegeano(m)* 3525, *Vetio(m)* 2426[a], *vino(m)* 1348 add. p. 206; 4422, oraz *meom* 3161, *tutom* 4987; gen. pl. *nummo(m)* t. c. CXLIII 9 — cała zaś masa form regularnych pozostanie w tym związku bez wartości.

S. 59. Omawiając użycie tzw. I *longa,* Vään. dochodzi do wniosku, że litera ta oznaczała oprócz długiego *ī* jeszcze *i* niezgłoskotwórcze, tj. *j*. Istotnie, dużo przykładów zdaje się to potwierdzać (np. *Iacuit* 5255, *Iam* 118 itd.). Na podstawie tego stwierdzenia Vään. wygłasza dalej przypuszczenie, że pisownia *I longa* w pozycji przed samogłoską może być świadectwem o przejściu *ĭ* przed samogłoską w *j,* tj. że np. *ClaudIanum* 1732 należy czytać *Claudjanum*. Hypoteza to możliwa, nie można jej jednak uznać za udowodnioną. Obok bowiem 60 przykładów na pisownię *I longa* w pozycji przed samogłoską znajdujemy 41 przykładów na takąż pisownię na miejscu *ĭ* przed spółgłoską (np. *bellIcus* 2247, *commIlItonibus* obok *commilitonIbus* 4622 itd.). Stosunek liczbowy 60: 41 nie pozwala na wyciągnięcie żadnego wniosku co do zasad użycia litery *I longa*. Dodać jeszcze należy, że oprócz 41 pewnych przykładów na *I* = *ĭ* Väänänen przez omyłkę podał jeden niepewny (*cupIt* 174) i jeden na pewno tu nie należący (*AnIcetIanI* 2155: tu pierwsze *I* = *ī*).

S. 67. Zebranie przykładów na tzw. krótsze formy perfectum (jak *commodasti* 3502) przyniesie z pewnością nauce pożytek. Nie zdaje mi się jednak rzeczą słuszną, by zamieszczać te przykłady w dziale kontrakcji samogłosek. O wiele bardziej prawdopodobne jest objaśnienie morfologiczne tych formacji niż fonetyczne.

S. 70. Autor traktuje synkopę w łacinie archaicznej jako wynik tej samej tendencji, która doprowadziła też do zmiany barwy samogłosek krótkich w zgłoskach środkowych. Zdaje mi się, że ujęcie to jest z gruntu fałszywe. Przeciw temu przemawia po pierwsze fakt, że synkopa jest zjawiskiem wspólnym i łacinie i innym dialektom italskim, zwłaszcza występuje ona silnie w umbryjskim, podczas gdy zmiana barwy samo-

głosek jest wyłączną właściwością łaciny. Po wtóre, synkopa jest zjawiskiem, które sporadycznie ujawnia się na całej przestrzeni historii łaciny — to objaw tendencji nie umiejscowionej ściśle w czasie; tymczasem zmiana barwy samogłosek krótkich jest procesem bezwyjątkowym, o wyraźnie zarysowanych granicach chronologicznych; w epoce literackiej nie działa on już wcale (por. co do tego Safarewicz, *Études de phonétique et de métrique latines*, Wilno 1936, s. 7 i n.; G. Devoto, *Adattamento e distinzione nella fonetica latina*, Firenze 1923, s. 54; Id., *Silloge Ascoli*, Torino 1929, s. 208).

S. 87. W uwadze, że zmiana [*w*] > *b* po płynnej jest pospolita w łacinie ludowej epoki republikańskiej, należy czytać: 'epoki cesarstwa'. Całe te długie wywody autora na s. 87—9 nie wprowadzają nic nowego do ujęcia, które podał doskonale i jasno Niedermann, *Phonétique* [2], s. 117 i n., 158 i n.

S. 94. Trójzgłoskowe użycie wyrazu *aqua* (jako *acua)*, widoczne u Lucretiusa (np. VI 1072) i w napisach pompejańskich (np. w pentametrze 3948:

tu ve(n)des acuam || et bibes ipse merum),

uważa Väänänen za *artifice métrique*. Moim zdaniem przykłady te wspierają się wzajemnie, zwłaszcza, jeżeli przypomnimy, że w napisach pompejańskich ortografia *acua* spotyka się i w niemetrycznych tekstach (Notiz. d. sc. 1912, s. 402, 2; ib. 1933, s. 329, 406).

S. 108. W związku z ortografią taką, jak *iusstus* 4551, Vään. polemizuje z Baehrensem *(Sprachlicher Kommentar zur vulgärlat. Appendix Probi*, Halle 1922): „il y a, non pas déplacement de la coupe syllabique *(iūsstus = iūss-tus)* comme le pense M. Baehrens, mais attraction de l'*s* de la seconde syllabe dans la première: *iūs-stus*". W rzeczywistości Baehrens (l. c. s. 76) wcale nie mówi, że był podział na sylaby typu *iuss-tus;* wyraża się on tak: „während aber die geminierte Muta eine Verschiebung nach der v o r h e r g e h e n d e n Silbe hin zeigt, kommt in *-sst-* zum Ausdruck, dass wegen der engen Zusammengehörigkeit der beiden intervokalischen Konsonanten *-st-* das *s* zur f o l g e n d e n Silbe hinübergezogen und die Silbengrenze in das *s* verlegt wurde". Jeżeli więc już wyprowadzać schemat, którego Baehrens nie podał wcale, należałoby go oznaczyć jako *ius-stus*. Nie ma więc różnicy z ujęciem Väänänena; polemika zbyteczna.

Na s. 109—111 omówiono zmiany, jakie dotknęły grupy *ct*. Podkreślono trwałość tego połączenia w łacinie a równocześnie silną tendencję we wszystkich językach romańskich do jej usunięcia. Istotnie, grupa *kt* należy do tych, które w wielu językach uległy przekształceniu. Väänänen nie podkreślił zasadniczej przyczyny, która wywołuje tu zmianę: przyczyną tą jest niewątpliwie następstwo dwu zwartych bezdźwięcznych, artykułowanych w wyraźnie różnych miejscach. Wobec różnicy miejsca artykulacji pierwsza ze zwartych nie jest implozywna, zachowuje rozwarcie, jednak rozwarcie jej nie może być wystarczająco silne, gdyż natychmiast po nim następuje nie głoska otwarta (lub choćby szczelinowa), lecz znów artykulacja zwarta. To otwarcie bezdźwięczne, nie prowadzące do głoski otwartej, jest więc elementem, który musi sprawiać trudność jednostce

mówiącej. Najpospolitsze wyjścia zmierzające ku usunięciu tej trudności mogą być dwa: albo usunięcie niewygodnego rozwarcia — co możliwe jest tylko przez artykułowanie pierwszej zwartej w tym samym miejscu, co druga (czyli przekształcenie grupy *-kt-* w *-tt-*, ściślej — w długą zwartą spółgłoskę *t)*; — albo też można usunąć trudność, przekształcając jedną ze zwartych w szczelinową; oczywiście, straci zwarcie ta spółgłoska, która jest w grupie spółgłoską słabszą; słabszą zaś jest tu spółgłoska pierwsza, gdyż jej to rozwarcie sprawia niewygodę, podczas gdy rozwarcie spółgłoski drugiej, prowadzące do samogłoski, żadnych trudności nie nasuwa. A więc pierwsza ze zwartych przekształci się w spółgłoskę szczelinową, czyli w tym drugim wypadku *-kt-* > *-χt-* (tj. w *-cht-)*. Te dwie możliwości są najprostszymi zjawiskami; pierwsza z wymienionych zmian zaszła np. w języku włoskim *(notte* — łac. *noctem, fatto* — łac. *factum* itd.); druga w dialektach osko-umbryjskich (np. o. *Úhtavis* 'Octavius' umbr. *uhtur* 'auctor'), w niektórych językach romańskich (np. fr. *fait* < *factum,* zapewne poprzez stadium **fahtu);* jest to też zjawisko znane dobrze w dialektach polskich (dial. *chto, dochtór,* por. *Gram. Polska Pięciu Autorów,* Kraków 1923, s. 450). Wynik przekształcenia może być też jednak inny, np. w rumuńskim zaszła zmiana *ct* > *pt* (por. *noapte* < *noctem* itd.; por. o tym A. Graur i A. Rosetti, *Sur le traitement des groupes lat. ct et cs en roumain,* Bulletin Ling. Bucarest, III 1935, s. 65—74; IV 1936, s. 182 i n.; V 1937, s. 218 i n.); w niektórych dialektach polskich zamiast *kto* istnieje *tko.* Wszystko to objawy tego samego zasadniczo zjawiska: połączenie *kt* sprawiało trudności jednostkom mówiącym. Zachowanie grupy *-kt-* w stanie niezmienionym w łacinie jest bardzo charakterystyczną cechą tego języka. Sporadycznie tu tylko natrafić można na przykłady uproszczenia grupy *-kt-,* np. *Vitoria* CIL I[2] 550, z Praeneste. W Pompei znaleziono kilka takich przykładów: *otoge(ntos), autione,* fata 'facta' t. c. XXXVI 27, 28, 29; *aution(e)* t. c. XXXIII 8, *fata* 'facta' t. c. XXXVIII 27; *Otaus* 'Octavus' (imię własne) 4870.

S. 123. Autor twierdzi, że w Pompei nie ma jeszcze oznak pomieszania końcowego *t* i *d.* Twierdzenie to zostaje w rażącej sprzeczności z powszechnie znanymi faktami. Już w napisie z r. 45 przed Chr. (CIL I[2] 593) czytamy obok siebie *apud* i *aput* (por. Sommer, *Handbuch*[2], s. 274); w *Monum. Ancyr.,* a więc w napisie o charakterze oficjalnym z początku I w. po Chr., znajdujemy *aliquod* w znaczeniu *aliquot* (II 25), itd. A w samych napisach pompejańskich znajdujemy długi szereg przykładów na pisownię *-t* zamiast *-d (at quem* 1880, *at Quintium* Not. d. sc. 1910, s. 404, *at porta* 2013, *quit ego* 1824 add. p. 464; 704, *quit n(e)gast(...)* 1547[a], *quot scripsi* 1860, *set intra* 2400, *set lutus* 1516; i odwrotnie w odmianie czasownika: *diced* 1700 add. p. 464, *rogad* 2388 itd.). Przykłady te Väänänen dzieli na dwie grupy: w pierwszej są wyrazy odosobnione (nieodmienne albo zaimki), w drugiej formy czasownikowe. Co do użycia form czasownikowych na *-d,* autor widzi w nich odbicie wpływu oskiego: w tym dialekcie, jak wiadomo, zachowała się końcówka *-d* < *-t.* Ale hypoteza to z pewnością niesłuszna. Po pierwsze bowiem w dialekcie oskim istnieje odróżnienie końcówki prezentywnej

-t < *-ti* i aorystycznej *-d* < *-t* (np. *faamat* 'habitat', 3. sg. praes. indic., ale *aíkdafed* 'decrevit', 3. sg. perf. indic.), podczas gdy pompejańskie twory czasownikowe na *-d* mają tę końcówkę promiscue: równie dobrze w perf. (np. *pedicaud* 2048 add. p. 215), jak w praes. indic. (*rogad* 2388). Po wtóre, przykłady na pomieszanie *-t* : *-d* są w Pompei tak liczne, że nie podobna ich objaśnić inaczej niż jako objaw zmiany fonetycznej. Jakichże jeszcze trzeba przykładów, by to udowodnić? — Dodać jeszcze trzeba, że poza odmianą czasownika końcowe *-t* jest w ogóle rzadkie w łacinie. — Należy więc uznać, że przykłady pompejańskie nie odbijają wpływu oskiego, lecz reprezentują właśnie pomieszanie końcowego *t* i *d*, na co wskazują zwłaszcza wypadki zastąpienia *-d* przez *-t* przed wyrazem zaczynającym się od samogłoski lub od spółgłoski dźwięcznej (*quit ego*, *set intra*, *set lutus*).

Na s. 132—5 autor analizuje wypadki pominięcia końcowego *m* i dochodzi do wniosku, że *m* zanikało nie wywołując nazalizacji poprzedzającej samogłoski. W przeciwnym razie „należałoby oczekiwać pomieszania końcowego *m* i *n*". Wniosek jest nieoczekiwany, gdyż litera *N* w k o ń c u wyrazu oznaczała zawsze i tylko s p ó ł g ł o s k ę nosową (inaczej niż w środku wyrazu), gdy tymczasem końcowe *m* nie oznacza w epoce archaicznej i klasycznej spółgłoski, lecz tylko rezonans nosowy, z uboczną artykulacją ustną wargową. Fonemy zapisywane jako *-AM*, *-EM*, *VM*, *-IM* nie były grupą głosek, złożoną z samogłoski ustnej i ze spółgłoski nosowej; były to z pewnością po prostu samogłoski nosowe, jak wynika zwłaszcza z metryki, gdzie końcowe wymienione tu grupy traktowane są na równi z długimi s a m o g ł o s k a m i (ulegają elizji przed wyrazami zaczynającymi się od samogłoski). Por. co do tego Safarewicz, *Atti del III Congr. Internaz. dei Linguisti* 1933, Firenze 1935, s. 176—9; Eos (Lwów) XXXV 1934, s. 133—8.

S. 142. Na podstawie traktowania końcowego *s* wyprowadza autor daleko idące wnioski o ogólnych tendencjach rozwojowych języków romańskich, formułując je w sposób nader niejasny: „c'est l'aire caractérisée par l'intégrité de *-s* finale qui a hérité des tendances latines vulgaires; au contraire l'italien et le roumain, qui ont laissé tomber l'*s* finale, constituent la partie à innovation, quelles qu'en soient les causes". Trudno zrozumieć, na czym polega przeciwieństwo między tendencjami wulgarnymi a inowacjami.

S. 145. Pompejańskie przykłady na gen. sg. fem. na *-aes* (np. *Benniaes Sabinaes* 5782) ograniczają się do imion niewolników. Ale nie można tego spostrzeżenia uogólniać, jak to czyni Väänänen, gdyż poza Pompei genetivus tego typu znany jest dobrze i w imionach pospolitych, rdzennie łacińskich; por. o tym Hehl, *Die Formen der lateinischen ersten Deklination in den Inschriften*, Tübingen 1912, s. 19 i n., a ostatnio Niedermann, *L'Antiquité Classique* II 1933, s. 365.

S. 178. Ostrożne a ścisłe formułowanie sądów jest jak wiadomo koniecznym warunkiem pracy prawdziwie naukowej. Z tego względu muszę wytknąć jako błąd taki zwrot Väänänena jak: „*calare* (de χαλεῖν) 'convoquer'. Czasownik *calare* z pewnością nie pochodzi z greckiego,

gdyż jest to wyraz rodowity łaciński: ale oczywista, że zostaje w związku genetycznym z greckim czasownikiem καλεῖν.

S. 199. Słusznie autor interpretuje napis 5279 = 5282: *tu mortus es, tu nugas es* jako *tu nugae* (i. e. *nihili)* es. Sądzę jednak, że mówiąc o genezie nom. pl. *nugas* trzeba uwzględnić częste użycie tego wyrazu w acc. pl. jako wykrzyknika, por. Plautus *Capt.* 613, *Most.* 1088, *Persa* 718.

Zamykając tę recenzję chcę podkreślić, że zastrzeżenia, jakie poczyniłem, nie dotyczą istotnej wartości pracy Väänänena: książkę tę uważam za bardzo pożyteczną dla latynistyki. Wartość jej polega jednak nie tyle na nowych interpretacjach, ile na starannym, systematycznym i jak się zdaje dokładnym przedstawieniu materiałów. Nie należy też czego innego szukać w tej książce. Nie wywoła ona chyba przewrotu w badaniach nad łaciną ludową, ale pozwoli dotychczasowe sądy lepiej niż dotąd ugruntować, tu i ówdzie wprowadzi korektywę, wszędzie zaś da dalszym badaniom solidne podstawy filologiczne. Za to więc wdzięczność winniśmy autorowi tej pracy. JAN SAFAREWICZ

Pół wieku wspomnień uczniów Gimnazjum im. B. Nowodworskiego (św. Anny) w Krakowie, 1588—1938. Wydawnictwo jubileuszu Gimnazjum im. B. Nowodworskiego, Kraków 1938. Nakładem Komitetu Jubileuszowego, s. 252.

Z wyjątkiem chyba gimn. im. św. Marii Magdaleny w Poznaniu, żadne gimnazjum polskie nie może iść w zawody z Gimn. Nowodworskiego w Krakowie i jego świetnymi tradycjami klasycznymi. Jubileusze tego gimnazjum dzięki wybitnym nauczycielom, którzy wychowali wybitnych uczniów, to już nie uroczystości rodzinne, lecz święta o charakterze ogólnopolskim: bo to jedna z najlepszych kuźni polskiej kultury i polskiego humanizmu. W księdze tej świadczą o swym gimnazjum byli jego uczniowie we wspomnieniach pełnych wdzięczności, a często rozrzewnienia. Wspomnienia te o charakterze osobistym nie roszczą sobie pretensyj do historiografii, a jednak historyk naszego szkolnictwa, i nawet filolog klas. znajdzie tu pierwszorzędne informacje. Wysoki poziom zawdzięcza księga ta wybitnym i najwybitniejszym nazwiskom, przesuwającym się w swych zwierzeniach przed naszymi oczyma. Otwiera ją Stan. Estreicher, a zamyka młoda nadzieja Estreicherów. Windakiewicz, Kleczkowski, Waga, Opieński, Długosz, Komar, Hełczyński, Bielak, Zachemski — oto poczet nazwisk najbardziej spotykanych i znanych nam, filologom. Znaleźć tu można materiały do dziejów całego gimnazjum: mnie zaś najbardziej interesują notatki o filologach i nauczaniu filologii, i na te chciałbym zwrócić uwagę. Estreicher przedstawia na s. 7 swego nauczyciela łaciny i greki, W o j c i e c h a R y p l a († 1920 w Olszówce pod Rabą Wyżną), „entuzjastę klasyków łać. i greckich, a w równej mierze zapalonego purystę polskiego ... Chciał nas uczyć solidności w tłumaczeniu i być może, że nauczył niejednego sztuki pracowania, nawet jeżeli mu zamiłowania do kultury klas. nie wpoił... Wymagał i umiał wyegzekwować znajomość gramatyki i realiów, małe miał natomiast zrozumienie dla estetycznej strony utworów, albo może nie umiał nam tego wytłumaczyć". Z perspektywy kilkudziesięciu lat pisze o nim dyr. Zachemski (s. 51)

jako o postrachu gimnazjum, „bezwzględnie sprawiedliwym, niedostępnym dla żadnej, choćby najwyższej protekcji. Jeżeli jakaś klasa była słabiej przygotowana z jęz. łać. lub greckiego, wystarczało zapowiedzieć przed feriami, że od września obejmuje jeden z tych przedmiotów prof. Rypel, a wszyscy uczniowie przychodzili po wakacjach z dobrze opanowanym materiałem językowym... Być może, że znany ze swej bezwzględności i bezstronności prof. Rypel zostawił u niektórych ze swych uczniów mniej sympatyczne wspomnienie; mimo to stwierdzam, że znalazł on dużo serdecznej wdzięczności u wychowanków, którzy mu nawet za staraniem b. ucznia Głogoczowskiego z dobrowolnych składek wystawili przed kilkunastu laty nagrobek na cmentarzu w Rabce. Wymagał wiele od uczniów, ale niemniej od siebie. Przy swej prostocie był wzorem prawości charakteru, niezwykłej pracowitości i sumienności. Te zalety wszczepił w nas uczniów nie gderliwym słowem, ale żywym przykładem".

Obok niego działał drugi grecysta, L e o p o l d Ś w i e r z, któremu H. Szymański (s. 29—34) poświęcił osobne wspomnienie. „Postać jego i charakter chyba do śmierci pozostanie w tkliwej pamięci każdego z nas, Jego uczniów. Człek skromny, zawsze spokojny i zrównoważony, poważny i przystępny, bujną swą brodę obejmował ręką u nasady i powoli wygłaszał swe sentencje. Serce miał gołębie, a charakter i zasady głoszone, czyste jak kryształ; młodzież miłował chyba aż do obłędu, bo w niej widział przyszłą wolną ojczyznę". Osobiście nienawidzę schematu nekrologowego, stereotypowo idealizującego zmarłego, i odczułbym to jako obrazę gdyby o mnie można było to pisać i tylko to. Bynajmniej nie zachwycam się tym, że po każdej konferencji uczeń od prof. Świerza dowiadywał się treści obrad, albo że profesor wdawał się w pertraktacje co do zmiany stopnia z greki. To też rzeczywiste zasługi Świerza leżą za zupełnie innym polu niż humanistyki: był on pierwszym sekretarzem Twa Tatrzańskiego, do którego pragnął zapisać cały świat.

Jakimż to innym humanistą był J a n B r y l, o którym nam pisze A. E. Balicki (s. 72); był on estetą i właśnie w tym kierunku działał: niewątpliwie lepsza to jednostronność dla filologa od taternictwa. „Niezapomniany człowiek o wielkiej kulturze umysłu i dobroci serca. Jemu to i jego sposobowi uczenia i prowadzenia nas zawdzięczamy, że żaden z nas nie powstawał nigdy w życiu przeciwko uczeniu (przecież niepotrzebnemu!) greki w szkole średniej, że po latach dopiero zrozumieliśmy, cośmy na tych godzinach skorzystali i z tych lekcyj wynieśli. Bo choć był filologiem klas. z nazwy i studiów, przecież nic w nim nie było z owej przysłowiowej oschłości i nudy wielu, — ach, jakże wielu! — filologów. Umysł głęboki prawdziwego humanisty. Dobrze by się czuł w odpowiednim gronie na dworze Zygmuntowskim... Sposób uczenia — a był przy tym wymagający wielkiej dokładności i sumienności — lekki i barwny. Godziny urozmaicone aktualnymi i interesującymi dygresjami. Entuzjasta świata starożytnego i polskiego dorobku kulturalnego. On pierwszy i (poza polonistami Żuławskim i Nitschem) jedyny, który przynosił na swoje godziny niejednokrotnie różne numery C z a s u lub T y g o d n i k a I l u s t r o w a n e g o, gdzie czytaliśmy na głos jakiś zasadniczy artykuł omawiający zagadnienia —

potrzebne dla lepszego zrozumienia poruszanego w szkole tematu... On to pierwszy — po podróży do Grecji — publicznie nazywał wzgórze Wawelu polskim Akropolisem, — wpływając niewątpliwie na tytuł i lokalizację późniejszego dramatu Wyspiańskiego. Do czytanych autorów umiał nas zbliżyć. Dzięki Brylowi nauczyliśmy się patrzeć na nich — nie jak na zimne i sztywne muzealne posągi, lecz jak na ludzi żywych o gorącym bijącym sercu. Twórca Odyssei wyszedł w tym naświetleniu jako jeden z zajmujących pisarzy fantastyczno-podróżniczych powieści, Demosthenes jako gorący patriota i przewidujący mąż stanu o krwawiącym sercu, a Sophokles?... Czytaliśmy wspólnie Króla Edypa. Po wgryzieniu się w rodzaj stylu i metrum jambiczne ze wzrastającym napięciem śledzimy bieg akcji tej przedziwnie skonstruowanej najtragiczniejszej tragedii, pełnej grozy i bolesnego pesymizmu... Bryla trudno było nie kochać! Pogodnego usposobienia, z dobrotliwym uśmiechem na twarzy, pociągał nas ku sobie i chętnie się nami otaczał". Największą sztuką nauczyciela jest osiągnięcie, by każda lekcja, każda lektura stała się przeżyciem. Bryl według tego świadka to osiągnął. — Nieco inaczej ujmuje to samo A. Kleczkowski (s. 92): „Niezapomniane były godziny Bryla, kiedy czytaliśmy Herodota o Athenach, wtedy zmartwychwstawał w naszych oczach Akropol atheński, a jako porównanie Wawel. Godziny całe spędzaliśmy w sali fizycznej, gdzie miał profesor wykłady przy przeźroczach ze skioptikonu o architekturze i rzeźbie greckiej. To samo było przy Homerze, kiedy rzucał na ekran podobizny bogów i bohaterów greckich. Czuć było nie tylko filologa klas., archeologa, ale estetę głęboko czującego i rozumiejącego piękno klasyczne i piękno wszelkie. On wszczepił nam swój entuzjazm do antyku i Wawelu".

Oprócz nich uczył filologii klas. pokaźny szereg innych nauczycieli, jak dyr. Ignacy Stawarski, Zygmunt Kunstmann, Wincenty Stroka, Władysław Macheta, W. Krajewski, Fr. Seidler i i., którzy się nie wryli głębiej w serca uczniów. W Leonie Kulczyńskim i Jakubie Zachemskim dyrektura przyćmiła nauczanie. Piętno zaś szkoły klasycznej nadało temu gimnazjum i sławę mu stworzyło przede wszystkim dwóch profesorów o różnych charakterach i temperamentach: Jan Czubek i Michał Bogucki.

Nie wątpię, że Jan Czubek doczeka się swej monografii, o którą się już teraz upominają. Poznałem osobiście tego pod każdym względem niezwykłego człowieka, który mi imponował swoją tężyzną fizyczną i duchową, swoją prostotą i prostolinijnością, nie uznającą żadnych kompromisów, nie uginającą się przed żadnym autorytetem, jak tylko logiki i prawa. Cieszyłem się naprawdę, gdy czytałem wspomnienia jego uczniów, którzy mieli to szczęście obcować z nim i widzieć go przy pracy. Jego też nazwisko przewija się we wspomnieniach prawie wszystkich, przytem uderza stereotypowość pochwał. Czubek to był selfmademan ze wsi, dumny ze swego pochodzenia, które podkreślał przy każdej sposobności, w ubiorze, mowie, patriarchalnych manierach. Estreicher (s. 7) słusznie podnosi, że „profesorowie tacy, jak Czubek i Rypel, byli dowodem, jakie to dodatnie a utajone siły tkwią w tej świeżo do życia narodowego dopuszczonej warstwie i do jakiego zrozumienia zagadnień kulturalnych mogą się już w pierwszym pokoleniu podnieść". Czubek miał szczęście,

że pracował w czasie, kiedy to świat krakowski — może właśnie też przez niego wychowany — z L. Rydlem i St. Wyspiańskim na czele przeszedł swą psychozę chłopską. Wierzymy więc Balickiemu (s. 71) że „nade wszystko lubiliśmy Jana Czubka. Na pierwszy rzut oka — zwłaszcza dla bębnów — groźny i nie pociągający, rubaszny w ruchach, dowcipie i słowie, przy dalszym poznaniu — najlepsze serce, szeroki horyzont myśli, gruntowna wiedza, znawca starożytności i polskiej literatury pierwszorzędny. Gdzie i kiedy ten człowiek miał na wszystko, co robił i zrobił, czas — to pozostanie ciekawą tajemnicą jego organizmu i konstrukcji jego umysłu. Młodzieży oddany był bez zastrzeżeń, całym sercem, choć niejeden nygus lub wymuskany paniczyk gorzkie od niego pigułeczki zażył. Lubił wesołość i radosne twarze. Na jego godzinach często gęsto bił w niebiosa aż do stóp św. Anny huraganowy ryk śmiechu, umiejętnie przedłużany przez klasowych speców... A równocześnie nauka szła ostro, z każdej godziny wynosiło się coś potrzebnego i ważnego. Interesował się szczególnie uczniami biednymi, chudziakami ze wsi. Nie rzadko mogłeś widzieć, jak taki mizerota wychodził po nauce o pierwszej z zawiniątkiem pod pachą. To Czubek obdarzył go z ‘Pomocy koleżeńskiej’ nowymi porciętami lub bluzą“. Obszernie pisał o Czubku M. Chmielowiec (s. 105—108), dobrze go uzupełnia ze strony ludzkiej S. Friedeker (s. 109—112). Trudno ująć syntetycznie ich wywody, gdyż właśnie świeżość wspomnień, urok osobistego przeżycia stanowi ich duszę: wolę przeto przytoczyć urywki tekstu Chmielowca (s. 106 nn.): „Dziwne, niezwykłe wrażenie robiła jego postać. Dość tęgi, przysadkowaty, starszy już wówczas człowiek, skupiał całą uwagę nowicjuszów na swej dużej, szerokiej twarzy, obrosłej dość filozoficznie czyli niedbale. Fizycznie nie pociągający bynajmniej na pierwszy rzut oka, łączył w sobie przedziwne dwa typy: rozlewność grubaśnego Zagłoby i urok brzydoty Sokratesowej. Głębia duchowa, którą nas niekiedy odurzał, a na codzień jowialność facecjonisty tworzyły nieporównane zestawienie, które podbijało serce i nakazywało bezwzględny szacunek. Naturalny i prosty w każdym odezwaniu się do klasy czy ucznia, bez owej sztywności uroczystej, tak często właściwej innym wybitnym jednostkom z nauczycielstwa, gdy się zniżają do szarej rzeszy uczniowskiej, choć sam lubiący żarty i docinki czasem bolesne, nigdy przecież nie był przedmiotem studenckich figlów... Promieniował respektem! — A jednak nie jakaś poważna cisza, lecz niezwykła swoboda, radość, wesołość i humor przebija się jako zasadniczy ton wspomnień o lekcjach prof. Czubka. Było to już jego osobistą tajemnicą, jak lekcje z Sallustiuszowego *Spisku Katyliny* lub Wergilowej *Eneidy* można prowadzić nie tylko z ożywieniem, ale i z wielką dozą najszlachetniejszego humoru, a więc żywiołu w ówczesnej dydaktyce niemal obcego, a którego domieszka z suchej, nudnej lekcji czyni przecież przyjemność! Lubując się niezmiernie w celowych dygresjach, umiał (już wówczas!) prof. Czubek nawiązywać lekturę autora starożytnego do współczesnego życia, umiał wplatać zręcznie w poważny tekst klasyka orzeźwiającą dykteryjkę, trafną aluzję, wyborny żart *á propos*. Przyznajmy się dziś po latach, że reakcja nasza na te miłe dodatki dobrotliwego profesora była trochę sztubacka. Ambicją klasy było naturalny śmiech przerobić

sztucznie w grzmiącą burzę; ostatnie zwłaszcza ławy repetentów odznaczały się tą zdolnością, godną ostatnich wyjców! Ale prof. Czubek, choć pewnie czuł tę przesadę, nie zrażał się tym i z pogodnie uśmiechniętą twarzą pozwalał się dziko uśmiać i wyhałasować. A pamiętasz, nieuważny kolego Wilhelmie (dziś poważny mecenasie!), jak to szturknięty w bok przez sąsiada z całkiem innego powodu, wziąłeś to za hasło do wydania okrzyków radości po przypuszczalnym dowcipie z katedry i wśród ogólnej ciszy nagle ryknąłeś „solo", co sił w piersiach?! Twarz profesora Czubka wyraziła na to niebywałe zdziwienie, a potem dopiero huknęła salwa całej już rozbawionej rzetelnie klasy. Katedra śmiała się też!

Zrazu nowi uczniowie bywali mocno zdziwieni, gdy żarty i anegdoty płynące z pogody i dobroci ducha profesorskiego wywoływały w klasie tak niebywałe okrzyki; z czasem i my nowicjusze zaczynaliśmy „ryczeć" z resztą audytorium. Dziś widzę, jakie to było błogosławione odprężenie umysłowe, gdy wśród badań Sallustiusa nad upadkiem obyczajowym Rzymu można sobie było ryknąć w młodym, zdrowym śmiechu. W obecnej epoce przeróżnych reform szkolnych robi się na komendę w czasie lekcji ćwiczenia oddechowe i ruchowe; prof. Czubek przewidział już wtedy ich potrzebę, ale nam lepiej służyła taka eksplozja naturalnego śmiechu i humoru, zastrzykniętego przez kapitalnego psychologa i narratora, jakim był prof. Czubek. Te ataki wesołości, huraganowo grzmiące po tych klasach, gdzie on uczył, były podobno nie bardzo lubiane przez ówczesnego dyrektora, radcę Kulczyńskiego, i przez profesorów uczących w sąsiednich salach, gdzie pewnie mąciły poważny nastrój naukowy. Ale ich sprawca nic sobie z krytyki swego systemu nie robił, a że był panem sytuacji zawsze wobec wyjącej młodzieży, więc jedno wzniesienie pióra w górę — niby trójząb Neptuna — uciszało odrazu — jak uciął rozwydrzoną klasę. Roześmiane przed chwilą oblicze profesora przybierało znów rysy stałej powagi i wśród absolutnej ciszy można było dalej wnikać w przyczyny, dlaczego w danym zdaniu jest *coniunctivus imperfecti*.

Prof. Czubek był synem wsi i szczególną opieką i sympatią otaczał uczniów pochodzenia włościańskiego, których w gimnazjum było już wtedy niemało. Wypytywał ich na lekcji o warunki życiowe, o obyczaj tamtejszy, o wiejskie przezwiska każdego z nich. Widocznie w ten sposób stwarzał sobie sztucznie atmosferę wsi, za którą w mieście tęsknił. A już z czułością nieukrywaną odnosił się do tych uczniów, co byli z gór, z Podhala. Widocznie miłośnik wielki tamtych stron, znawca obyczaju, psychiki i języka podhalańskiego, umiał ocenić tężyznę i walory duchowe młodzieży stamtąd pochodzącej. Oni mu musieli dopomagać w odnalezieniu trafnych gwarowych wyrażeń, które przedziwnie umiał wetkać w idealnie poprawny język i styl tłumaczeń. Anegdoty i piosenki góralskie były ulubionym „konikiem" profesora. Gdy się z jakim góralczykiem z Czarnego Dunajca rozgadał na ten temat, to się zapominało, że to lekcja łaciny: godzina stawała się pyszną lekcją folkloru, a rozanielony profesor filologii klasycznej był wtedy w swoim żywiole. Raz nawet śpiewem zaprodukował zdziwionej klasie zbójnicki dwuwiersz o więzieniu w Mikułasie! Zatrzęsły się, gdy skończył, mury szkoły od naszego ryku, zatrwożył się może sam dyrektor o całość gmachu, ale echo i efekt tej

piosenki mam do dziś w uchu, przechowane jako żywy znak niebywałej swobody oddziaływania na nas przez prawdziwego mistrza.

A czy wśród tego wszystkiego — zapyta kto — nie gubił się cel nauczania, program przedmiotu, wartości formalne tak udzielanej łaciny? Nie, stanowczo nie! Jeśli do dziś mam szczególną predylekcję do tych właśnie utworów, których w klasie VI i VII poznawałem pod kierunkiem prof. Czubka, to niech mi to wolno przypisać jego metodzie i jego umiejętnemu wprowadzaniu w ten wiecznie młody świat klasyczny. To zdanie podzielą chyba wszyscy, którzy byli jego uczniami i których urabiała jego silna indywidualność".

Do tego obrazu dorzuca jeszcze Friedeker drobne rysy (s. 110): „Prof. Czubek uczył nas łaciny, ale właściwie były to lekcje w równym conajmniej stopniu języka polskiego. Jego polszczyzna, odmienna od polszczyzny innych profesorów, szczególnie nas pociągała. Dla nas, przyzwyczajonych przez innych profesorów do języka podniosłego, uroczystego i wygładzonego, jego język jędrny, dosadny, o charakterze ludowym i w miarę rubaszny, posiadał szczególny powab. Obrazowo powiedziałbym, że kiedy inni profesorowie raczyli nas uroczystymi tortami i delikatnymi ciastkami z kremem, prof. Czubek podawał nam jędrny chleb razowy ze świeżym masłem wiejskim, i trzeba przyznać, że nam ta ostatnia strawa o wiele bardziej przypadała do gustu od owych smakołyków".

Już powiedziałem, że co do tego języka i tego gustu trzeba się porozumieć. W związku z przekładem Iliady wywiązała się dość zjadliwa i niesmaczna polemika zarówno o stylu przekładu jak i o jego języku: ochrzczono to wyrazem lansowanym przez prof. Sinkę 'chłopskiej Iliady', podczas gdy Iliada miała być eposem dworskim. Ta sama dyskusja — choć w formie mniej jaskrawej — rozwijała się z okazji wydania przekładu Horacego, a zwłaszcza Pieśni. Dziś dyskusja przycichła, ale zagadnienia pozostały te same, i tak samo niejako w zawieszeniu. Nie tu miejsce, by je rozwiązać, albo obszerniej poruszyć. Ale właśnie uczniów uważam za zwierciadło, w którym się odbijają profesorowie, i stwierdzam absolutną jednolitość sądu o pozytywnej wartości tłumaczeń, o entuzjazmie, z którym spotykały się te przekłady Czubka, a zwłaszcza ich język (Bryl s. 72, Balicki s. 72 n., Kleczkowski s. 92, Friedeker s. 110, Chmielowiec s. 105). W samej rzeczy uważam rzeczywiście Iliadę w założeniu (bo Iliada nie była epopeją ludową), a Horatiusa Pieśni w wykonaniu za nieodpowiadającą naszemu ideałowi przekładu. Ale wobec pochwał i zgodności sądu minionego pokolenia byłoby nonsensem twierdzić, iż przekłady te są bezwartościowe — odpowiadają one stylowi i upodobaniom pewnej epoki, szukającej świadomie serdecznej i duchowej wspólnoty ze wsią polską, z ruchem ludowym. 'Wer den Besten seiner Zeit genug getan, der hat gelebt für alle Zeiten' — tę sentencję trzeba odnieść także do prof. Czubka, i chociaż już nie podzielamy gorącego entuzjazmu dla jego tłumaczeń, zbyt jednostajnie modelujących wykwint elegików jońskich, wytworność Horacego i szeroką gamę stylu Homerowego na nutę lirnika sielskiego, to jednak z dużym zadowoleniem notujemy sukces odniesiony przez tłumacza w swoim czasie, i podkreślamy, że dopiero on ruszył w ogóle sprawę tłumaczenia klasyków z martwego

punktu: jego *Antigona* (Zachemski s. 53 n., Balicki s. 72) wskrzesiła *Antigonę* Morawskiego, ta znowu całego Sophoklesa. Satyry Horatiusa poznajemy dziś jeszcze chętnie z przekładu Czubka.

Dużo dalibyśmy za to, by poznać wszystkie chwyty Czubka jako pedagoga. Wspomnienia podają cenne materiały, które czekają opracowania. Najtrzeźwiej ujął tę stronę Kleczkowski (s. 92): „Czubek miał nadzwyczajny 'chłopski rozum'; najtrudniejsze rzeczy wbijał do głowy najprostszym sposobem; gramatyki i słówek greckich uczył tak, że kazał ustawicznie tłumaczyć zdania z polskiego na greckie, pokazywać akcenty ręką i pisać to na tablicy; już po roku umieliśmy mnóstwo, a lektura następna: Xenophonta, Herodota, Homera, Platona, a nawet Demosthenesa i tragików greckich językowo nie przedstawiała wielkich trudności. Jego paralele między światem klas. a polskim były doskonałe. Ażeby wprowadzić odprężenie nerwów niedość mu było humoru i imionisk, które każdy prawie uczeń posiadał (z dobroci i życzliwości), służył do tego dziwny tryk: dowcip nauczyciela i przeraźliwe wycie uczniów potem na znak zadowolenia. Wycie to trwało króciutko i wnosiło wytchnienie. Lepsze to było w każdym razie aniżeli tupanie czy szuranie nogami studentów niemieckich na znak zadowolenia lub niezadowolenia". Czubek sam uzasadniał to ryczenie (Friedeker s. 112): Pod koniec życia „zapytany przeze mnie wręcz, dlaczego w szkole pozwalał na tak straszne ryki, wyjaśnił mi, że prowokował je świadomie i celowo, ilekroć widział, że umysły uczniów są już zmęczone i nauka ospale toczy się naprzód, co miało miejsce zwłaszcza wtedy, gdy łacina przypadała na czwartą lub piątą godzinę nauki. W ten sposób starał się pobudzić zmęczone umysły do dalszej pracy i, jak twierdził, zawsze mu się to udawało". Może i dalsze spostrzeżenia Friedekera są godne uwagi, jak np. s. 110: „Od pierwszego dnia skrupulatnie przestrzegał, by uczniowie tłumaczyli teksty łacińskie doborową polszczyzną. Nię żądał tłumaczenia dosłownego, owszem pozwalał na wprowadzenie pewnych zmian w figurach poetyckich, byleby uczeń umiał wyjaśnić, jakie wprowadził zmiany i dlaczego to zrobił... Nic tedy dziwnego, że pod takim kierownictwem wśród uczniów wytworzyło się szlachetne współzawodnictwo w dobieraniu najwłaściwszych wyrazów i zwrotów w dążeniu do osiągnięcia jak najlepszego pod względem językowym tłumaczenia i że uczniowie powoli zaczęli rozumieć piękno języka własnego i smakować w nim".

To wystarczy, chyba, by dać obraz postaci i nauczania prof. Czubka, choć nie wyczerpałem materiałów, jakie daje ta książka. Przechodzę do jego młodszego kolegi, prof. Michała Boguckiego. Syn Krakowa (ur. 22 września 1860) został z miastem nierozerwalnie złączony na całe życie po kilku latach terminatorstwa filologicznego na prowincji (Rzeszów, Bochnia, Tarnów). Kiedy przybył do gimn. św. Anny (r. 1911), przekroczył już 50-tkę, ale uczył bezmała jeszcze przez 25 lat. Miły obraz jego skreślił J. Dobrzycki (s. 205—226); wyjmiemy z niego to i owo: „Natura po macoszemu poskąpiła mu urody. Był niski i krępy, dość niezgrabny, chociaż żywy i ruchliwy. Chodził w jasnym ubraniu i szerokoskrzydłym czarnym kapeluszu, jakich ogólnie używali wówczas malarze. W rękach nosił zawsze jakieś książki

i papiery. Twarz miał szeroką, z małym nosem, poznaczoną obficie śladami ospy. Spod kapelusza spływały nisko na czoło zaczesane ciemne włosy, których końce nad oczami zaginały się ku górze. Jedno, co było w tym człowieku od pierwszej chwili pociągające — to oczy, duże, wyraziste, pełne zarówno inteligencji, jak i ogromnej wyrozumiałości i dobroci... (s. 216). Ta sama napięta uwaga towarzyszyła wszystkim dalszym lekcjom w tym roku i w latach następnych, przy otwieraniu przed zdumionymi oczyma coraz to nowych sezamów wiekuistego piękna, zaklętego w dziełach wielkich klasyków helleńskich i rzymskich.

Promienne refleksy tego piękna wyszlachetniły w sposób niepojęty groteskową nieco postać naszego mistrza. Kiedy stał przed nami z komentowanym tekstem w ręce, przysłaniając charakterystycznym gestem twarz drugą ręką — w oczach jego zapalały się iskry tak szczególne, że wnet można było poznać, iż jest nie tylko niezrównanym specjalistą-filologiem, ale zarazem poetą, odszukującym najbliższe sercu ideały w pięknościach antyku, i równocześnie wymownym działaczem, świadomym swego wzniosłego posłannictwa w rozpowszechnianiu tych ideałów. Był, słowem, w każdym calu doskonałym typem humanisty, z rasy tych, którzy w dobie renesansu objawiali zdumionej ludzkości całą wielkość i wspaniałość kultury klasycznej. Przypominał ich zresztą, choćby tylko tak fenomenalnym opanowaniem obu języków starożytnych, że mógł potocznie posługiwać się nimi w mowie i piśmie, a nawet układać wiersze wiązane w heksametry lub inne formy klasycznej metryki. Mieszkał profesor Bogucki wraz z Dzidzią i dwojgiem dorosłych już dzieci z pierwszego małżeństwa, Misią i Genkiem, w czteropokojowym mieszkaniu przy ul. Zwierzynieckiej 27, na parterze. Jeden z pokoi, bardzo szczupłych rozmiarów, oddzielony od innych nosił nazwę „pokoju greckiego". Był to rodzaj zacisza do pracy naukowej profesora. Wnętrze pokoiku przedstawiało się zgoła niezwykle. Był on całkowicie zawalony mnóstwem książek, papierów i notatek, które leżały na półkach, krzesłach i podłodze. Niewielki stolik dźwigał również na sobie spiętrzone stosy papierów, a na ich szczycie szczerzyła zęby duża żółta trupia czaszka. Znalazł ją gdzieś profesor w wykopie ulicznym i twierdził, że należała do wojaka szwedzkiego. Na ścianach wisiały jakieś fotografie pamiątkowe, widoki greckie i reprodukcje rzeźb antycznych. Wśród nich wisiał też oprawny w ramki dyplom członkowstwa Akademii Konstantyna Paleologa w Atenach, którą to godnością obdarzyła Grecja profesora na kilka lat przed wojną. Wyżej wisiały zaschnięte wieńce z szarfami, ofiarowane różnymi czasy profesorowi na scenie teatru miejskiego jako inicjatorowi i organizatorowi przedstawień dramatu klasycznego.

Co wszelako najbardziej ciągnęło tutaj oko ku sobie, to ustawione na rowkowanej kolumnie okazałe popiersie Rodzica bogów, Zeusa. Była to piękna rzeźba, przypominająca żywo Zeusa z Otricoli. Oblicze pełne pokoju i szlachetności okrążały bujne kędziory, łączące się z długą, falującą brodą. Ta właśnie broda Gromowładnego, a także i spód nosa, kontrastowały silnie z bielą reszty popiersia, pokrywała je bowiem gruba warstwa ciemno-brunatnego kopcia. Pochodziło to stąd, że zacny profesor miał zwyczaj częstego zapalania kadzidła na cześć bóstwa tuż przy samym

popiersiu. Używane do tego celu trociczki sam nieraz kupowałem w aptece naprzeciw odwachu, bo tam były najwonniejsze. Trzeba było widzieć na własne oczy tę kapitalną scenę, gdy profesor z uroczystym namaszczeniem, godnym kapłana z samego olympijskiego chramu, przykładał zapałkę do trociczki, z której powoli poczynał podnosić się wonny dym w cienkim zrazu pasemku. Stał potem bez słowa przez dłuższą chwilę, zatopiony w kontemplacji. Mała Dzidzia tymczasem podchodziła do popiersia Bóstwa, wyciągała do góry rączki i wypowiadała wyuczone przez ojca słowa modlitwy o szczęście i pomyślność. Jeszcze dziś pamiętam początek tej modlitwy.

Ζεῦ κύδιστε, μέγιστε, κελαίνεφες, αἴθερι ναίων,
ὄλβον τε πλοῦτον, βίοτον ἐπὶ δῆρον ὕπασσον.

Na temat tych ofiar ku czci Zeusa nieraz dowcipkowano w mieście. I mnie początkowo wydały się tylko nieszkodliwym dziwactwem, aż dopiero o wiele później zrozumiałem, że profesor w obiatach tych składał symboliczną ofiarę nie Zeusowi, lecz wielkiemu imieniu kultury klasycznej".

Obraz ten potwierdza Wł. Błachut w rzeczy poświęconej Boguckiemu (s. 237—239): „Profesor Bogucki uczył nas języka greckiego, a więc przedmiotu obok łaciny w gimnazjum klasycznym najważniejszego. Znakomity znawca języka greckiego i kultury helleńskiej, tłumacz znanego satyryka z II w. po Chr. Lukjana i miłośnik dramatu klasycznego, w gimnazjalnym wykładzie umiał zastosować się do poziomu umysłowego swych uczniów i porwać nas w piękny świat starożytnych bogów i ludzi, wyczarowany przez Homera, Sofoklesa i Arystofanesa. Jakby przeczuwając dzisiejszy, reformatorski zmierzch klasycyzmu w szkołach średnich, w naukę umiłowanego przez siebie przedmiotu, włożył cały swój ogromny talent, całe swoje wielkie serce. Nauka programowa „języka greckiego" była dla niego jedynie kanwą, na którą rzucał przed nami swą wielką wiedzę, swoją znajomość starożytnego świata, kultury klasycznej i współczesnej. Stąd godziny greki należały do najprzyjemniejszych, mimo że prof. Bogucki znajomości słówek i form gramatycznych przestrzegał niemniej, jak czystości i wierności przekładu. Na godzinach greki tzw. bryki z gotowymi tłumaczeniami były nieznane i niepotrzebne, gdyż wielki filolog nauczył nas wszystkich tłumaczyć Iliadę, Odysseję czy Antygonę własnymi słowami. Pod jego wpływem bohaterowie Homerowi, jak Achilles, Ajaks, Odysseus (Odysem zwany) lub Hektor urastali w naszych oczach na miarę prawdziwych olbrzymów, dzieła i czyny pochłaniały naszą wyobraźnię więcej niż czytanie sensacyjnych romansów lub zawody w piłkę nożną. Na marginesie tłumaczonej epopei Homera prof. M. K. Bogucki żywo i barwnie kreślił nam historię umiłowanej Hellady, od czasów najdawniejszych do ostatnich, przedstawiał nam jej wielki udział w dzisiejszym dorobku kulturalnym narodów, opisywał piękno znanego mu z kilku podróży tego kraju.

Miał przedziwny talent narratorski i na swych lekcjach potrafił w czasie wykładu trzymać nas w największej, niemęczącej uwadze. Umiał w swych wykładach porównawczych i opowiadaniach z czasów podróży

po Grecji nawiązywać kontakt ze słuchaczami i łączność między dawnymi a nowymi laty. On jeden traktował nas młodzików poważnie i uczył nie tylko subtelnych rozróżnień między „thymos“ a „psyche“, ale także prawdziwej, ludzkiej mądrości życiowej. Dla wyjaśnienia pewnych czynów bohaterów greckich, znajdujących analogię w postępkach ludzi dzisiejszych, tłumaczył nam z wyrozumiałym uśmiechem na ustach, że zarówno pod greckim chitonem jak i pod naszym surdutem bije zawsze to samo ludzkie serce...

Prof. M. K. Bogucki kochał młodzież gimnazjalną za jej szczery entuzjazm i zapał do pracy. To też gdy ofiarowano mu katedrę filologii na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie nie mógł długo wytrzymać bez młodych zapaleńców i po paru trymestrach zrezygnował z katedry uniwersyteckiej, aby wrócić między ławy gimnazjalne (lekcje odbywał zawsze spacerując między ławkami). Wyrazem jego niezbyt pochlebnej jakim co do entuzjazmu pracy młodzieży akademickiej było powiedzenie jakim raczył zbyt leniwych hellenistów w klasie: „...cóż, w akademika się bawisz...“

Był nauczycielem w rodzaju mistrza Sokratesa. Dla niego odrobienie lekcji języka greckiego nie było zakończeniem zajęć szkolnych, gdyż uczył nas poza tym zawsze chętnie i wszędzie. Na korytarzu, czy dziedzińcu szkolnym, w własnym mieszkaniu na Zwierzyńcu, a nawet poprostu... na ulicy.

Kochaliśmy go wszyscy ogromnie, a on nas pewnie kochał jeszcze więcej. Entuzjastów greczyzny chętnie zapraszał do swego mieszkania na ul. Zwierzynieckiej, gdzie w narożnym pokoiku na pierwszym piętrze poświęconym Zeusowi olympijskiemu i ozdobionym posążkami tego potężnego Ojca bogów i ludzi, raczył nasz umysł perłami kultury helleńskiej a nasze ciała... ciastkami z herbatą, którą sam przygotowywał. Chcąc propagować przed szerszą publicznością piękno antyku założył w Krakowie „Koło Miłośników Dramatu Klasycznego“, werbując aktorów urządzanych raz w roku przedstawień z pośród zdolniejszych w tym kierunku z młodzieży gimnazjalnej i uniwersyteckiej. Ten wielki pedagog i ukochany mistrz z zapałem i humorem doprowadził nas do matury nie tylko świetnie przygotowanych z greki, lecz także z dostatecznie naświetlonym horyzontem wiadomości o kulturze starożytnej i współczesnej. To też przeszliśmy Scyllę i Charybdę matury bez większych przeszkód i opuściliśmy mury kochanej szkoły z miłym, wspomnieniem spędzonych w niej lat“.

Chętnie zanotujemy wzmiankę Dobrzyckiego (s. 221): „Bogucki przyjaźnił się zwłaszcza z Lucjanem Rydlem, którego zapalił entuzjazmem dla kultury greckiej. Jego wpływowi na Rydla przypisać należy żywe zainteresowanie się poety tematami antycznymi, ujawnione w szeregu misternych liryk, próbach przekładów, a zwłaszcza bardzo w swoim czasie popularnej, szczególnie wśród młodzieży, obszernej opowieści na tle igrzysk olympijskich pt. „Ferenike i Pejsidoros“. Pokazywał mi raz profesor listy Rydla pisane doń po grecku; zauważyłem, że miejsce pobytu poety była na nich wymieniane jako „Toniai“, co poprostu oznaczało wieś Tonie“.

Czy mam zwrócić uwagę na jeden szczegół, który odczułem jako nad wyraz przykry? Pisze Dobrzycki o pogrzebie Boguckiego (s. 226): „Śmiertelne szczątki oddano pod murem cmentarza mogile, której dziś i odszukać niepodobna". Naprawdę — zaledwie 3 lata po śmierci? Przyznaję, że lepiej pilnuję grobów moich studentów. Ufam, że to zaniedbanie jest jeszcze do naprawienia.

Tyle o filologach. Ale — w gimn. klas. rzecz zrozumiała — nie brak uwag o humanizmie, na ogół aforystycznych, które chętnie zarejestrujemy. Jak np. aforyzmy Boguckiego (s. 219): „Trafia się czasem w rodzinie dziecko, które nad rodzeństwem swym góruje szczególnymi talentami i urodą. Takim dzieckiem w wielkiej rodzinie narodów byli starożytni Hellenowie.

Bogucki nazywał też często Greków narodem pasterzy, poetów i artystów, i przeciwstawiał ich Rzymianom, których nazywał narodem żołnierzy i prawników. Rzymian nie lubił, lecz cenił wysoko ich rolę dziejową, jako tych, którzy przekazali potomności kulturę helleńską i uczynili z niej dobro pospolite ludzkości. Zresztą nazywał ich często za Heinem „die kasuistische Soldateska".

Zapisały mi się żywo w pamięci słowa, które wyrzekł raz na lekcji w siódmej klasie:

— Były czasy, że ludzkość zwrócona twarzą ku światu antycznemu w nim szukała wskazań i natchnień. Były też czasy, że odwracała się od niego — i te były okresami barbarzyństwa i mroku. Obecnie znów zbliżają się takie czasy, znamienne przewagą materii nad duchem, ale one nie potrwają zbyt długo. Albowiem znów, jak tylekroć w historii, zgłodniały duch ludzki przywędruje do wiekuiście żywej krynicy kultury klasycznej... I znów czerpać z niej będzie do syta piękno, prawdę i dobro".

Albo Kleczkowskiego (s. 88): „Filologia klas. uczyła nie tylko łaciny i greki, ale gramatyki języka polskiego, przeciwstawiała ideałom Rzymian i Greków ideały polskie... (s. 90) W filologii klas. czytano może za mało w klasach ostatnich. Urządzano czasem ćwiczenia gramatyczne i gramatykę dla gramatyki, np. zamianę *oratio recta* na *oratio obliqua*, a nie zwracano uwagi na budowę i całość dzieła, na związek wielkich myśli i pięknej formy". Albo A. Liebeskind (s. 180); „Studium humanistyczne, oparte na podłożu nauki języków klasycznych, było zarazem szkołą wychowania obywatelskiego i państwowego, które pozwoliło młodzieży zdobyć się na ten nieprawdopodobny wysiłek zbiorowy, jakiego wymagała wojna światowa, ażeby z wiarą w przyszłość pchnąć losy Narodu na wskazane mu przez Opatrzność drogi dziejów. Uczono w tej szkole hartu ducha i równowagi umysłu, uczono miłości bliźniego i wyrozumiałości dla drugich, uczono wreszcie tak — jak pod niebem starożytnej Hellady za czasów Sokratesa i Platona — że „ nikt nie jest zły rozmyślnie", że wyraz ἀρετή oznaczał dla Greka nie tylko cnotę, lecz także ideę i wiedzę, które dla człowieka w znojnym trudzie i labiryncie życia są najpewniejszą nicią Ariadny". Najobszerniej wypowiedział się dyr. Zachemski (s. 55—57): „Biedny jest chłopaczek wieku XX, jeśli mu wypadnie w specjalnym słowniczku, doda-

nym do autora, wyszukać znaczenie jakiegoś słówka, którego mu nie podał nauczyciel podczas lekcji przygotowawczej w szkole. Ja z mymi kolegami przedzierałem się przez gąszcz słów w wielkim słowniku i cieszyłem się w duszy ze zdobyczy. Mimo to nie brakło mi czasu na wycieczki w pole. Owi Cyncynatowie, Kamillowie, Torkwatowie, starzy nawet i ślepi Appiusowie Klaudiusowie i wielu innych bohaterów *laudatoris temporis acti,* Liwiusa przemawiali do fantazji i serca młodego swoim przykładem poświęcenia stokroć silniej, niż długie a nudne parenezy patriotyczne. Uczył nas oceniać trzeźwo zwyrodnienie i przedajność elity demokratycznej Sallustius, a odznaczony najwyższym orderem „patris patriae" Cycero, pokazał nam wzór oddania się na całopalenie na ołtarzu ojczyzny. Lektury Tacyta, „szermierza wolności", wykluczonego z kanonu lektury w carskiej Rosji, jako niebezpiecznego wroga „czcicieli siły i państwa", dano nam tylko zakosztować, ale za to kształtował nasze charaktery lapidarnymi sentencjami Horacy. *Si fractus illabatur orbis, Impavidum ferient ruinae* (Carm. III, 3). Twórca wspaniałej pieśni pochwalnej na cześć Italii, Wergili, zwyraźnił nam, zwłaszcza synom wsi, prawdę o wielkim znaczeniu rolnictwa dla obronności państwa, a jego *pius Aeneas* jak gorejąca pochodnia rozpalał w nas uczucie miłości ojczyzny.

Czytając biblię Greków, *Iliadę* i *Odysseję,* żyliśmy w atmosferze rycerskości, oddychaliśmy bohaterstwem.

Budził w nas podziw Demostenes swoją odwagą, żelazną wolą, serca zapałem i stawał przed nami jako wzór, godny naśladowania.

Nie przeczę, że nie rozumieliśmy w młodości, na ławach szkolnych całej głębi myśli i haseł Platonowego Sokratesa, ale owe zdrowe ziarna pięknej prawdy, wzniosłych idei, posiane na podatny grunt serc wrażliwych i czułych kiełkowały i wschodziły w późniejszym okresie plonem czynu.

Pomyleńcem natomiast nazwałbym tego, ktoby śmiał twierdzić, że dojrzewający młodzieniec, syn ujarzmionego narodu, nie rozumiał, nie odczuwał do głębi słów Antygony, iż „niepisane prawo Zeusa i bogini sprawiedliwości Dike jest wyższe i ważniejsze od nakazu czy zakazu władcy, reprezentującego wolę państwa", albo słów młodego Hajmona:

πόλις γὰρ οὐκ ἔσθ' ἥτις ἀνδρός ἐσθ' ἑνός.

Znaczenie i wymowa powyższych zdań były wyraźnym drogowskazem i przykazaniem postępowania w czasie niewoli.

Zresztą statystyka udziału młodzieży szkół średnich galicyjskich w bojach legionowych nie może wnieść oskarżenia przeciw jej wychowawcom.

Pomny i świadom tych duchowych pożytków, jakie odniosłem z bezpośredniego obcowania w młodości z wielkimi duchami słonecznej Hellady, nie mogę się pogodzić, z myślą, że w tej czcigodnej szkole w 350 rocznicę jej istnienia po raz pierwszy zerwano nić tradycji, łączącą kulturę polską z kulturą klasyczną, stworzoną przez Greków". Uzupełnić to jeszcze należy przemówieniem St. Wróblewskiego o roli humanizmu w życiu (*Filomata* nr. 107).

Ale czas kończyć. Wskazałem tylko na to, co filologa klas. pociąga w tej księdze jubileuszowej. Nie mniej bogaty plon znajdzie polonista, historyk, kronikarz naszej szkoły. Księga ta jest więc rzadkim dokumentem, który rozświetla najżywotniejsze zagadnienia szkolne i dlatego zawsze zajmie miejsce poczesne w naszej literaturze. R. G.

Casimirus Felix Kumaniecki, De quibusdam Oppiani Halieuticorum codicibus. Odb. ze Sprawozdania Twa Nauk. Warsz. XXX 1937. Wydział I. Warszawa 1937, s. 16.

Kumaniecki prowadzi nas przed swój warsztat, na którym przygotowuje krytyczne wydanie *Halieutików* Oppianosa. Praca to konieczna, gdyż od blisko 100 lat tekst nie był krytycznie opracowany; zadanie potrzebne, gdyż wobec 7 rkp. dawnych wydawców znamy obecnie 63 rkp.; w tym rkp. przewyższające dawniejsze pod każdym względem. Nowe wydanie Oppianosa będzie mogło ograniczyć się do szczupłej grupy starych rkp. ujmując resztę jako deteriores, w jedną grupę Ω. Studium niniejsze przeprowadza próbę klasyfikacji starych rkp. i konstruuje rodowód. Ograniczając się do 3 rkp. (*S* = wiedeński phil. gr. 255, w. XIV; *C* = Casanatensis 306 z r. 1413; *q* = drezdeński Da 26 z pocz. XV w.), mających dużo wspólnych cech (np. czerwone glossy interlinearne), zdawałoby się, się, że sprawa nie nastręcza poważniejszych trudności. Tymczasem dokładne i pomysłowe badania Kumanieckiego dopiero ujawniają złożoność tego zagadnienia. Niewątpliwie ma rację K., jeżeli na podstawie 91 zgodności lekcji grupy *SCq* wobec grupy Ω przyjmuje, że *SCq* tworzą w tradycji rkp. zwartą grupę. Ale grupa ta, jak dalsze jego wykazy dowodzą, zawiera się tylko dzięki negatywnym, nie pozytywnym, cechom, gdyż — jak Kumaniecki wykazuje dowodnie, — wewnątrz grupy *SCq* każdy rkp. jest absolutnie samodzielny i nie ma mowy o wzajemnej zależności. Zachodzi tu równorzędna parataksa, w której wspólne błędy nie mniej zasługują na uwagę, niż wspólne lekcje dobre. Wyłamuje się z tego schematu niejako rkp. *M* (= Mediceo-Laurentianus 31, 39), który idąc często z *SCq*, przewyższa je jednak w ks. IV poprawnością. Trudno więc w tych warunkach o stemma w sensie Lachmannowskim. Kumaniecki doskonale to rozumie, doskonałe też znalazł wytłumaczenie tego dziwnego stanu rzeczy. Uważa mianowicie, że pisarze poszczególnych rkp. nie zadowolili się prostym kopiowaniem swych wzorów, lecz ponadto poprawili swoją kopię (czy na podstawie innych rkp. czy koniekturą, tego Kumaniecki nie powiada jasno). Tak więc stemma rkp. praktycznego znaczenia właściwie nie posiada. Tu właśnie przychodzi na myśl nowa krytyczna metoda Dom Quentina, który operując tą właśnie dyferencjalną metodą błędów, zastosowaną przez Kumanickiego, doszedł do wniosku, że nasz pogląd na rkp. średniowieczne jest zbyt symplicystyczny, że rkp. te reprezentują na ogół tak samo, jak nasze dzisiejsze druki, już ‘krytyczne wydania’, tzn. że starano się o tekst poprawny a nawet dokładny, uzyskany drogą tych samych metod, co dzisiaj: drogą porównania różnych rkp. i koniektur. Jeśli przyjmiemy tu w rkp. Oppianosa poprawienie jednego rkp. na podstawie innych, to naturalnie stemma rkp. albo w ogóle upada, albo conajmniej musi być zupełnie zmienione. Musimy bowiem przyjąć, krzyżowanie rkp. Nie wpłynie ta czy owa koncepcja filiacji rkp. na ukształto-

wanie tekstu; bo, jak z dużym zadowoleniem widzę, już w tym studium Kumaniecki zachowuje wszelką swobodę wobec rkp., a gdzie się zdarzy, przyjmuje lekcje Ω przeciw *SCq*. Są to rzadkie wypadki, ale symptomatyczne, świadczące o zdrowym poczuciu, nie pozwalającym płynnym teoremom wpłynąć na praktykę. Może też praktyka ta coś zyska z dokładniejszego rozważania zasad Dom Quentina, które np. mnie w przygotowaniu tekstu naszych humanistów dały świetne wyniki. Ale już na podstawie przedłożonej tu próby możemy mieć nadzieję, że Kumanieckiego tekst *Halieutików* zostawi dotychczasowe wydania daleko za sobą i da nam wreszcie solidne podstawy do dalszych badań. R. G.

Bogumił Jasinowski, O cywilizacji wschodnio-chrześcijańskiej, Lublin 1937, s. 31.

Wschód i Zachód — pojęcie występujące w pierwszej historii, w studium Herodota, jest tematem tego odczytu autora dzieła *Wschodnie chrześcijaństwo a Rosja na tle rozbioru pierwiastków cywilizacyjnych Wschodu i Zachodu* (Wilno 1933). Temat o wiecznej aktualności dla nas filologów. Zwłaszcza w tym ujęciu naukowym i niezmiernie głębokim Jasinowskiego, który nie zadowala się rejestrowaniem istniejących lub domniemanych różnic, lecz sięga historycznie jak najdalej, źródłowo jak najgłębiej. Trudno streścić ten odczyt, który sam już jest streszczeniem rozległych badań, sam ogranicza się do schematu i katalogowania cech differencjalnych. Nawiązując do studium Harnacka *Der Geist der morgenländischen Kirche im Unterschied von der abendländischen* (Akad. Berl. 1913), potwierdza Jasinowski w samodzielnych dociekaniach jego spostrzeżenia, rozszerza je znacznie i pogłębia. Wybiera różne pola kultury i analizuje je. Na pierwszym miejscu religię, w której z pominięciem strony kultowej (właśnie tego żałujemy — tu Jasinowski znalazłby nie mniej oczywiste potwierdzenie swych tez) bada tylko dogmatykę pod względem filozoficznym i teologicznym. Wschód jest przesiąknięty neoplatonizmem, opanowującym wschodnie chrześcijaństwo w postaci origenizmu, i wnosi do filozofii następujące rysy: „1. Tendencja, podkreślająca niepoznawalność Boga. 2. Charakterystyczne wahania w pojmowaniu *creatio ex nihilo,* będące podźwiękiem zasadniczego w hellenizmie dualizmu dwóch pierwiastków: pierwiastka rozumnego i materii wiecznej. 3. Zaświatowy charakter uczucia i myśli religijnej wraz z pesymistycznym stosunkiem do życia doczesnego. 4. Pewna tendencja do rozdziału dobra od piękna zmysłowo-zewnętrznego: dobro i świętość częstokroć zdają się być bliższe brzydocie, aniżeli piękny kształtów zewnętrznych (stąd tendencja, spotykana częstokroć w byzantyńskim malarstwie religijnym do przedstawiania świętych w kształtach niepozornych, o twarzach pomarszczonych i wychudłych . . .), 5. Przewaga pierwiastka mistyczno-ekstatycznego. Wszystkie wyliczone tu rysy duchowości wschodnio-chrześcijańskiej są w gruncie rzeczy poszczególnymi wyrazami pewnej pozycji centralnej — jest nią koncepcja jaźni, odmiennie nieco ukształtowana aniżeli na Zachodzie. W patrystyce łacińskiej mamy koncepcję jaźni woluntarystyczno-personalistyczną, tu przeciwnie spotykamy się z jaźnią kontemplacyjno-kwietystyczną, ciążącą do pewnego stopnia ku impersonalizmowi". W podobny sposób analizuje Jasinowski problem dogmatyczny

Boga Trójjedynego, zbawienia, prądy gnostycko-manichejskie, stronę społeczno-prawną, aby ująć wyniki swych wywodów w schemat tabelaryczny. Końcowy ustęp wykładu omawia „podłoże wschodnio-chrześcijańskie w dziejach cywilizacji rosyjskiej", aby wykazać, że rewolucja bolszewicka zostaje zupełnie w schemacie rozwojowym Wschodu i jej ideologia pokrywa się z rysami kultury wschodniej, że nawet — i w tym niespodzianka dla nas — ewolucja Rosji przedwojennej z całą konsekwencją parła ku narodzinom bolszewizmu, który staje się jakoby renesansem idei Wschodu.

Rynek nasz jest dziś zalany studiami o kulturze, ale prawie wszyscy widzą i znają tylko kulturę dzisiejszą, pewne mody kulturalne. Jasinowski jest jednym z tych wyjątkowych historyków kultury, który dysponując zadziwiająco rozległą i głęboką wiedzą historyczną, — także z dziedzin najtrudniej dostępnych, z filozofii, teologii, prawa, — potrafi mnogość zjawisk historycznych nie tylko klasyfikować, lecz zmusić do wyjaśnienia najgłębszych tajemnic, praw rozwoju. Napewno nie urwie swych badań na studiach drukowanych dotychczas. Świetny znawca Wschodu powinien kontynuować te studia w dwojakim kierunku: w analizie samego neoplatonizmu, gnostycyzmu, manicheizmu, które tu stanowią niejako punkt wyjścia jego rozważań, a potem przeprowadzić analizę naszego łacińskiego średniowiecza, które przecie przechodzi renesans wschodni wielokierunkowy, przed renesansem włoskim; po renesansie włoskim znowu przeżywa nasz świat psychozę wschodnią. Nikt nie wydaje mi się tak powołanym do tych nad wyraz trudnych i subtelnych badań jak autor niniejszego wykładu, bo nikt nie wyczuwa tak intuicyjnie składników wschodnich w naszej kulturze i tak trafnie nie określa ich natury i pochodzenia. Czekamy więc na rzecz o składnikach wschodnich w kulturze zachodnio-europejskiej, średniowiecznej i nowszej. R. G.

N a u c z a n i e p o d k i e r u n k i e m. Pięć lat doświadczenia szkolnego. Wydawnictwo zbiorowe pod redakcją Pawła O r d y ń s k i e g o. Warszawa, Wł. Michalak i Ska 1939, s. 274.

Wydawnictwo to zbiera wyniki pięcioletniego doświadczenia nauczycieli gimnazjum ogólnokształcącego Zgromadzenia Kupców w Warszawie, gdzie nauczanie pod kierunkiem prowadzi się w klasach równoległych. Celem wydawnictwa jest — jak to podkreśla dyr. Ordyński — zwrócenie uwagi nauczycielstwa i całego społeczeństwa na sprawy nauczania, zainteresowanie nimi czynników oświatowych i wykazanie szerszego znaczenia społecznego tej metody. — Okazała książka obejmuje 3 części. I zawiera *Sprawy ogólne,* tj. prace formułujące dydaktyczne i pedagogiczne zasady metody nauczania pod kierunkiem, pióra Pawła Ordyńskiego, Rudolfa Taubenszlaga, Edwarda Szymańskiego i Jerzego Pysia. — Część II *Przedmioty szkolne prowadzone zwykłą metodą nauczania,* których lekcje trwają 45 minut, a więc 1. religia, 2. ćwiczenia cielesne, 3. zajęcia praktyczne; część tę, nie łączącą się zasadniczo z całością, bo niezależną zupełnie od nauczania pod kierunkiem, wedle nas zbędną, usprawiedliwia redakcja jako konieczną dla pełnego obrazu pracy pedagogicznej i dydaktycznej uczelni. — Część III zawiera *przedmioty*

prowadzone metodą nauczania pod kierunkiem, których lekcje trwają 70 minut: 1. język polski, 2. łaciński, 3. obcy nowożytny, 4. historię, 5. geografię, 6. przyrodę, 7. fizykę i chemię, 8. matematykę. Wskazówka dla czytelnika wyjaśnia termin 'półinternat laboralny', zachodzący w książce. Jest to określenie zajęć młodzieży spędzającej w szkole godziny przedobiednie na samodzielnej nauce pod kierunkiem nauczycieli. Praca ta, zw. laboralną, stanowi właściwie połączenie dawnego przygotowania domowego ucznia i ćwiczeń znanych dawniej z przyrody i fizyki. Wolne od zajęć obowiązkowych godziny popołudniowe spędzać mogą uczniowie w domu lub szkole na grach, zabawach i lekturze. — Że gimnazjum Zgr. Kupców posiada już pewną tradycję metody nauczania pod kierunkiem, dowiadujemy się z artykułu Ordyńskiego. Wprowadził ją przed czterdziestu niemal laty do siedmioklasowej wówczas szkoły handlowej dyr. Jerzy Ćwietkowski. Pierwsza ta jednak próba samodzielnej pracy ucznia nie powiodła się z dwu przyczyn: 1. 45-minutowa godzina nie mogła pomieścić w sobie wykładu nauczyciela, przerobienia zadań przez uczniów i sprawdzenia wyników, 2. Nauczyciele przywykli do dawnych metod, z trudem naginali się do nowej. W r. 1933 powtórzono dawną próbę, usuwając dawne błędy. Tak więc godzinę szkolną rozszerzono do 70 minut dla wszystkich przedmiotów tzw. 'intelektualnych', za wyjątkiem religii. Wykonawcami metody są nauczyciele rozpoczynający pracę w szkolnictwie, niejednokrotnie odbywający praktykę przedegzaminową. Celem tak rozszerzonej lekcji jest osiągnięcie jedności procesu zdobywania wiedzy przez ucznia. Trzeba zatem zbliżyć do siebie trzy rozrzucone części jednostki metodycznej, tj. kontrolę wyników pracy domowej, tzw. 'nową lekcję', jej powtórzenie i przerobienie. Odpowiednie następstwo tych części wpływa na harmonię i jednolitość lekcji, wpływa na jej wyniki. Ostatecznie przyjęto jako najlepszą kolejność następującą: wprowadzenie nowych wiadomości, samodzielna lekcja pod kierunkiem nauczyciela i przerobienie zadań z nowego materiału, na końcu zaś sprawdzenie, uporządkowanie i utrwalenie wyników pracy ucznia. Zachodzi tu — jak widzimy — odwrotna kolejność lekcji 'starej' i 'nowej', przedzielonych różną od obu częścią tzw. 'laboralną'. W celu osiągnięcia niesłabnącej postawy aktywnej ucznia i usunięcia znużenia w przeciągu 70-minutowej godziny szkolnej wprowadzono szereg zajęć kształcących a zbliżonych do zabawy: konstrukcje modeli, wykresy, kolekcjonowanie itp. — Dokładny rozkład zajęć w półinternacie laboralnym podaje R. Taubenszlag (s. 19—28). Zajęcia obowiązkowe trwają od godziny 8.20 do 14.15 i obejmują 4 godziny szkolne po 70 minut. Druga przerwa 30-minutowa przeznaczona jest na obowiązkowe gorące śniadanie w jadalni szkolnej. Godzina szkolna dzieli się na następujące 3 części: 1. nawiązanie do lekcji poprzedniej, zarys nowego materiału naukowego, wyznaczenie i objaśnienie zadań laboratoryjnych (około 15 minut), 2. samodzielna praca ucznia, tj. wykonanie zadań, odpowiadające mniej więcej sumie dawnego przygotowania lekcji w domu i ćwiczeń znanych dawniej z przyrody i fizyki (około 35 minut), 3. sprawdzenie, uporządkowanie i utrwalenie wyników (około 20 minut). Uczniowie dzielą się — zależnie od zdolności i zainteresowań w obrębie każdego przedmiotu innych — na trzy grupy oznaczone li-

terami A, B, C. Wszystkie trzy grupy otrzymują szereg zadań wspólnych, obowiązkowych, grupy zaś silniejsze A i B nadto zadania dodatkowe, które należy wykonać w tym samym czasie. Tak więc uczniowie zdolniejsi nie nudzą się w czasie potrzebnym jeszcze słabszym do wykonania zadań obowiązkowych. W obrębie tych 3 grup uczniowskich zachodzą ustawicznie przesunięcia, niejednokrotnie też uczeń silny w jednym przedmiocie, należy do grupy najsłabszych w przedmiocie innym. Popołudnia z zasady bywają wolne od wszelkich zajęć, uczniowie mogą je spędzać w domu lub w szkole. W praktyce jednak wielu uczniów, zwłaszcza uboższych, spędza i popołudniowe godziny w szkole, w czytelni czasopism, w świetlicy na grach, zabawach i sportach, na szkolnym boisku, korcie czy ślizgawce. Uczniowie, którzy opuścili niewiele godzin szkolnych, mogą swe braki uzupełnić na popołudniowych kursach prowadzonych przez najlepszych uczniów pod kierunkiem nauczycieli, na podstawie protokołów lekcyjnych. Popołudniu wreszcie odbywają się konwersatoria języków obcych nowożytnych. — O poczynaniach wychowawczych uczelni informuje E d w a r d S z y m a ń s k i na s. 29—37, podkreślając m. i. tak ważną współpracę szkoły z domem rodzicielskim. Dowiadujemy się, że zapobiegliwi pedagogowie opracowali nawet specjalne wydawnictwo, poświęcone temu zagadnieniu, że założyli trzymiesięczne kursy przygotowawcze dla rodziców, cieszące się wielką frekwencją itd. — *O młodzieży szkolnej w służbie Ojczyzny* informuje J e r z y P y ś na s. 39—57. — Część II zawierająca prace ks. St. Jaskłowskiego, F. Hafnera, St. Górnego i A. Tomczaka, nie pozostaje — jak już wyżej zaznaczyliśmy — w związku z nauczaniem pod kierunkiem.

Z części zaś trzeciej obejmującej prace Żółkiewskiej, Kreczmara, Żółkiewskiego, Zakrzewskiego, Lubelskiego, Łukasiewicza, Więckowskiego, Michajłowa, Manczarskiej, Szczepańskiego, Szpilrajna i Oleszkiewicza, zajmiemy się tylko sprawozdaniem S t e f a n a Z a k r z e w s k i e g o o *nauczaniu pod kierunkiem języka łacińskiego* (s. 117—131). Wychodząc z zasad psychologii strukturalnej o zamkniętych układach spoistych, które przedstawiają wartość artystyczną jedynie przy ujęciu całokształtu, dzieli autor jednostkę metodyczną na dwie oddzielne lekcje: 1. syntetyczną i 2. analityczną. Synteza to odczytanie dzieła jako całości, zasadnicze uchwycenie treści. Analiza jest przeżyciem wtórnym, opartym na refleksji, a posiada wartość jako pogłębienie, wniknięcie w szczegóły formalne i treściowe. Lekcje laboralne syntetyczne i analityczne są trójdzielne; opierają się na indywidualizowanych przydziałach pracy dla uczniów trzech grup wedle ogólnego schematu pracy w półinternacie laboralnym. Dla orientacji czytelników, zwłaszcza nauczycieli-filologów, cytujemy podaną tu strukturę lekcji in extenso (s. 119 nn.).

„1) L e k c j a s y n t e t y c z n a:

a) W pierwszej części lekcji udziela nauczyciel uczniom wszystkich niezbędnych, wstępnych wyjaśnień leksykalnych, gramatycznych i treściowych, których sami o własnych siłach nie potrafiliby zdobyć, wskutek czego nie mogliby zabrać się do lektury czytanki ani przedrzeć się przez znaczne niejednokrotnie trudności jej tekstu.

b) W drugiej części lekcji starają się uczniowie grup A, B i C

przeczytać i zrozumieć tekst czytanki. Idzie o zrozumienie całości, o tłumaczenie na ogół pograwne, lecz niekoniecznie wszechstronnie wnikające w każdy fragment tekstu.

c) W trzeciej części lekcji następuje ustalenie tekstu tłumaczenia, omówienie treści czytanki oraz przerobienie związanych z nią realiów.

2. Lekcja analityczna:

a) W pierwszej części lekcji tłumaczą uczniowie ponownie czytankę zdanie za zdaniem, ustalając na tle szczegółowego rozbioru gramatycznego jej ostateczne brzmienie. Nacisk jest teraz położony na analizę formalną tekstu.

b) W drugiejj części lekcji wykonują uczniowie grup A, B i C różne zadania mające na celu ćwiczenie sprawności w posługiwaniu się nabytymi wiadomościami leksykalno-gramatycznymi.

c) W trzeciej części lekcji następuje sprawdzenie, uporządkowanie oraz ostateczne utrwalenie osiągniętych przez uczniów wyników.

Czas trwania poszczególnych odcinków lekcyjnych nie da się określić, jest stale elastyczny i płynny. Zazwyczaj trwa część pierwsza do 20 minut, część druga do 30 minut, część trzecia znowu do 20 minut. Często jednak rozrasta się znacznie — kosztem pierwszej części lekcyjnej — część druga przeznaczona na pracę uczniów".

Po czym następują szczegółowe protokoły dwóch lekcyj opracowanych na podstawie czytanki z podręcznika Auerbacha-Dąbrowskiego na klasę III *Disce Latine*, pt. *M. Porci Catonis vita*. Obie lekcje, zarówno syntetyczna jak i analityczna, rozpoczynają się od wypisania na tablicy liczby porządkowej i daty lekcji, od wygłoszenia i również wypisania na tablicy 'hasła dnia', tj. sentencji łacińskiej, pozostającej najczęściej w związku z treścią lekcji (np. w naszym wypadku: *Salus rei publicae suprema lex)*. Następnie, odwołując się do wiadomości uczniów nabytych na lekcjach historii, kreśli nauczyciel sylwetkę bohatera czytanki, odczytuje tekst łaciński. Uczniowie powtarzają tekst indywidualnie i chóralnie (można czytanie zostawić na koniec). Przy ponownym czytaniu powolnym tekstu nauczyciel udziela koniecznych wyjaśnień fleksyjnych i składniowych, omawia zwroty itp., wszystko to przy pomocy czynnej uczniów, zazwyczaj lepszych. W naszym wypadku zasługuje na uwagę objaśnienie abl. absolut. jako zwrotu (s. 123). Z kolei nauczyciel wyznacza zadanie: przetłumaczyć piśmiennie jeden paragraf, przeczytać część polskiego życiorysu Catona, ułożyć pytania i odpowiedzi łacińskie w związku z treścią łacińskiej i polskiej czytanki. Dla grup silniejszych dochodzi jeszcze *argumentum Latinum* tłumaczonego paragrafu, tj. ujęcie treści własnymi słowami łacińskimi. Na to wszystko wyznacza się uczniom 30 minut czasu. W klasach niższych uczeń posługuje się preparacją załączoną do czytanki, w wyższych zaś wypisuje słówka ze słownika w ciągu pierwszej lekcji. Po opracowaniu zadań następuje 20-minutowe correctum, na które składa się streszczenie zadanego odcinka, tłumaczenie zdania za zdaniem dla ustalenia zasadniczego przekładu (zrozumienie i wyrażenie wszelkich subtelności odbywa się dopiero przy analizie, na lekcji następnej). Po odpytaniu polskiego urywka następują pytania i odpowiedzi uczniów obowiązkowe i przeznaczone dla silniej-

szych. Na zakończenie — powtórzenie hasła dnia. — Lekcja analityczna znów hasłem się rozpoczyna. Po łacińskich pytaniach i odpowiedziach następuje opowiadanie łacińskie uczniów grupy A, czytanie i tłumaczenie, wreszcie analiza zewnętrzna z wykresem i wewnętrzna, rozprowadzająca uwagi i wskazówki ledwie napomknięte przy syntezie (tak abl. absol.). Zestawia się z kolei nowopowstałe zwroty i właściwości składni z poznanymi poprzednio, formułuje się i wpisuje do zeszytu protokołów reguły gramatyczne, poparte przykładami. Na końcu następuje tłumaczenie z wniknięciem w wszelkie odcienie znaczeń. Jako zadanie wyznacza się wypisanie słówek (w klasach niższych) według ogólnie przyjętego schematu: rzeczownik z przymiotnikiem i gen., czasownik z dopełnieniem i formami podstawowymi, dalej wypisanie zwrotów, utrwalenie tego wszystkiego w pamięci, wypisanie przykładów na nowopoznane wiadomości gram. (abl. absol., *priusquam*, zamiana zdań okolicznikowych na abl. absol. w książce i z własnych przykładów dla grupy silniejszej). Ostatnich minut 15 przeznacza się na correctum. Hasło dnia zamyka lekcję. — Z wyników pracy jest autor zadowolony, materiał wyczerpano.

Sprawozdanie powyższe nie wnosi zasadniczo nic nowego w dość już rozpowszechniony schemat lekcji w zwyczajnej szkole, gdzie nauczyciel zgodnie ze zdobyczami psychologii stara się wszelkimi możliwymi metodami urozmaicić i uprzyjemnić uczniom nabywanie wiedzy. Zasady dyktowane przez psychologię strukturalną wbił każdemu młodemu adeptowi sztuki nauczycielskiej chociażby czcigodny Nawroczyński. Na treść w pierwszym rzędzie zwracamy już w klasie pierwszej uwagę, wychodząc od nagłówka czytanki. Analizę przeprowadzamy dopiero po przetłumaczeniu prowizorycznym, intuicyjnym, dla kontroli. Nie da się jednakże oddzielić ściśle synteza od analizy. Bo i cóż począć, kiedy samą intuicją nie poradzisz? A wskazówki objaśniające w lekcji syntetycznej zadanie, czy to nie analiza? Podobnie ma się rzecz z wypisywaniem słówek na wyższym stopniu, które mimo swego analitycznego charakteru wchodzi w skład lekcji syntetycznej z konieczności. Skoro nam synteza przyświeca, nie powinniśmy czytać zdań poszczególnych, lecz całą czytankę. — Widząc nagłówek *Pracownia polonistyczna* w gimnazjum (s. 101), szukamy czym prędzej podobnego artykułu przy języku łacińskim. Czyżby brakło w tym wzorowym gimnazjum pracowni humanistycznej? Rola pomocy naukowych, m. i. modeli, epidiaskopu, tablic, map, planów itp. już w dawnej szkole była nader ważna. A cóż dopiero w 'szkole pracy', jaką jest półinternatowy system laboralny. Po artykule dyr. Ordyńskiego, w którym podkreślono twórczy, konstruktywny charakter metody, szukamy niecierpliwie wzoru takiej pracy i w dziedzinie naszego przedmiotu. Również popołudniowe konwersatoria możnaby wykorzystać dla łaciny, a może by i warto na jakiejś wycieczce popróbować metody 'ruchowej' czy 'zabawowej', o której pisze S. Lubelski (s. 161—164), a polegającej na przypadkowym, mimowolnym przyswajaniu pewnych wyrazów, a więc 'słówek' czy zwrotów, potrzebnych w trakcie gry czy zabawy ruchowej.

Nie jakimś rewelacjom z zakresu dydaktyki, lecz raczej celom pedagogicznym poświęcona jest całość wydawnictwa. Zarówno kierownikowi zakładu jak i jego współpracownikom prześwieca ambitna, a z miłości do

młodzieży płynąca, chęć stworzenia ‘radosnej szkoły’ dla wszystkich wychowanków, i dla tych zamożniejszych, których rodzice zajęci swoimi sprawami zbyt mało uwagi poświęcają dzieciom, i dla tych uboższych, którzy niejednokrotnie nie mają kąta własnego ani spokoju, potrzebnego do odrabiania lekcji. Nie tylko zwolennicy systemu internatowego widzieć muszą w tych dążeniach niewątpliwe wartości społeczne i pedagogiczne. Wolne popołudnia przeznaczone na dowolne zajęcia, usunięcie zmory ‘oberwania dwói’ czy ‘pały’, budzenie wszechstronnych zainteresowań intelektualnych i kierowanie nimi, ochrona zdrowia fizycznego i moralnego młodzieży wielkomiejskiej, to bezprzeczne wartości systemu.

Fr. W.

S t e f a n i a S k w a r c z y ń s k a, Regionalizm a główne kierunki teorii literatury, Łódź 1937, s. 52. Odb. z Prac Polonistycznych, Łódź 1937.

Wśród teoretyków literatury wybija się przedstawicielka najmłodszego pokolenia, docent Uniw. Lwowskiego St. Skwarczyńska, której prace już omawiałem. Nowa praca wprowadza w zagadnienia regionalizmu, które zasługują na baczną uwagę także ze strony filologa, gdyż — w formie coprawda dość odmiennej — występują już w starożytności. Spotykamy się tam z prowincjonalnymi ośrodkami oświaty, które na dłuższy nawet okres obejmują po stolicy szczytny ciężar reprezentowania literatury rzymskiej. Tak już w epoce augustowskiej grupa literatów z Gallii transpadańskiej (Catullus, Gallus, Pollio, Vergilius itd.) wycisnęła w literaturze swoiste piętno, tak w I wieku po Chr. Hiszpanie z rodziną Annaeusów na czele (Seneca ojciec, syn, Mela, Lucanus, Quintilianus, Martialis), po których rej wodzą Afrykanie, zluzowani przez Aquitanów a następnie przez Irów. Tylko ta zachodzi różnica, że wszyscy ci pisarze chcieli być Rzymianami, a nie prowincjałami. Dziś natomiast dba się o odrębność, a regionalizm jest teoretyczną konsekwencją romantycznej teorii literatury, z nią powstaje, ale z nią też znika. Dobrze Skw. określa go jako „troskę o rozwój rejonu pojętego w sensie odrębności i zwartości gospodarczo-kulturalnej, troskę, w której tkwi odczucie, że pełny rozwój cech rzeczywistych związanych poprzez ziemię z człowiekiem, opartym o nią, tworzy zarazem nieoceniony i właściwie jedynie konkretny rezerwat dla ukształtowania się wielobarwnej, bogatej w odcienie i swoistej kultury narodowej“. Jest to ostatecznie sprawa punktu widzenia, romantycznego czy humanistycznego. Przypomina mi to wykład o języku prof. Vendryèsa, który starając się określić jego istotę i postać, doszedł do wniosku, że język jako coś wiecznie płynnego i tworzącego się każdej chwili w każdym człowieku, nie może w ogóle być definiowany tak, jak to czyniła nauka (gramatyka normatywna lub wywodząca się z niej gramatyka historyczna). Syntezą także jest sztuczne czy artystyczne uproszczenie mnogości zjawisk, ignorowanie zaś cech indywidualnych może dla nauki i kultury oznaczać większy postęp, niż zejście do drobiazgów odwracających umysł od zagadnień centralnych. Różnica między ‘językiem’ a ‘dialektem’ np. jest, naukowo biorąc, zupełnie dowolna i raczej przypadkowa, gdyż ‘językiem’ nazywamy mowę warstwy politycznie panującej,

'dialektem' zaś mowę warstw politycznie wydziedziczonych. Z punktu widzenia literatury i kultury momenty polityczne ponoć się nie liczą — regionalizm nawet chce te momenty nie tylko eliminować, ale restytuować pierwotną równość etniczną i społeczną. Jest to, jak każdy to teraz odrazu widzi, ruch renesansowy, na razie podświadomy, który względną autonomię terytorialną, jaka zapanowała na naszych ziemiach w średniowieczu, pragnie restytuować przynajmniej w dziedzinie duchowej, kulturalnej i literackiej. Ruch ten odśrodkowy stoi zupełnie pod znakiem romantyzmu polityczno-kulturalnego i jest reakcją na miniony okres humanistyczny. Oczywiście ustosunkowuję się negatywnie do niego, nie jakobym w nim widział pewien czynnik rozprzężenia (zapewne jest takim czynnikiem, ale nie moim zadaniem jest zajmować się aktualną polityką), lecz dlatego, że jest, mimo chęci i dążności jego reprezentantów, antihumanistyczny; dla mnie szczytem kultury nie są wieki średniowieczne, lecz starożytność klas. i jej renesanse. Cały ruch regionalistyczny jest więc symptomatyczny dla powolnego, dokonującego się na naszych oczach, przeobrażenia naszej kultury typu humanistycznego na romantyczną. Filolog klas., wierny swym ideałom, nie będzie go ignorował, ale ustosunkuje się do niego — negatywnie, nawet wobec tak inteligentnych i wymownych jego obrońców, jak St. Skwarczyńska. R. G.

H e r m a n S t e r n b a c h, Stefan George. Ein Versuch. Odb. z Neofilologa. Warszawa 1937, s. 23

Liryka zamarła w Niemczech, i obok Rilkego jest George właściwie jedynym lirykiem w wielkim stylu. Filolog klas., który dobrze zna Goethego, Schillera, Platena itd. z ich utworami o motywach i formach klasycznych, rzadziej spotyka się z Georgem; jest on bowiem zbyt ekskluzywny i trudny a lektura jego utworów nie należy do przyjemności. Dziwne słownictwo w dziwnym szyku, dziwne obrazy i dziwne ideały czynią na nas wrażenie dziwaczności, dalekiej od norm klasycznych, gdyż George zdawał się rozkoszować sztuką wyrażania w zawiły sposób rzeczy prostych. Romantyk to wpatrzony w ideał helleński, który mu pozostał obcy, choć do niego tęsknił:

Eine kleine schar zieht stille bahnen
Stolz entfernt vom wirkenden getriebe
Und als losung steht auf ihren fahnen:
Hellas ewig unsre liebe.

Sternbach poświęcił swój szkic całej twórczości Georgego, i w jasny sposób przedstawił system (bo o ewolucji u tego poety prawie że nie ma mowy) jego poglądów i ideałów. Mieszczą się w nim też elementy helleńskie, zwłaszcza w zbiorze *Hirten- und Preisgedichte,* równorzędnie obok średniowiecznych. Także jego *Algabal* (= cesarz Heliogabalus) jest raczej parzifalowski niż klasyczny. Słowem, interpretacja formalna i motywowa starożytności w duchu neoromantycznym, a jako ideał kulturalny stopienie starożytności klas. z germańskością. Sternbach, znakomity znawca jego pism, rozkochany widać w jego poezjach, jest dobrym hodegetą do twórczości Georgego i doskonale podkreśla wszystkie te elementy, także klasyczne, które weszły w skład świata poety. R. G.

S t a n i s ł a w S a w i c k i, Poetria och Testa nucis av magister Matthias Lincopensis. Odb. z czasop. Samlarem 1936, s. 109—152.

Rozprawa ta, świadcząca o nadzwyczajnej znajomości zagadnień mediewistycznych u autora, w którym zwykliśmy widzieć germanistę, zajmuje się osobą magistra Matthiasa, słynnego powiernika i współpracownika św. Brygidy w wydaniu jej *Objawień*. Pierwsza część rozprawy kreśli przebieg studiów Matthiasa, pokrywający się zresztą z normalnym programem: mimo to mamy tu wiele cennych, w praktyce niedostępnych nam materiałów ze źródeł szwedzkich. Po krótkim wyliczeniu dzieł Matthiasa, przechodzi autor do omówienia dwóch traktatów szkolnych odnoszących się do poetyki i retoryki, zachowanych w rkp. upsalskim C 521, fol. 169—173, i przez niego w tej rozprawie po raz pierwszy drukiem ogłoszonych. Sawicki, który już badał stosunek Gotfryda z Strasburgu do poetyki średniowiecznej, omawia tu stosunek Matthiasa do jego źródeł. Głównym źródłem jest Aristoteles w średniowiecznym przekładzie łacińskim i (averroistyczny) komentarz do jego retoryki i poetyki. Pod tym więc względem Matthias odbiega znacznie od innych poetyk, który raczej rozwijają Poetykę Horacego albo w oparciu o nową retorykę, pokusiły się, jak Gaufredus de Vinosalvo, o nowy pod każdym względem system poetyki. *Poetria* sama składała się z dwóch części: z prozaicznego wykładu teorii, i z drugiej części mnemotechnicznej, która w wierszach mocno niestrawnych w *versus memoriales* ujmuje krótko i zarazem ilustruje teorię. Nie ma tam rzeczy rewelacyjnych, chyba tylko wykazanie, jak poprzez takie utwory powstała poetyka naszego Marcina, autora poetyki wierszowanej jeszcze daleko niestrawniejszej. Wielką zasługą wydawcy jest wynotowanie źródeł do poszczególnych ustępów (z Averrësa). O wiele elementarniejszy charakter niż *Poetria* posiada *Testa nucis*, i to jest naprawdę dziwne wobec świetnych tradycyj retoryki średniowiecznej. To obniżenie tłumaczyć należy chyba faktem, że retoryce w tej szkole, dla której to dzieło przeznaczył Matthias, poświęcono daleko mniej czasu przy bardzo uproszczonym programie, przy jednoczesnym rozroście materiału erudycyjnego innych przedmiotów. W każdym razie jest rzeczą dla nas cenną, żeśmy dzięki Sawickiemu otrzymali w formie wzorowej podręczniki szkolne innych krajów, które wprawdzie nie wpłyną na naszą szkołę, znakomicie jednak ilustrują tendencje rozwojowe średniowiecza. R. G.

E u g e n i u s z K u c h a r s k i, Żywioł alański (jaski) w Karpatach wschodnich (Komisja naukowych badań ziem wschodnich), Warszawa 1938, s. 9.

Od wielu lat prof. Kucharski zajmuje się prehistorią Polski, a szczególnie Ziemi Czerwieńskiej, opierając studia te po raz pierwszy, obok dokumentacji historycznej, na dokumentacji lingwistycznej, która jego zdaniem — nie tak zdana na przypadkowość, jak źródła historyczne, a daleko mniej wieloznaczna, niż tendencyjne zazwyczaj zapiski historyków — potrafi nas w dostateczny sposób pouczyć o dawniejszych dziejach południowo-wschodniej Europy. Obecny referat jest niejako programowy i raczej zaznacza zagadnienia, aniżeli je rozwiązuje. Ale już on pozwala wiele się spodziewać po gotowym studium, które ramy te wypełni. Zaj-

muje się omawiane tu sprawozdanie stosunkami państwowymi i ethnicznymi południowego wschodu w IX i X wieku po Chr. Zdaniem Kucharskiego zajmują ten kraj Pieczeniedzy (tj. sprzymierzeńcy), nie naród, lecz mieszkańcy rzeszy, powstałej z koalicji trzech narodów, mian. romańskich Charwatów (= Rumunów), tureckich Torków i irańskich Alanów, znanych na tym terenie jako *Jasowie* wzgl. w Polsce *Jaksowie* (stąd przydomek *Jaxa)*. Kucharski przyjmuje za Wsewołodem F. Millerem, że lud ten Alanów jest identyczny ze starożytnymi Sarmatami i dzisiejszymi kaukaskimi Osiecińcami. To też na języku osiecińskim opiera Kucharski wszystkie etymologie nazw nieromańskich lub nietureckich. W konstrukcji tej gra zasadniczą rolę granica oddzielająca ludy osiadłe od ludu stepowego. Tę granicę naturalną stanowiły w naszym wypadku Karpaty. Na podstawie toponomastyki określa ją Kucharski dokładniej. Dzięki temu, że państwa stepowe zamiast granic mają ich ochronę w postaci ufortyfikowanych placówek granicznych, *stróży, pieczy,* występujących często w złożeniach (np. *Pieczychosti),* lub tp., możemy ustalić obszar rzeszy pieczeńskiej. Filolog klas. znajdzie w tej rozprawie, jak w ogóle w badaniach Kucharskiego, odpowiedź na wiele zagadnień ethnologicznych, dręczących go od dawna. Bardzo kuszące jest np. podobieństwo zachodzące pomiędzy nazwami *Iazygów* i *Iasów,* lub słoworód nazwy *Roxolanów* od osiec. *rochs* 'świetlisty, jasny' i *Alanów,* więc *Roxolani* = biali Alanowie. Jeżeli mimo to mamy poczucie, że tu stąpamy po trzęsawisku, a nie po solidnej ziemi, to wina w tym może tylko formy wykładu, który jako sprawozdanie z obszerniejszych badań w brzmieniu apodyktycznym oznajmia wyniki i wnioski, gdzie nam brak przesłanek. R. G.

Vladimirus Gordziejew, De prologo Acharnensium. Odb. z Eos 1938, s. 60.

Obszerne to studium o prologu do *Acharnów* Aristophanesa jest przede wszystkim lekturą pokrzepiającą. Chociażby pod względem czysto formalnym. Dawno już nie pisano w Polsce po łacinie z taką swobodą i z takim temperamentem, w stylu rojącym się od mocnych słów i superlatywów, maskujących jak zwykle słabość argumentacji, ale — i właśnie o to idzie — sugerujących czytelnikowi tak samo, jak autorowi, myśli i wnioski. Wrażenie jest tym bardziej dodatnie, że wszędzie czujemy, iż autor daje z pełni i szczodrze, a nie skrzętnie pozbierane wiadomostki. Daje może za szybko i za wiele: ale to prawo młodości. — Sama rozprawa porusza najrozmaitsze zagadnienia związane ze sobą tylko zewnętrznie. § I omawia datę urodzenia Aristophanesa, którą nasze historie literatury ustalają z pewną zgodnością na rok 447 przed Chr. Gordziejew atakuje rezolutnie podstawę tych obliczeń, słynne świadectwa z parabazy *Rycerzy* w. 512 nn. i *Chmur* w. 530 nn. Słusznie podkreśla, że świadectw tych nie należy odnieść do 'nieletności' Aristophanesa, lecz raczej do jego rezerwy przed wystąpieniem publicznym, która upadła dopiero po kilku sukcesach scenicznych. Gordziejew nie podaje żadnej konkretnej daty, radzi tylko cofnąć się dość daleko wstecz, tak ok. r. 455—451. Chętnie to przyjmiemy, gdyż w ten sposób Aristophanes z r. 388 zyska na wieku i mniej nas dziwić będzie jego zniknięcie ze sceny. — § II omawia strukturę prologu, który może być monologowy lub dialogowy: *Acharnowie* mają monolog. — § III stwierdza, że linia ewolucyjna

prologów aristophanesowych idzie w kierunku procentowego przyrostu (trudno mi strawić s. 8 abl. *in Pnyce,* kiedy dotychczas w łacinie spotykałem tylko *in Pycna,* acc. *Pycnen* lub *Pycnam* itd.). — § IV omawia zagadnienie, czy prolog ten jest parodią *Telephosa* Euripidesa. Słusznie podkreśla G., że samo podobieństwo jeszcze niczego nie dowodzi, i że zwłaszcza biadanie jest stereotypowym motywem tragedii (i komedii). W ogóle powinniśmy być bardziej powściągliwi w paralelizowaniu komedii i tragedii, gdyż podobieństwa są zwodnicze (s. 9 poprawić lapsus calami *accederunt* na *accesserunt):* przecież uderzające jest podobieństwo prologu np. *Ptaków* (dlaczego przyp. 13 *epops* zam. *upupa?)* z *Oidipusem na Kolonos,* wystawionym po r. 406 (§ V). W rzeczywistości krytykę wytrzymuje tylko analogia z euripidesowym *Kyklopsem:* bo i dramat satyrowy, a nie tylko tragedia, ma monologowe prologi. Następne rozdziały poświęca G. interpretacji prologu z różnych punktów widzenia: szczególnie instruktywne jest paralelizowanie Dikaiopolisa ze Strepsiadesem *Chmur,* i rozprowadzenie toposu gderania, właściwego wszystkim prologom Aristophanesa. Monologi zaś znajdujemy po wszystkie czasy w komedii greckiej i rzymskiej, niezależnie od tragedii. Szczegółowy rozbiór elementów komicznych zajmuje następne rozdziały. Nie na wszystkie założenia mógłbym się pisać (nie wierzę np., by baśń ludowa dostarczała dużo tematów komedii attyckiej, lecz przyjmuję stosunek odwrotny, że właśnie komedia jest źródłem baśni ludowej, komicy jej twórcami), ale dotyczy to zagadnień peryferycznych. Do w. 100 mógł G. zacytować rozprawę Władysława Chodźkiewicza, *Wiersz setny z komedii Arystofanesa pt. Acharneńczycy. Tekst staroperski sprostował, objaśnił i wytłumaczył* (Rozpr. i Sprawozd. Akad. Umiej. Wydz. Filolog. 1875 III s. 1—50), nie lepszą od innych, ale też nie gorszą (na s. 43 poprawić lapsus calami *prodiebant* zam. *prodibant).* Udał się Gordz. dowód, że prolog *Acharn.* nie jest gorszy od innych prologów, że widać w nim cały subtelny artyzm kompozycyjny, który podziwiamy w innych komediach Aristophanesa, że niesłusznie uważa się *Acharnów* za niedojrzały utwór. Miarą bowiem oceny nie może być oryginalność tematu lub motywu, lecz powinno nią być mistrzostwo formalne. W *Acharnach* okazuje się Aristophanes już tym dojrzałym mistrzem, którego lepiej poznajemy w popularniejszych jego komediach, może bardziej efektownych, ale nie doskonalszych pod względem formalnym. — G. zapewnia nas, że tu przedstawione studia to na razie szkice. Czegoż więc mamy się spodziewać po właściwym dziele o prologach Aristophanesa? Już dawno nie mieliśmy studiów literackich ujętych tak szeroko, sięgających tak głęboko.

R. G.

Ohijenko Iwan, Powstannia azbukyj literaturnoji mowy w Słowian. Żółkiew (drukarnia OO. Bazylianów) 1937, s. 300, 8°.

Jednym z pierwszorzędnych i najważniejszych zagadnień filologii słowiańskiej jest sprawa pochodzenia alfabetów słowiańskich oraz języka literackiego. Studia naukowe w tej dziedzinie sięgają drugiej połowy XVIII. w. i jakkolwiek poczyniono w tej dziedzinie ogromne postępy, to ostatecznie kwestii nie rozstrzygnięto jeszcze należycie, chociaż sprawa zbliża się coraz bardziej ku końcowi. Dzieło wydane przez autora po-

wstało z wykładów wygłoszonych w Uniwersytecie Warszawskim w latach 1925—1932 (w roku 1927 wydano je litograficznie z dodatkiem w języku polskim *Powstanie alfabetu oraz języka literackiego u Słowian*), mocno rozszerzonych, zmienionych a w niejednym całkiem przerobionych. Dla stworzenia jednej należytej i harmonijnej całości wypadało nieraz autorowi, jak to czytamy we wstępie, oscylować pomiędzy Skyllą i Charybdą najróżnorodniejszych hypotez, którym trzeba było jak najsilniejszych fundamentów. „Slawistykę tworzy się powszechnymi wysiłkami uczonych wszystkich narodów słowiańskich — powiada autor (7) — niechaj więc ta moja książka utoruje drogę do niej również uczonym ukraińskim“.

Dzieło autora składa się z 5-ciu części podzielonych jeszcze na szereg rozdziałów głównych i podrozdziałów. Autor zaczyna od historii alfabetu dawnych narodów i skłania się ku zdaniu tych uczonych, którzy twierdzą, że najprzód powstały znaki liczenia, jako wynik potrzeb życia codziennego, a dopiero później, może pod ich wpływem powstały znaki na wyrażenie myśli celem porozumiewania się z innymi ludźmi. W historii powstawania pisma u różnych najdawniejszych narodów da się zauważyć bardzo wiele wspólnego. Najstarsze pismo jest obrazowe czyli ideograficzne (ideogramy), później przyszły leksykogramy, dalej syllabogramy, a wreszcie fonogramy czyli znaki dla oddzielnych dźwięków, co dało już początek dzisiejszym alfabetom. Dzisiejsze pismo chińskie przetworzyło się z pisma ideograficznego w syllabogramy, podobnie jak też i klinowe; egipskie zaś pismo przeszło wszystkie stopnie od hieroglyfów aż do pisma fonetycznego. Egipcjanie więc właściwie stworzyli pierwszy alfabet, jakkolwiek go nie dali ludzkości, albowiem siła tradycji nie pozwoliła zerwać z dawniejszym pismem.

Pierwszym narodem, który zaprowadził u siebie stałe pismo fonetyczne, byli Fenicjanie. Swój alfabet przejęli oni od Egipcjan (22 litery), dostosowali go do własnych potrzeb i nadali poszczególnym znakom nazwy przez siebie wymyślone. Z pisma fenickiego powstało szereg alfabetów (np. hebrajski, syryjski itp.), wśród których najważniejszym był grecki w dwóch odmianach: wschodnio- i zachodnio-greckiej. Jednak alfabet grecki powstawał z alfabetu fenickiego powoli, drogą ewolucji, z zastosowaniem do własnych potrzeb Greków. Grecy przede wszystkim dodali samogłoski, których pismo fenickie (i w ogóle semickie) nie uwzględniało. Pismo greckie pojawia się już w XI względnie X w. przed Chr. i przeszło najwięcej zmian. Z zachodniego alfabetu greckiego powstał łaciński za pośrednictwem Etrusków, którzy przyjęli alfabet od kolonistów greckich w Italii dolnej, tzw. Wielkiej Grecji, a później od Etrusków przyjęły go różne plemiona italskie, między nimi i Rzymianie. Od Rzymian wraz z chrześcijaństwem przyjęła pismo Europa Zachodnia, od Kościoła zaś Wschodniego wzięły pismo te narody, które przyjęły wiarę grecką. Z greckiego alfabetu wytworzył się alfabet koptycki, gocki, ormiański, gruziński i najważniejszy dla nas alfabet słowiański — cyrylica. Zważywszy wszystkie metody i sposoby powstawania pisma u poszczególnych narodów, dochodzimy do kilku jasnych i trwałych pewników: 1. alfabetu nie tworzą nigdy jednostki, tylko ogół, jakkolwiek jednostki wpływają na jego udoskonalenie; 2. naród o wyższej kulturze

wywiera wpływ na naród o kulturze niższej i na powstanie abecadła; 3. największy wpływ na ukształtowanie się alfabetów, czy też osobnych liter u poszczególnych narodów wywarli Grecy. Ponadto pod wpływem chrześcijaństwa wykształciły narody swoje dawne pismo lub też stworzyły nowe.

Nie wiemy dokładnie, kiedy ukazały się pierwsze próby pisma u narodów słowiańskich. Na podstawie różnych dowodów logicznych, apriorystycznych oraz szeregu historycznych, wśród których nie brak bardzo ważnych (np. dzieło bułgarskiego mnicha z X w. Chrobrego pt. *Opowiadania o pismach,* gdzie są nadzwyczaj cenne wiadomości o dawnym piśmie słowiańskim) autor twierdzi stanowczo (s. 32) — słusznie wedle nas, — że Słowianie jeszcze przed św. Cyrylem i Metodym czyli przed przyjęciem chrześcijaństwa mieli już swoje własne, jakkolwiek jeszcze niewyrobione pismo, oparte w swych początkach o łaciński alfabet zachodniej słowiańszczyzny, a grecki u Słowian wschodnich. Z niewyrobionym pismem słowiańskim z epoki przedchrześcijańskiej pozostają w związku runy słowiańskie, podobne w niejednym do run germańskich; nie zostały one jednak przejęte od Germanów, mimo że znajdują się głównie na zachodnich ziemiach Słowiańszczyzny, pozostających w bezpośrednich stosunkach z Niemcami. Runy słowiańskie zachowały się głównie na figurkach przylbickich, kamieniach Mikorzyńskich oraz na medalionie krakowskim. Niemałe znaczenie dla poznania historii powstania alfabetu słowiańskiego ma historia tzw. karbów czyli różnych znaków głównie na cegłach lub kamieniu, których mamy bardzo wiele od czasów najdawniejszych, a które istnieją jeszcze do dzisiaj u wszystkich narodów słowiańskich. Dla jasności studiów stara się również autor ustalić historię i terminologię takich starodawnych nazw jak боукы (*buky*), кънигы (*knyhy*), письмя (*pyśma*), plur. письмена (*pyśmena*). Starosłowiańskie боукы, got. *boca*, niem. *Buch* oznacza już to 'księgi' w ogóle, *libri*, βίβλοι, już to litery, *littera*, γράμμα; wyraz кныгы ma również podwójne znaczenie w literaturze słowiańskiej bądź to *libri*, βίβλοι, bądź to *litterae*, γράμματα, письмя, plur. письмена zwykle oznacza literę, *littera*, γράμμα; czasem jednak письмена oznacza *Scriptura*, Pismo Święte.

Jedną z najważniejszych spraw dla autora jest udowodnienie, co to było pismo 'ruskie' oraz 'ruskie' tłumaczenia wyjątków z Pisma Świętego przed św. Cyrylem (Konstantym, jak go dalej stale autor nazywa). Autor słusznie zdaniem naszym twierdzi, że słowo 'ruski' w notatkach mnicha Chrobrego (Chrabr) oznacza język wschodnio-słowiański czyli język Polan kijowskich, a zatem posługując się terminologią dzisiejszą — staroukraiński, nie zaś gotycki czy jakiś inny (57). Jako zdecydowany antinormanista co do pochodzenia nazwy Rusi szeregiem przekonujących argumentów rozprawia się autor ze słynną teorią normańską. Tak więc pisze on na s. 57: „Nazwa 'Ruś' — to odwieczna nazwa ziemi polańskiej, właściwie Kijowszczyzny...“; s. 58: „Stara tradycyjna Ruś — to ziemia pomiędzy Dnieprem, Irpeniem i Rosią... Waregowie przyszli już na Ruś i tutaj ta odwieczna nazwa rozszerzyła się i na nich. Byli też Waregowie i na północy, w ziemi nowogródzkiej, a jednak ziemia ta za dawnych czasów 'Rusią' nigdy się nie nazywała, jest to zatem przekonujący dowód, że

nazwa 'Ruś' przylgnęła do Waregów na Kijowszczyźnie. Samej Rusi w stronach skandynawskich jeszcze do dzisiaj nie odszukano; sagi północne tak chętnie opowiadające o tych swoich rodakach, którzy chodzili na Ruś, całkowicie milczą o skandynawskim pochodzeniu dynastii ruskiej". Po długiej i wnikliwej analizie różnych źródeł i tekstów autor pisze, że „największym dziełem całego życia Konstantyna, dziełem, którego nigdy nie zapomni mu świat słowiański, było stworzenie czy raczej uporządkowanie alfabetu słowiańskiego" (s. 68). Na tym kończy się część pierwsza dzieła.

Część drugą poświęcił autor historii g ł a g o l i c y, jej nazwie, pochodzeniu, studiom nad nią, miejscu i czasowi jej powstania, autorstwu św. Cyryla (Konstantyna), rozszerzeniu się jej po ziemiach słowiańskich oraz wykazaniu, że głagolica jest starszą od cyrylicy.

Dwa są najdawniejsze alfabety słowiańskie, głagolica i cyrylica. Nazwa głagolicy nie jest jasna, studia zaś nad samą głagolicą trwają już bardzo dawno i wzięli w nich udział najwięksi uczeni przeważnie słowiańscy, chociaż nie brak i niesłowiańskich. Szereg uczonych twierdzi stanowczo, że głagolica powstała zasadniczo z greckiej kursywy czy też z greckiej minuskuły z zapożyczeniem niektórych liter z alfabetu hebrajskiego, koptyckiego czy też fenickiego i innych. Autor podkreśla, że Słowianie mieli jeszcze do czasów Konstantyna (Cyryla) jakieś własne pismo, które rozwijało się na gruncie rodzimym. Od chwili szerzenia się chrześcijaństwa wśród Słowian, rozpoczął się wpływ pisma greckiego względnie łacińskiego, a pod ich wpływem zaczęły się zmiany również w alfabetach słowiańskich. Konstantyn postanowił stworzyć dla Słowian język literacki i odpowiedni do tego alfabet. Jaki alfabet słowiański stał się podstawowym dla uporządkowanego już przez Konstantyna alfabetu — głagolicy, niewiadomo. Najprawdopodobniej podstawą dla Konstantyna było pismo tzw. 'ruskie' (s. 130). Źródło zaś, z którego Konstantyn stworzył alfabet, on przerobił, względnie uporządkował, na podstawie fonetyki swego ojczystego języka słowiańskiego z terenów około Salonik, gdyż ojczyzną głagolicy była południowa Bułgaria, względnie Makedonia, jej bułgarski dialekt z okolic Salonik (s. 136/7), nie zaś tereny Kroacji i Dalmacji, gdzie jeszcze po dziś dzień głagolica zachowała się w nabożeństwie. Głagolica rozpowszechniła się już w najstarszych czasach po wszystkich ziemiach słowiańskich. Używano jej powszechnie w Bułgarii, a zwłaszcza w Makedonii, rozeszła się po Morawach, Czechach, Bośni, Dalmacji i Kroacji czyli po całej dzisiejszej Jugosławii, prawdopodobnie po Polsce, po całej starej Rusi od południa aż do Nowgorodu na północy, znaną była w Mołdawii, na górze Athos, a nawet w klasztorach na półwyspie Sinajskim. Głagolica uchodziła zawsze za pismo trudne i tajemnicze, którym się posługiwano w celach kryptograficznych.

Omówiwszy szereg hypotez dotyczących autorstwa głagolicy autor stwierdza, że właściwym autorem głagolicy był Konstantyn (Cyryl). Autorstwo jego polegało nie tyle może na samym wynalezieniu głagolicznych znaków pisarskich, ile raczej na uporządkowaniu istniejącego już pisma słowiańskiego i wynalezieniu osobnych znaków dla dźwięków słowiańskich, których nie było w języku greckim. Nie mamy niestety dowodów

dla dokładnego stwierdzenia, jak dalece i w jaki sposób Konstanty wykorzystał pismo słowiańskie dla głagolicy. Bardzo możliwe, że Konstantyn nie zakończył sam dzieła swego, lecz dokończyli je jego uczniowie. Następnie autor szeregiem dowodów historycznych, paleograficznych i stylistycznych stara się udowodnić, że głagolica była starszym pismem od cyrylicy, co jednak trzeba rozumieć w ten sposób, że głagolica została prędzej uporządkowana i użyta w piśmiennictwie, gdyż w gruncie rzeczy oba alfabety słowiańskie są bardzo dawne i obydwa w swoich początkach istniały jeszcze przed Konstantym. Po dokładnym omówieniu tych spraw i podaniu różnych teorii różnych uczonych autor podaje kilka wzorów i form dawnej oraz dzisiaj jeszcze rzadko używanej głagolicy.

W trzeciej części dzieła swego autor zajmuje się zagadnieniem cyrylicy, czyli pisma przypisywanego mylnie przez długie stulecia św. Cyrylowi. Pismo to używane dzisiaj jeszcze przeważnie w księgach cerkiewnych, powstało w krótki czas po głagolicy z greckiego pisma uncjalnego, a zatem pisma bardzo starannego i czytelnego. Wyrobiło się to pismo powoli drogą ewolucji w Bułgarii za króla Symeona (893—927), znanego hellenofila, a zwyciężyło głagolicę dopiero po długiej i zaciętej walce. Kto uporządkował pismo cyryliczne, nie wiemy dokładnie. Zwykle uczeni przypisują to św. Klemensowi († 916 r.), uczniowi św. Cyryla (Konstantyna) i Metodego. Tego samego zdania jest również i autor, który widzi w św. Klemensie jeżeli już nie tego, który sam uporządkował cyrylicę, to przynajmniej jednego z tych, których wysoki autorytet usankcjonował nowy alfabet (s. 90). Cyrylica, jako pismo daleko łatwiejsze od głagolicy, szeroko rozpowszechniła się po ziemiach słowiańskich, zwłaszcza u Słowian wschodnich (Ukraińców, Białorusinów i Rosjan). Z cyrylicy wyrobiło się dzisiejsze pismo słowiańskie tzw. ‘hraždanka’.

Jednym z najcenniejszych źródeł o pochodzeniu alfabetów słowiańskich jest opowiadanie mnicha Chrobrego (Chrabr) o pismach słowiańskich. Temu opowiadaniu poświęca autor czwartą część swego dzieła. Samo opowiadanie mnicha Chrobrego jest właściwie gorącą apologią całej twórczości literackiej św. Konstantyna, apologią piśmiennictwa słowiańskiego, piśmiennictwa narodowego. Mnich Chrobry, to postać niemal legendarna, anonymowa, bardzo utalentowany pisarz-apologeta broniący piśmiennictwa narodowego przed Bułgarami hellenofilami (nie Grekami) — tzw. ‘trójjęzykowcami’ (τρίγλωττοι), uznającymi, że Pismo Święte można głosić tylko w trzech językach: hebrajskim, greckim i łacińskim. Jest to najprawdopodobniej jeden z młodszych uczniów św. Cyryla i Metodego, pochodzący z południowej Bułgarii, a żyjący w IX—X w. „Mnich Chrobry, sam może uczeń Konstantyna, był gorącym zwolennikiem idei Konstantyna — nabożeństwa w żywym języku i wszystkiego, co z tego wypływało, a zatem osobnej literatury, osobnych tłumaczeń Pisma Świętego. Sam bułgarski patriota, któremu napewno mocno wżarły się w skórę napady ‘trójjęzykowców’ zachodnich i wschodnich, mnich Chrobry kontynuował idee Konstantyna dalej i chciał widzieć całkiem osobny alfabet słowiański“, pisze autor (s. 221—2). Ten mnich-patriota broni głagolicy, dzieła swego nauczyciela Konstantyna, przeciw chciwym zakusom Zachodu i wprowadzaniu latynizacji na terenach słowiańskich. Jest to pismo nad-

zwyczaj ważne jako dowód istnienia pisma u Słowian jeszcze przed wystąpieniem Konstantyna. Z apologii mnicha Chrobrego możemy dokładnie określić, kiedy właśnie Konstantyn uporządkował swoją głagolicę. Słowem, dzieło wymienionego mnicha to gorąca polemika religijna przed wszelkimi wrogimi zakusami, skierowanymi w IX—X w. przeciw Słowianom południowym. Pismo to było szeroko znane, mocno oddziaływało na wszystkie umysły swoją siłą i dlatego też ulegało różnym mniej lub więcej istotnym zmianom. Dowód tej rozległej znajomości to wielka ilość rękopisów.

W części piątej zajmuje się autor kwestią powstania literackiego języka słowiańskiego. Język ten istniał od bardzo dawna i już na długi czas przed Konstantynem były zapewne próby stosowania go w literaturze. Wyrobienie literackie języków słowiańskich nie przyszło odrazu i musiało trwać bardzo długo, skoro w tłumaczeniu Pisma Świętego wszystkie odcienie oryginału są precyzyjnie oddane. Sprawa przedstawia się tu zupełnie analogicznie, jak z językiem greckim przed Homerem. Oczywista, że u Słowian, mieszkających bliżej narodów kulturalnych, język literacki prędzej się rozwijał. Św. Konstanty i Metody dokończyli rozwoju prymitywnego języka słowiańskiego, utrwaliwszy go w Piśmie Świętym. Język starosłowiański jest jednym z języków słowiańskich IX w., a mianowicie językiem bułgarskim w jego narzeczu makedońskim. Jest to zatem siostra — nie zaś matka innych języków słowiańskich. Jest to najdawniejszy pomnik języka słowiańskiego w piśmie literackim już wyrobionym. Tłumaczenia Pisma Świętego nie dokonał wyłącznie sam tylko św. Cyryl, lecz była to wspólna praca jego i jego uczniów (s. 244).

Uczeni zdążali różnymi drogami do poznania pierwotnego źródła języka cerkiewno-słowiańskiego. Stąd też w tej sprawie powstało sześć głównych teoryj: serbska, pannońska, morawska, bułgarska, ruska oraz teoria sztucznego czyli ogólno-słowiańskiego pochodzenia. Według tej ostatniej język cerkiewno-słowiański byłby niejako emanacją wszystkich języków słowiańskich. Teoria ta nie ma oczywista żadnego uzasadnienia już chociażby dlatego, że pierwsi apostołowie Słowian, nie znając wszystkich języków słowiańskich musieli się ograniczyć do jednego tylko. Dzisiaj przemogła teoria bułgarska i jest już rzeczą udowodnioną, że język starosłowiański czyli cerkiewno-słowiański to właściwie język starobułgarski. Przed tysiącem z górą laty był to jeszcze język dobrze zrozumiały dla wszystkich Słowian. Nie wolno też zapominać, że podobnie jak każdy język literacki tak też i język cerkiewno-słowiański św. Cyryla-Konstantyna jest do pewnej miary sztuczny i odbiega od żywego języka ludowego. Jeśli zaś chodzi o nazwę języka św. Cyryla i Metodego, to najwłaściwszą jest ‘język s t a r o b u ł g a r s k i‘, najwięcej zaś jest rozpowszechniona nazwa ‘język starosłowiański’.

Dzieło Ohijenki, jak zresztą i sam autor zaznacza, jest właściwie syntezą dotychczasowych badań w zakresie historii alfabetów słowiańskich oraz pochodzenia pierwszych tłumaczeń Konstantyna czyli powstania pierwszego języka literackiego Słowian. Autor jednakże nie ogranicza się do suchego sprawozdania, lecz ilekroć zajdzie potrzeba wypowiada własny sąd i polemizuje z poglądami przeciwnymi, zachęca do skorygowania

swoich, niekiedy może mylnych zapatrywań. Niektóre zwłaszcza sądy autora trącą myszką i należałoby je dawno między bajki włożyć; tak np. że Skythowie byli plemieniem słowiańskim (s. 26). Jakkolwiek nie jestem slawistą, razi mnie w języku ukraińskim taka rosyjska wymowa słów jak np. *Mefodij* zamiast *Metodij, Afon* zam. *Athos*, cesarz *Andrian* zam. *Adrian* i wiele innych. Czyżby działał tu jeszcze podświadomie kompleks rosyjskości? Praca autora bardzo solidna, cenna i na czasie. Wartość jej podnosi 75 fotografij pisma od czasów najdawniejszych do chwili obecnej. Do każdego rozdziału podaje autor bardzo bogatą literaturę. NIKITA DUMKA

V i c t o r S t e f f e n, Satyrographorum Graecorum reliquiae, Posnaniae 1935. Nakładem Pozn. Twa Przyjaciół Nauk. s. XXXI i 477.

Dzieło to, wydane — mimo daty na karcie tytułowej — dopiero w r. 1938, składa się z 3 części: z przedmowy (Praefatio s. I—XXXI), zbioru zachowanych dramatów satyrowych (s. 1—235) i wskaźników (s. 237—473). Podjęte zostało z inicjatywy prof. Sajdaka, który sam przez wiele, wiele lat myślał o zbiorze fragmentów satyrographów, i który, może jeszcze przed ustąpieniem z katedry (r. 1933), odstąpił temat i zebrane materiały swemu asystentowi Steffenowi. Rzeczywiście przyniósł Steffen do tego tematu odpowiednie przygotowanie, jak o tym świadczą jego *Studia satyrica I i II* (Posnaniae 1933); pozatem miał w prof. Klingerze świetnego doradcę. Całość wypadła rzeczywiście imponująco i wieloletni trud, włożony w to dzieło, wzniósł cenny pomnik naszej filologii.

Jest rzeczą zrozumiałą, że wobec rozległości zagadnień, wobec sumy materiału nie wszystko wypadło jednakowo, na wiele rzeczy inaczej się zapatrujemy niż Steffen. Zadanie miał autor niełatwe. Zbiór fragmentów przed nim przygotował znakomity znawca tragedii greckiej A. Nauck. Także *Kyklops* Euripidesa, tu włączony, miał wybitnych wydawców, a już *Tropiciele* Sophoklesa, tworzący niejako *pièce de résistance* tego zbioru i klejnot, liczą ich dziesiątki. Na ogół przewaga nad Nauckiem nie jest zasadniczo tak wielka, i ogranicza się głównie do zarejestrowania odnośnej literatury, bardzo narosłej w międzyczasie, oraz do wciągnięcia odkryć papyrusowych. Całość nosi cechy cierpliwej pracy i samodzielnego przepracowania: ale praca remontowa, zwłaszcza na zwaliskach, nigdy nie osiągnie tego efektu, co praca budującego architekta.

Przedmowa roztrząsa przede wszystkim zagadnienie powstania dramatu satyrowego, które dla Steffena wiąże się jak najściślej z dziejami tragedii, gdyż ta — według Aristotelesa — miała powstać z dramatu satyrowego. Właśnie tę pierwszą partię przedmowy uważałbym za najsłabszą; zbyt lekko też potraktowano zagadnienia strukturalne (p. XXV) i stosunek tragedii do komedii — zbyto je prawie komunałami. Szkoda rzeczywiście, że cały końcowy ustęp jest ledwie naszkicowany. A któż mógłby nas lepiej poinformować o specyficznym języku satyrowym, jak nie autor wskaźnika językowego, kto inny mógłby traktować metrykę, jak nie długoletni badacz tych utworów? Jakże chętnie usłyszałbym coś bliższego o παρατραγῳδεῖν dramatu satyrowego, które Steffen zdaje się odnosić tylko do stylu tragicznego; ale autor zbywa nas truizmem (dziś

zresztą atakowanym przez Gordziejewa), że zachodzi ono także w komedii. Nigdzie zaś Steffen nie sprecyzował jasno literackiego stosunku dramatu satyrowego do tragedii i do komedii: nic nam to nie mówi, że dramat satyrowy ma stanowić coś pośredniego między tragedią a komedią.

Słowem, pełen uznania dla pracy włożonej w zebranie i opracowanie krytyczne fragmentów, uważam wstęp za niewystarczający. Można było go bez szkody dla całości dzieła opuścić: skoro się jednak chciało dać wstęp, należało to zrobić z należną tym zagadnieniom gruntownością. Najobszerniej omówił Steffen zagadnienie pochodzenia tragedii — wszystkie w tym względzie źródła i studia są mu znane. Ale teoretyczne te konstrukcje widać nie przystają do niego, nie odpowiadają mu, i tak wyszła geneza tragedii conajmniej dziwna. Za fundament niewzruszony obiera Steffen tekst *Poetyki* Aristotelesa o powstaniu tragedii i orzeka, że ci, którzy konstruują odmienne początki tragedii, gwałcą metodę naukową i popełniają zbrodnię kardynalną, nie licząc się z świadectwami. Steffen nie cytuje do tych słów nikogo, ale nie mylę się chyba, jeżeli przyjmuję, że jego anathema dotyczy mojej rozprawy o tym miejscu Aristotelesa. Według Steffena bowiem Aristoteles niewątpliwie *(dubitari non potest)* miał jeszcze w rękach choć kilka dramatów Pratinasa, Choirilosa, Phrynichosa i studia o początkach dramatu. Musimy wierzyć Aristotelesowi, jeśli zapewnia nas, że wszystkie stadia rozwoju tragedii są mu szczegółowo znane. Rzeczywiście — ale czy Aristoteles to twierdzi? On konstatuje tylko, że „wiadomo (powszechnie), jakie losy (μεταβάσεις) miała tragedia i kto je spowodował". Mógłbym zakwestionować przesłanki, że Aristoteles miał jeszcze owe pierwsze dramaty (przecież archiwum atheńskie padło także ofiarą Persów), ale nie czynię tego, gdyż w świetle innych świadectw jest to kwestia drugorzędna. W ogóle nie zamierzam tu polemizować, lecz ograniczyć się do sprostowań. Wnioski z fgm. 77 D Archilochosa są mylne: wyraz ἐξάρχεσθαι διθύραμβον nie znaczy 'prima quaedam responsionis initia facere' lub 'inchoare dithyrambum', lecz — jak to już dawno skonstatowano, to samo co διδάσκειν διθύραμβον. Tym samym odpadają wnioski o amoibaicznym śpiewie i początku dialogu. Niesłusznie też wyczytuje Steffen z Arist. Rhet. III 1 ὑπεκρίνοντο αὐτοὶ οἱ ποιηταὶ τὰς τραγῳδίας τὸ πρῶτον, że 'exhaustis chori carminibus poeta ipse sive quis e numero cantantium progressus carminibus respondebat', gdyż między ὑποκρίνεσθαι a ἀποκρίνεσθαι zachodzi chyba jakaś różnica. Zbyt sumarycznie zbył Steffen świadectwo Herodota o Arionie: jego źródłem mógł być Solon, jak też dla innych, których potem reprodukuje Suidas. Z Reischa mógł się dowiedzieć, że wyraz τραγικὸς (χορὸς) jest attycyzmem u Herodota i innych; po studiach Reischa i Kuhnerta stanowczo nie wolno pisać: 'satyri sive hirci', gdyż Satyrowie byli zawsze i wyłącznie 'koniokształtni', 'koźlokształtny', zaś był tylko Pan (i Paniskoi). Że dithyramb Ariona był wesoły, jest nieuzasadnionym pomysłem; nie wiadomo też, czy jego dithyramb w ogóle odnosił się do Dionysosa. *Carrus navalis,* z którego miał się urodzić 'karnawał', już nikogo nie wzrusza itd. itd. Steffen przytacza wiadomość, że pierwszy Pratinas z Phlius stworzył dramat satyrowy: miał przybyć do Athen z końcem VI w. Podziwiam zimną krew autora, który chyba musiał spostrzec, że tu jedno 'świadectwo' kłóci

się z drugim. Sytuacja jest przecież taka, że mamy w Athenach już od r. 534 tragedię, podczas gdy dopiero w r. 504 Pratinas wprowadza dramat satyrowy. Postąpić tak, jak Steffen postąpił i mówić o 'carmina satyrica sive τραγικοὶ χοροί' jest wygodnie, ale to rzecz niedopuszczalna. Ileżby zyskał cały wykład na plastyczności, gdyby Steffen rozpoczął dzieje dramatu satyrowego tam, gdzie się rzeczywiście zaczynają, u Pratinasa, i wykazał, jak ten peloponneski czynnik zrósł się z ateńskim, z tragedią!

Ale, podkreślam, nie to stanowi właściwą treść książki: składają się na nią fragmenty, w tym *Tropiciele* Sophoklesa, i *Kyklops* w nowej recenzji. Najbardziej widać osobisty wybitny udział autora w *Tropicielach*, gdzie Seilenos ustąpił Cheironowi, obce koniektury własnym pomysłom. Nie uważam za szczęśliwy pomysł wyrugowania Seilenosa, którego ma przecież w. 73; koniektury nie lepsze i nie gorsze od innych. Rzeczywistą zasługą autora jest zestawienie olbrzymiego, często trudno dostępnego materiału — praca ogromna nawet po Naucku i po znakomitych naszych bibliografiach filologicznych, bez których zresztą nie byłaby do pomyślenia. Niewątpliwie stanie się zbiór ten punktem wyjścia dla dalszych badań, zwłaszcza literackich, przez autora ledwie tkniętych, i umożliwi wreszcie studia nad tym, o co od dawna podejrzywałem dramat satyrowy, i co nieoczekiwanie w oczywisty sposób potwierdza praca Steffena, studia nad dziejami — g r o t e s k i klasycznej. Szpeci książkę wielka ilość błędów drukarskich, z których errata na końcu rejestrują tylko nieznaczną część. Wadą — tym razem niezależną od autora — jest też oszczędność, tu zupełnie nie na miejscu: prace takie powinno się drukować bezwzględnie na papierze b e z d r z e w n y m. Ale wszystkie te niedociągnięcia nie zacierają ogólnego wrażenia, że mamy tu przed sobą dzieło imponujące, które stanowić będzie w naszym dorobku filologicznym żelazną pozycję.

R. G.

M i e c z y s ł a w G ę b a r o w i c z, Psałterz Floriański. Kilka uwag z powodu nowego wydania zabytku, Lwów 1939, s. 49. Odb. w 70 egz. z Dawnej Sztuki II 1939, s. 71—83.

Sprawozdanie to z wydania *Psałterza Floriańskiego* rozszerza nasze wiadomości i porusza cały kompleks zagadnień mecenatu królowej Jadwigi, która powoli urasta, mimo krótkiego życia, do centralnej postaci naszej kultury umysłowej i artystycznej wieków średnich. Słusznie jest Gębarowicz pełen pochwał dla inicjatora tego wydawnictwa, L. Bernackiego, i jego współpracowników, zwłaszcza dla A. Birkenmajera i Wł. Podlachy. Pozytywnie próbuje dorzucić nowe tłumaczenie heraldycznego zamku, splecionego podwójnego M, które — jak to zresztą już przedtem wykazał Bernacki — pojawia się poza *Psałterzem* i rostruchanem Jadwigi na pomnikach czeskich; do tego dorzuca tu Gębarowicz jeszcze pomniki z Chur w Szwajcarii a to z w. XV i XVI, oraz fresk z sali kazimierzowskiej na Wawelu z czasów królowej Jadwigi. Bernacki interpretował to podwójne *M* jako *Mons Mariae,* nazwa opactwa kłockiego, i na tej podstawie właśnie przyjął, że *Psałterz* tam powstał. Polaczkówna w wydaniu *Psałterza* interpretuje to raczej jako *Montjoie Marie* (hasło rodowe Andegawenów). Gębarowicz zaś chciałby je łączyć z dewizą Jadwigi, która by wyrażała niejako program jej działalności, a którą określa —

zgodnie z zaleceniami jej powiernika, dominikanina Henryka de Bitterfeld, — jako życie czynne połączone z kontemplacją: *Martha et Maria contemplans*. Zatem skrzyżowane *M* miałoby oznaczać *M(artha) M(aria)*, a umieszczono je w *Psałterzu* i na rostruchanie na wyraźne życzenie królowej. Ale czy to nie za wiele subtelności teologicznej — i to w miejscu, gdzie najwyraźniej działały względy heraldyczne? Mnie najbardziej przekonywa jeszcze interpretacja tego znaku jako *Mons Mariae* oraz jako dewizy rodowej: bo że znak ten miewał więcej znaczeń na różnych przedmiotach i w różnych czasach, na to wszyscy się zgadzają.

W związku z dyskusją nad *M* skrzyżowanym podjął Gębarowicz jeszcze raz sprawę napisu rostruchanu, znajdującego się w Grünes Gewölbe w Dreźnie, którym się kiedyś na życzenie L. Bernackiego zajmowałem. Pierwszy traktował napis ten Piekosiński i odczytał: *Hedwigis + cyfum + scandat + quem + contulit + istum + presul + ob + merita + Wenceslai sancti grata digna + Polonorum + regina + superna + Polonorum*", a Sokołowski to tłumaczył tak: „Oby za łaski św. Wacława wdzięczna, godna królowa najwyższa Polaków Jadwiga cyfus podniosła, który ofiarował — w jej imieniu — biskup". Jest i pozostanie tajemnicą Sokołowskiego, jak doszedł do tego przekładu, który u innego śmiertelnika



Psałterz Floriański: inicjał *B* na karcie 3r. U góry widać plecionkę z dwóch skrzyżowanych gotyckich *M*.

określiłbym za dokument ignorancji. Ale i Piekosiński nie zdał egzaminu, skoro nie spostrzegł rzeczy najelementarniejszej, mian. metrycznej struktury napisu. Napis nie jest zupełnie w porządku, rytownik popełnił drobne niedokładności i pomyłki, które bez większej trudności dadzą się usunąć właśnie dzięki obserwacji struktury heksametrycznej. Mamy przed sobą bowiem 3 heksametry typu leonińskiego, w których rym dwugłosowy, przestrzegany w wierszu 3, zastąpiony jest w dwóch pierwszych wierszach przez asonans: oznaka to dekadencji technicznej. Proponowałem więc:

Hedwigis cyfum mandat, que contulit istum
Presulis ob merita Wenceslai sacra digna.
[Sitque] Polonorum regina superna polorum

i tłumaczyłem: „Jadwiga przekazuje ten kielich, która go ofiarowała



Rostruchan królowej Jadwigi (Drezno, Grünes Gewölbe). Na emaliowanej płytce, pokrywającej kryształ, widnieje monogram z dwóch skrzyżowanych *M.*

z powodu świętych, godnych zasług biskupa Wacława. [Niech będzie królową także] Polaków najwyższa królowa niebios". Gębarowicz sądzi, że „tłumaczenie to jest nieścisłe, a pod względem metodycznym niepoprawne". *Ne sutor supra crepidam:* wysoko cenię w Gębarowiczu historyka sztuki, od którego każdej chwili gotów jestem uczyć się, jak dotąd dużo się uczyłem — ale niech mi daruje, w zakresie filologii, a zwłaszcza w zakresie filologii średniowiecznej, uważam siebie w swej zarozumiałości za pewnego rodzaju mistrza, który nie zgodzi się na mieszanie go z tłumem naszych dotychczasowych wydawców-historyków, wiedzionych raczej ciemnym instynktem, niż znajomością łaciny. W tym napisie mamy zagadnienie formalne (wiersz), graficzne (rytownicze błędy) i rzeczowe (interpretacja). U mnie górę biorą formalne elementy, potem idą rzeczowe, a w końcu graficzne. Gębarowicz natomiast zupełnie pomija względy formalne, i dlatego rozbija formę wiersza 2, który według niego brzmiał pierwotnie tak: *presul ob merita Wenceslao sancto digna,* a cały napis w ostatecznej redakcji: *Hedwigis cyfum scandat quem contulit istum presul ob merita Wenceslao sancto grata digna Polonorum regina superna polorum,* co ma znaczyć: „Niech Jadwiga najwyższa królowa Polaków (godna niebios), podnosi [scil. do ust] ten kielich, który ofiarował biskup z powodu zasług miłych św. Wacławowi (ewent. godnych niebios)". Niechętnie biadam, ale przyznaję się, że ręce mi opadły i że sam siebie pytałem, czy w ogóle jeszcze warto kogo uczyć łaciny, jeśli człowiek zupełnie nieprzeciętny i inteligentny, znany z sumienności i widocznie dążący do gruntowności po mojej próbie daje taki przekład. Gębarowicz miał do dyspozycji fotografię, a już ta na pierwszy rzut oka wyjaśnia jedną zagadkę graficzną: *s,* rozwiązane przez niego jako *sancto,* jest podane jako ·s̶· Ależ to świetnie! Napewno słyszał Gębarowicz o 'przekreślaniu' liter mylnie pisanych — w średnich wiekach nie przekreślano ich, tylko podkreślano albo wykropkowywano *(expungere):* tu więc *s* zostało wykropkowane i przekreślone (a raczej podkreślone), czyli przestaje istnieć. To jedno. Ale błędy mają swe źródło mechaniczne (optyczne) lub psychiczne. Rytownik napewno przed ryciem w wosku naszkicował sobie, już ze względu na rozmieszczenie, poszczególne litery, i nie widzę powodu, dla którego miałby w tych wyrazach opuścić krzyże oddzielające wyrazy. Jeżeli tych krzyży obecnie nie ma, to jakiś nieprzewidziany przypadek musiał tu zajść. Otóż owo *s* jest *s* końcowym, inicjalne i środkowe *s* jest w tym napisie, zgodnie z ówczesną praktyką, długie *ſ;* czasem, jeżeli *s* samo stoi, używa się *s* końcowego, tak że np. samo przez się mogłoby stać jako skrót słowa *sanctus,* ale nie może być początkiem wypisanego albo w normalny sposób skróconego słowa, tzn. że wykluczona jest pisownia *s[co],* przyjęta przez Gębarowicza jako pierwotna, gdyż musiałoby być *ſ[co].* Na podstawie fotografii jest absolutnie pewne, że rytownik rył mylnie *wenceſlavs,* przytem *a* + *v* tworzą ligaturę, tak jak przedtem *w* + *e, d* + *w* itd. To *s* wypadło rytownikowi na krzyż oddzielający słowo i zajęło nawet więcej miejsca, tak że trzeba było nieco przesunąć słowo *grata:* przesunięcie to było znowu możliwe tylko kosztem drugiego krzyża. Rytownik błąd spostrzegł, ale po niewczasie, gdy napis już był gotowy, i w korekturze niejako autorskiej: tam dowiedział się, że to miało być *wenceslai,* a nie *wenceslaus:* zrobił

więc to, co w danych okolicznościach jedynie można było zrobić — wykropkował *s*. Tym samym odpadają definitywnie wszelkie inne domysły: zostaje *Wenceslai grata digna*, i nic innego nie było, i być nie miało.

Fotografia pokazuje jeszcze więcej, mian. korekturę drugiego *a* w słowie *grata:* wygląda to tak, jak gdyby prosta linia litery *a* stała na poprzednio wyrytym krzyżu, którego boczne ramiona zatuszowano.

A teraz przejdźmy do formalnych poprawek ze względu na metrum czytałem *presulis* zam. *presul*, dalej *săcră* zam. *grātă*, widząc właśnie w owym *s* dowód, że słowo się tak zaczynało: dziś wobec fotografii i formy *s* nie podtrzymuję swej poprawki i z pewnym żalem zgadzam się na to, że autor tych wierszy, zresztą arcypoprawnych, pisał (czy zostawił w korekcie), błędnie *grăta* zam. klasycznego *grāta*. Trudno. Dalej przyjąłem na początku wiersza 3 zaginięcie *sitque*, co rytownik przeoczył wskutek graficznego podobieństwa tego wyrazu do bezpośrednio poprzedzającego *digna* (tzw. 'haplografia', *bourdon)*. Proszę wskazać, co tu niemetodycznego.

Wreszcie rzeczowe poprawki i tłumaczenie. Zmieniłem *quem* na *que* (niestety nie mam fotografii, bo może to nawet nie jest zmianą, lecz poprawnym rozwiązaniem skrótu źle czytanego przez innych), aby uzyskać podmiot do *contulit;* zresztą ktoby mówił: *quem*... *istum?* Mówi się albo *quem* albo *istum*. Zmieniłem dalej *scandat* na *mandat* (i tu nie mam fotografii, może to nawet nie jest zmiana), aby uzyskać jakiś możliwy sens. Sokołowski-Gębarowicz tłumaczą *scandat* 'niech Jadwiga scyfus podnosi'. Ale ta łacina historyków sztuki nosi wszelkie cechy najbardziej podejrzanej esoteryki; bo *scandere* nigdy nie znaczyło nic innego jak 'wstąpić, podnieść się', i tylko to; znaczenie, które Gębarowicz podaje w swym przekładzie, trzebaby wyrazić po łacinie: *tollat, (sub)levet* itd. Esoteryczny charakter nosi też połączenie *digna*... *polorum* 'godna niebios': po łacinie może być tylko i wyłącznie: *digna*... *polis* (ablat.). — Słowem, nie widzę powodu do zmiany ani tekstu ani przekładu mego z wyjątkiem przywrócenia słowa *grata* zam. *sacra*, i odpowiedniej zmiany przekładu: '... która go ofiarowała z wdzięczności (= wdzięczna *grata*) za godne zasługi biskupa Wacława'.

A interpretacja? To już nie moje pole, a nie chcę się narażać na to, by dostać po rękach. Gębarowicz twierdzi, że rostruchan taki nie służył do celów liturgicznych, w co chętnie uwierzę; służył więc do celów prywatnych. Był to dar bogaty. Gębarowicz chciałby, by Piotr Wysz, biskup krakowski, zdobył się na ten dar dla królowej Jadwigi. Możliwe, o ile są inne dowody, bo nasz tekst taką możliwość wy-



Fragment napisu dedykacyjnego na rostruchanie.

klucza. Ale chciałbym wskazać na jeszcze jeden moment: ze strony filologicznej, po definitywnym skreśleniu owego *s* (= *sanctus*), nie ma przeszkody, by ów *presul Wenceslaus* był jakimś biskupem (lub opatem) Wacławem, żyjącym w w. XIV, a nie św. Wacławem; chociaż tekst nie wyklucza daru dla św. Wacława, patrona katedry krakowskiej.

Jak zawsze, nauczyłem się coś nie coś także z tej pracy Gębarowicza i — jak widać — nawet jego błędy przyczyniły się do rozjaśnienia choć drobnej zagadki. R. G.

P. S. Kiedy zabrałem głos w sprawie napisu rostruchana, musiałem się opierać — tak jak Piekosiński — na przerysie Sokołowskiego, uważając go za bezwzględnie wierną kopię otoku. Zaufanie to podkopała fotografia, opublikowana przez Gębarowicza, która w sposób oczywisty wyjaśnia jeden ciekawy punkt sporny napisu. Od Gębarowicza dowiedziałem się, że fotografie całego otoku są w posiadaniu dyr. Bernackiego, który z największą uprzejmością pożyczył mi je (i klisze), dzięki czemu mogę pewne punkty, przedstawione przeze mnie dawniej jako koniekturalne lub wątpliwe, od razu załatwić w sposób — jak podkreślam — definitywny. Na otoku widnieje więc zupełnie wyraźnie: *polorum* (Piekosiński: *polonorum*), *supra* (= *superna*), a nie *supna*; *p̄lvľ* (= *presulis*) a nie *presul*; *p̄* (= *que*) a nie *quem*. Dla ścisłości zaznaczam, że rytownik nie odróżniał dwóch rodzajów znaków diakrytycznych dla skrótów, ‘ a -, lecz używa tylko jednego znaku, mian. -, tak że *q̄* mogłoby być ewentualnie odczytane także jako *qui*, jednak związek zdania żąda, by *q̄* odnosiło się do słów poprzednich, więc tu do *Hedwigis*; a zatem rozwiązanie musi brzmieć *que* (= *quae*). Dalej rytownik, u którego *v* (tylko to zamiast *u* i *v*) różni się od *o* jedynie tym, że *o* u góry ma jeden ‘róg’, *v* zaś dwa ‘rogi’, drogą formalnej dittografii (gdyż także *p* ma dwa ‘rogi’) rył *pvlonorum* oraz *pvlorum* (*pv* z ligaturą). Ciekawy to sposób pisania, świadczący o tym, że rytownik wielkim łacinnikiem nie był, a bez głębszego zrozumienia tekstu dość mechanicznie skopiował otok. — Spodziewałem się, że także co do *scandat* znajdę wyjaśnienie w fotografiach. Niestety nie: wyraźnie mamy tam między dwoma krzyżykami *ſcādat*, co może znaczyć tylko: ‘niech kroczy na, niech wznosi się na...’. Po rozważeniu wszystkich możliwości wracam do dawnej idei, że oryginał napisu miał *mādat*; z wyrazu tego rytownik rozumiał tylko drugą część *-dat* ‘daje’, z pierwszej części zrobił sobie *ſcā* = *sancta* ‘święta’, tj. ‘święta Jadwiga daje scyphus...’; Wówczas wypadałoby może przyjąć, że otok został wyryty dopiero po śmierci Jadwigi, gdyż za życia królowej taka interpretacja słowa była niemożliwa (na taką samą interpretację zresztą naprowadza też ściślejszy sens słowa *mandare* = *legare*, używanego także w sensie ‘spadkowym’). Naturalnie brak krzyża między *ſcā* a *dat*, bo nie było go w oryginale, który już tak oddzielał wszędzie słowa konsekwentnie; jeżeli brak krzyża oddzielającego *ob* od *merita*, to z tej prostej racji, iż zgodnie z praktyką ówczesnej łaciny, przedimek łączy się z rzeczownikiem w jedno słowo (więc: *obmerita*), i tak powinno być podane słowo w naszych kopiach. R. G.

Bibliografia literacka czasopism polskich za rok 1875. Opracowała

Sekcja Bibliograficzna Zakładu Polskiej Literatury Porównawczej Uniw. J. K. pod kierunkiem prof. dr Eugeniusza Kucharskiego, redagował i do druku przysposobił dr Władysław Floryan, Lwów 1938, s. 126.

Drugi tom tej bibliografii (p. Przegl. Klas. 1937, s. 818 n.) jest mniej bogaty w niespodzianki klasyczne, ale i on opłaca trud przejrzenia go. Wynotujemy więc: artykuł o Grecji w Kronice Rodzinnej (W-wa) nr. 5, Zemsta Ledy (Kronika, Kraków, nr. 3), Mumia Kleopatry (nowela, Kurier Codzienny, W-wa nr. 34), pierwodruki Asnyka (El-y): Endymion (Bluszcz, W-wa nr. 30), Król Juba (Dziennik Poznański nr. 66), 44 Adam Bełcikowski, Kmita i Bonarówna (dramat, Sobótka, księga ku czci S. Gorczyńskiego, s. 189—259), — O filozofii Platona (studium, Szkice Społeczne i Literackie, Kraków nr. 31—36); 56 Bolesta, Tempora mutantur (wiersz, Kolce, W-wa nr. 23); 67 A. B. Brzostowski, Exoriare (wiersz, Kurier Polski, Lwów nr. 169); 97 Bol. Czerwieński, Heliogabala (wiersz, Sobótka, s. 476 nn.), — Termopile (wiersz, Tydzień, Lwów I nr. 2); 116 Wojc. Dzieduszycki, Partenon (z sonetów, pisanych w 1874 roku na Wschodzie, Tygodnik Ilustrowany, W-wa XVI nr. 394); 120 E. C[allier?], Homer: I. Księga Iliady, próba przekładu wierszem miarowym (Przegl. Mies., Kraków nr. 4, s. 104—123 i Przegl. Polski, Kraków XI nr. 7, s. 108—125; por. Przegl. Kryt., Kraków nr. 4); 179 E. Grzyb, Toast grecki (wiersz, Kolce nr. 3); 255 ks. A. Kantecki, M. C. Sarbievi Parodia Ode V Libri IV (przekład, Warta, Poznań nr. 43), — Palinodia Ode VI Libri IV (tamże), — Plautus, Menechmy (przekład, tamże I nr. 45—52); 270 S. Klonowicz, Victoria deorum rozdz. XXVI (Gazeta Narodowa, Lwów nr. 208; Klonowicz o żydach (Kurier Polski, Lwów nr. 216); 360 Marta, Gladiator (Tyg. Ilustr. XVI nr. 40); 687 J. Szujski, Arystofanes, Rycerze (Bibl. Warsz. I s. 1—48; por. Przegl. Kryt., Kraków nr. 6); 689 Szczerbowicz-Wieczór, Teokryt, Pierwsze eidyllion (Tyg. Mód i Powieści, W-wa nr. 48); 730 F. Faleński, Juwenalis, Satyra wstępna (Niwa, W-wa VII nr. 9, s. 625), — Wergiliusz, Ekloga IV (Tyg. Ilustr. XV nr. 389); 1180 Krytyczne oceny Odyssei Siemieńskiego (Bibl. Warsz. II, s. 63—75; Ojczyzna, Lwów nr. 158; Przegl. Kryt., Kraków nr. 1; Dziennik Pozn. nr. 117—122); 1181 T. Korzon, O życiu umysłowym Grecji (Tyg. Ilustr. nr. 379—381); Z. Samolewski, Sofokles, Ajas (przekład, por. Bibl. Warsz. III s. 491), — Dziewice 1182 Bol. Limanowski, Prawa Platona (Sobótka s. 490—500); Z. Samolewicz, Studia platońskie (por. Przegl. Kryt. nr. 3); 1183. Z. Węclewski, Sofokles, Ajas (przekład, por. Bibl. Warsz. III s. 491), — Dziewice Trachińskie (por. Przegl. Kryt. nr. 13); 1179 Wład. Chodkiewicz, Wiersz setny z komedii Arystofanesa pt. Acharneńczycy. Tekst staroperski sprostował, objaśnił i wytłumaczył (Rozpr. i Spraw. Wydz. Filol. Akad. Kraków III s. 1—50; 1221 Kaz. Chłędowski, Rzymscy satyrycy upadającego cesarstwa (Przewodn. Nauk. i Lit., Lwów nr. 4—6); 1222 Bron. Kruczkiewicz, O filozofii L. A. Seneki (Rozpr. i Spraw. Akad. III, s. 122—219); 1234 Józef Rovani, Młodość Juliusza Cezara (przekład powieści, Ruch Literacki, Lwów nr. 38).

Są to okruchy — cenne, bo nic innego w tym czasie nie było. Pod względem technicznym poczyniła Bibliografia ta znaczne postępy i stała się wprost wzorową. R. G.

KRONIKA

WYKOPALISKA ARCHEOLOGICZNE

Od kilku już lat ekspedycja archeologiczna British Museum i Brytyjskiej Szkoły Archeologicznej w Iraku przeprowadza pod kierownictwem E. L. Mallowan, jednego z kierowników Muzeum Brytyjskiego, prace wykopaliskowe w kraju Habur, północnej Syrii, w miejscowości Brak. O przebiegu i rezultatach poszczególnych wypraw informował Mr. Mallowan w szeregu numerów *The Illustrated London News* (listop. 23, 1935; marzec 27, 1937; stycz. 15, 1938; paźdź. 22, 1938), lecz najobszerniejsze sprawozdanie, dające obraz całości wysiłków, dał on w wymienionym czasopiśmie z dnia 15 paźdz. 1938 roku na s. 697—701. Miejscowość Brak i jej okolice są dziś niemal puste i rzadko tylko zagląda do nich jakiś zabłąkany turysta, ale przed czterema tysiącami lat kwitnęło tu bujne życie, a sądząc z wykopalisk poziom kultury musiał być wysoki. Dzięki tym właśnie wykopaliskom wiemy, że Brak był w trzecim tysiącleciu przed Chr. stolicą jednej z prowincyj potężnego naówczas państwa akkadyjskiego. Otóż podczas dwu ostatnich wypraw archeologicznych odkopano tu potężny pałac królewski, zajmujący przestrzeń prawie 900 m². Pałac, zbudowany z niewypalonej cegły, był budowlą zamkniętą zewsząd potężnymi ścianami, z jednym tylko wejściem prowadzącym do jego wnętrza. Czterdzieści cztery ubikacje grupowały się wokół sześciu podwórzy, z których jedno, największe, miało trzydzieści sześć metrów szerokości, inne miały mniejsze rozmiary. Datę założenia pałacu oraz nazwisko założyciela znamy dzięki temu, że w ścianie pałacu znaleziono ongi tam wmurowaną cegłę, na której pismem klinowym wypisane było nazwisko założyciela Naram-Sin'a, wnuka Sargona, panującego jako czwarty z kolei władca akkadyjski z dynastii semickiej około roku 2500 przed Chr. Wiemy, że już Sargon odbywał wyprawy na Habur w celu podbicia tego kraju, ale dopiero Naram-Sin — jak informują tabliczki z napisami — pokonał koalicję 17 królów, panujących w Habur i na terenach sąsiednich. Widomym znakiem utwierdzenia jego władzy w podbitym kraju było zbudowanie pałacu, będącego pewnego rodzaju bazą operacyjną, z której łatwo było kontrolować podległe ludy, zamieszkujące obszary między rzekami Habur i Jaghjagha a wyżyną Mardin, i ściągać należne władcy daniny. To też pałac w Brak oprócz tego, że reprezentował potęgę władcy, pełnił również funkcję magazynu, w którym składano daniny w naturze. W czasie wykopalisk odkryto je-

szcze w wielu ubikacjach resztki zwęglonych zapasów, np. zboża i drzewa budulcowego. Znaleziono tu również formy bazaltowe do odlewu narzędzi i broni, co wskazuje na to, że w Brak rozwinięty był wyrób tego rodzaju przedmiotów. Ponieważ zaś ziemie te obfitują w rudy żelazne, było więc dla władców akkadyjskich rzeczą pierwszorzędnej wagi posiadanie tak bogatych terenów. Wkrótce jednak wspaniały pałac Naram-Sin'a został obrabowany i częściowo spalony. Nie wiemy napewno, kto był sprawcą zniszczenia, ale z wielkim prawdopodobieństwem można przypuszczać, że dokonały tego ludy podbite, korzystające z chwilowego osłabienia władcy.

Mimo to panowanie akkadyjskie utrzymało się nadal, co więcej, wkrótce odbudowano na nowo pałac na ogół zgodnie z poprzednim planem, ale z pewnymi odchyleniami od symetrii pierwotnego planu, a nadto jego ściany zewnętrzne wydatnie poszerzono i wzmocniono. Ten drugi pałac przetrwał aż do r. 2000 przed Chr. W czasach późniejszych Brak spadł do roli drugorzędnego miasta. W południowym skrzydle pałacu odkryto resztki jakiejś wieży, czy też tylko dużej platformy, na powierzchni której znajdował się budynek, wymurowany z niewypalonej cegły, ze ścianami wyłożonymi od zewnątrz potężnymi blokami nieobrobionego bazaltu. Badania tej platformy wykazały, że jest ona starszą o jakieś 500 lat od pałacu, a więc powstałaby ok. r. 3000 przed Chr. Na ogół ta część pałacu jest jeszcze mało zbadana. W każdym razie już dziś można stwierdzić na podstawie konstrukcji budynku oraz jego dekoracji, że wykazuje on niezaprzeczalne podobieństwo do znalezisk w archaicznym Ziggurat, przeprowadzonych przez niemiecką ekspedycję archeol. w Warka. Fakt ten przemawia za tym, że tereny między Eufratem a Tygrysem miały w 3 tysiącleciu przed Chr. jednolitą kulturę. Pod wymienioną wyżej platformą odkopano i odczyszczono szereg ubikacyj, przy czym natrafiono na ślady bogatego zapewne ongi skarbca, ukrytego w tym miejscu prawdopodobnie jeszcze w chwili założenia budowli. Sam skarbiec został naturalnie obrabowany, ale łupieżcy, nie mogąc widocznie zabrać wszystkiego, porzucili mniej cenne przedmioty. Tak np. większą część znalezisk pochodzących ze skarbca stanowią naszyjniki z paciorków. Jest to w ogóle jedno z największych znalezisk w tym rodzaju, a wykonane są te paciorki głównie z fajansu i z półszlachetnych kamieni, znikoma tylko ilość ze złota. Znaleziono też dużo kamiennych, cylindrycznych pieczęci i amuletów. Wśród tych ostatnich znajduje się — według kierownika wykopalisk — jakby w komplecie menażeria a więc: lwy, gazele, niedźwiedzie, krowy, owce, zające, świnie, jeże, orły, kaczki, żaby. Amulety wykonane są z alabastru, marmuru, kwarcu, muszli, perłowej macicy, fajansu i kości. Niektóre z nich odznaczają się nieprzeciętnymi zaletami artystycznymi i świadczą o bystrej obserwacji natury. Tak np. artysta dobrze zaobserwował, że zając, o ile spokojnie spoczywa, kładzie długie słuchy wzdłuż grzbietu. Znaleziono tu również idole alabastrowe w ogromnej ilości, bo około 200 całkowicie zachowanych, ponadto wiele fragmentów. Kształty ich mimo pewnej różnorodności dadzą się sprowadzić do jednego schematu: płasko opracowany tułów przypomina kształtem wydłużony dzwon, szyja jest szeroka i krótka, a głowa

w kształcie leżącej ósemki wypełniona jest rysunkiem dużych oczu. Niektóre z nich mają trzy głowy, inne mają wyrytą na przodzie postaci podobiznę miniaturowego idola, co być może miało być symbolicznym przedstawieniem matki i dziecka. Oczy malowano często farbą pomarańczową, czerwoną i czarną, a dosyć wielkie rozmiary niektórych należy prawdopodobnie tłumaczyć tym, że idole miały być pewnego rodzaju apotropaion, odwracającym urok złych oczu od posiadacza idola, lub też może miały one jakieś znaczenie magiczne.

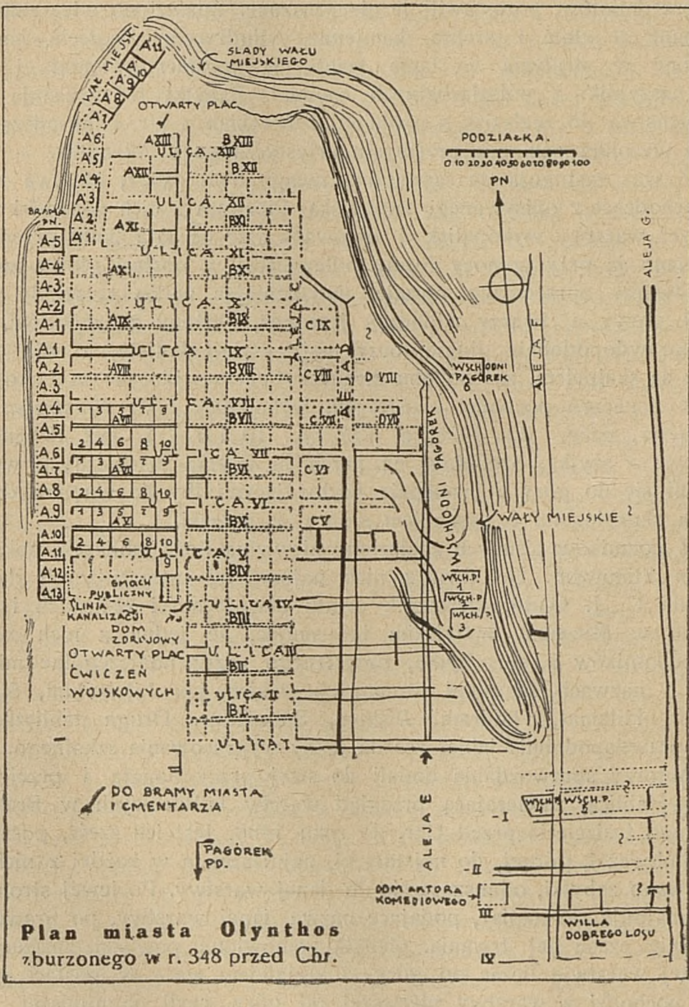
Oprócz powyższego skarbca znaleziono tak w obrębie pałacu jak i zewnątrz niego szereg dalszych zabytków. Większość ich włożona była do glinianych waz i ukryta pod posadzkami domów. Widocznie właściciele ich wyginęli w czasie napadu, a napastnicy, nie znając miejsca ukrytych przedmiotów, pozostawili je nienaruszone. Znaleziono więc zausznice, wykonane ze złota i srebra, kamienne cylindryczne pieczęcie, amulety, rzeźbione w steatycie i lapis lazuli w postaci zwierząt i wreszcie naszyjniki z półszlachetnych kamieni. Zabytki te wykazują wiele podobieństwa do znalezisk z grobów królewskich z Ur i świadczą również o wysokim poziomie przemysłu artystycznego u Akkadów.

Z waz zasługują na szczególną uwagę dwa okazy, obydwa zresztą nie pochodzące z opisywanego znaleziska. Pierwsza z nich pochodzi z najmłodszej warstwy wykopalisk i datowana jest na lata 2500 przed Chr. Wykonano ją przy pomocy formy odlewniczej w postaci głowy męskiej. Rysy twarzy opracowano ręcznie, uwydatniając nadto szczegóły farbą. Wokół głowy i twarzy widoczny jest pas, złożony z trójkątów, brwi są nieprawdopodobnie długie, oczy mają kształt kolisty, a usta obwiedzione są skalpelem, zaś po obu stronach twarzy widoczne są bokobrody. Drugie z naczyń pochodzi z ostatnich wykopalisk (*The Illustrated London News,* paźdz. 22, 1938, s. 735 ryc. 10 i 11) i jest dzbanem libacyjnym z szyjką, ozdobioną na przemian trzema plastycznymi wężami, pnącymi się do góry i następnie pochylającymi łby do wnętrza dzbana, dwoma skorpionami i rysunkiem słońca i gałązki.

Z pomników pisanych znaleziono niewielką ilość tabliczek, pokrytych pismem klinowym. Do dwu z nich najbardziej interesujących dał objaśnienia C. J. Gadd, kierownik działu starożytności egipskich i assyryjskich w Muzeum Brytyjskim informując, że jedna z nich zawiera listę robotników i spis bydła, przysłanego przez poszczególne miejscowości o nazwach skądinąd nieznanych, takich jak Lilabsilum, Sukhna, Kundisi, Hilamat, Habiram, Bishum, Sumuhdur. Druga tabliczka zawiera prawdopodobnie jakieś resztki jakby wypracowania szkolnego.

Autorzy sprawozdania dodali do swej pracy bogatą i przejrzyście ułożoną tablicę, zawierającą przegląd warstw kulturowych w Braku od czwartego tysiąclecia przed Chr. do roku 1400. Jest ich sześć, począwszy od najmłodszej, górnej, do najstarszej, najniższej, a w każdej z nich wyilustrowano zabytki, odnoszące się do danej warstwy. Po lewej stronie tablicy znajdują się napisy, podające nazwę danej warstwy, po prawej zaś określenie czasu jej trwania. Zabytki omówione powyżej znajdują się w piątej warstwie licząc od góry, z wyjątkiem wazy w postaci głowy, która pochodzi z warstwy pierwszej od góry, czyli najmłodszej.

Prace wykopaliskowe w Olynthos rozpoczęto przed dziesięcioma laty w roku 1928. O przebiegu i rezultatach poszczególnych wypraw, których do obecnej chwili było już cztery, informowano szerszy ogół za pomocą sprawozdań w tygodniku *The Illustrated London News* (maj 26, 1928; styczeń 23, 30, 1932; listopad 10, 1934; listopad 5, 1938), koła zaś naukowe przez publikację *Excavations at Olynthos*, z której ukazało się dotychczas dziesięć tomów. Wykopaliska, odbywające się pod protektoratem American School of Classical Studies in Athens, przeprowadził jako kierownik David M. Robinson, profesor archeologii i epigrafiki na Johns Hopkins University w Baltimore przy współudziale profesora E. Mylonasa z Washington University w St.



Plan miasta Olynthos
zburzonego w r. 348 przed Chr.

Louis. Pracowało przeciętnie około 100 robotników, a nad przebiegiem prac czuwał sztab, składający się z piętnastu osób.

Zaraz na początku prac wykopaliskowych niektórzy uczeni powątpiewali w to, czy odkopane miasto jest rzeczywiście starożytnym Olynthos, czy też raczej jakimś miastem z czasów hellenistycznych. Tego rodzaju wątpliwości nasuwały się dlatego, że nie znano dokładnie położenia starożytnego Olynthos, a nadto znaleziska przypominały charakterem zabytki, określane w nauce mianem hellenistycznych. A tymczasem starożytni, zarówno współczesny wypadkom Demosthenes, jak i późniejszy Appianos, zgodnie potwierdzili, że ojciec Alexandra Wielkiego, Philippos makedoński zburzył w roku 348 przed Chr. miasto Olynthos doszczętnie dlatego, że zdawał sobie sprawę, że zniszczenie tego miasta, stojącego na czele związku miast na półwyspie Chalkidike, osłabi Atheny, których wpływ na te tereny był silny, a osłabienie Athen umożliwi mu podbój całej Grecji, co jak wiadomo nastąpiło rzeczywiście w dziesięć lat później po bitwie pod Chaironeią. Wyłoniły się więc pozorne trudności: według pisarzy starożytnych miasto zostało zburzone doszczętnie i już potem nie odbudowane, gdy tymczasem przeprowadzane wykopaliska wskazywały na

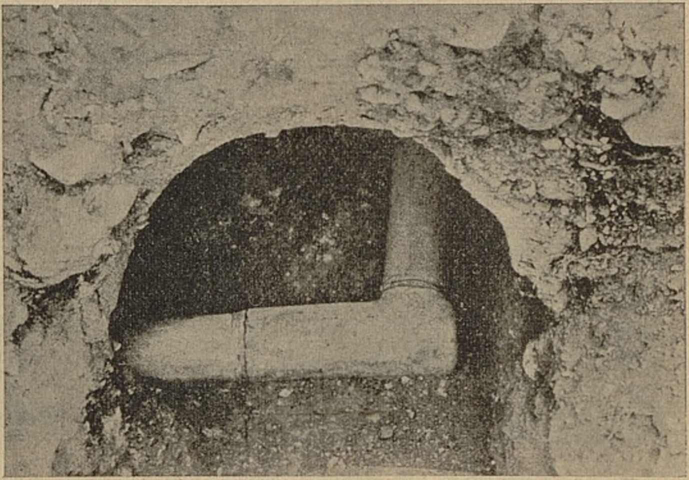


Olynthos. 'Pstry dom'. W głębi po prawej stronie kuchnia z wylewem, obok łazienka, po lewej stronie 'salon' z kwadratowym ogniskiem, poniżej 'salonu' pokój ze studnią.

hellenistyczny charakter miasta, czy to ze względu na rozbudowanie miasta, przypominającego planowością takie miasta hellenistyczne, jak np. Priene, czy też ze względu na charakter zabytków takich, jak mozaiki, brązy i terakoty. Dopiero opracowanie i opublikowanie w dziewiątym tomie publikacji *Olynthos* monet, odnalezionych w tym mieście, pozwoliło ponad wszelkie powątpiewanie stwierdzić, że odkopywane miasto jest z pewnością starożytnym Olynthos i to Olynthos z epoki klasycznej. Co więcej, w czasie ostatnich prac wykopaliskowych znaleziono tu między innymi napis, zawierający umowę z roku 356 między królem Illyrii Grabosem, a miastem Olynthos. Z tego napisu dowiedzieliśmy się, — jak informuje profesor Robinson, — że nieoficjalną nazwą miasta było Olynthos, a oficjalną Chalkidikos.

Wykopaliska w Olynthos mają z dwu względów wielkie znaczenie dla nauki: po pierwsze pozwalają one na zbadanie całego miasta i jego zabytków z epoki klasycznej *in statu naturali*, tj. bez żadnych wpływów późniejszych, bo — jak wiemy — Olynthos po zburzeniu nie został już odbudowany, nadto dzięki przeprowadzonym wykopaliskom i badaniom stwierdzono, że przyjęta przez świat naukowy granica między sztuką klasyczną a hellenistyczną, a mianowicie rok 323, tj. rok śmierci Alexandra Wielkiego, jest granicą sztuczną i nieodpowiadającą rzeczywistości, skoro samo miasto Olynthos jak i jego zabytki wykazują wiele cech, właściwych już sztuce hellenistycznej. Widać więc, że przejście od sztuki klasycznej do hellenistycznej odbywało się stopniowo, a zaczęło się, jak to stwierdza charakter zabytków z Olynthos, już na wiele lat przed rokiem 323 przed Chr.

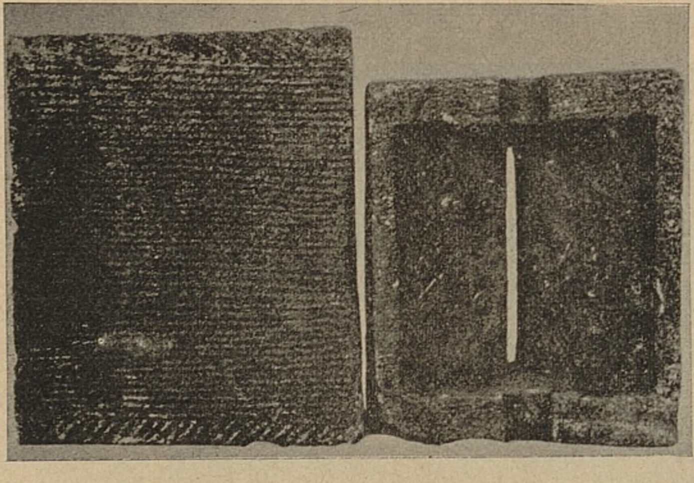
Do chwili obecnej odkopano i odczyszczono w Olynthos około 100 domów, a raczej fundamentów i niższych części ścian domów, ponadto przeprowadzono szereg próbnych przekopów i sondaży, dzięki



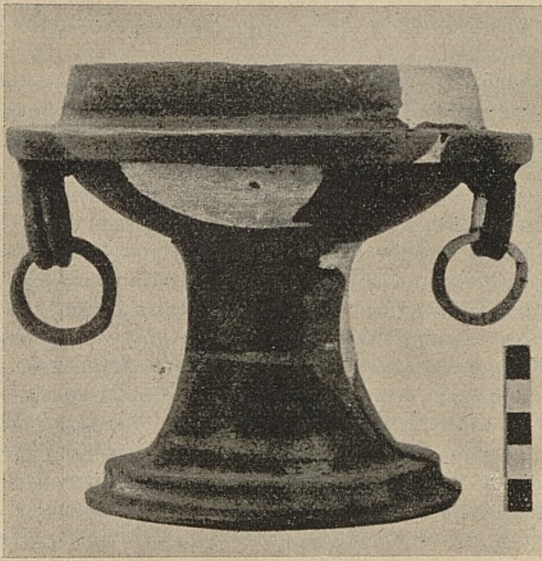
Olynthos. Terrakotowe rury wodociągu i ich połączenie — zupełnie według zasad techniki nowoczesnej (w V w. prz. Chr.).

czemu zdołano ustalić plan miasta, a liczbę jego mieszkańców określono na około 20 tysięcy ludzi.

Olynthos jest jedynym greckim miastem z epoki klasycznej, którego plan znamy w całości. Miasto otaczały od strony południowej i wschodniej wzgórza, od strony zaś północnej i zachodniej, nizinnej, silny mur, którego ślady zresztą stwierdzono i na wzgórzu, otaczającym miasto od strony wschodniej. Do miasta prowadziły dwie bramy, jedna ze strony północnej i druga z południowej. Po przejściu bramy południowej w kierunku miasta znajdował się cmentarz, a poza nim otwarta i niezabudowana przestrzeń znacznych rozmiarów, służąca może do ćwiczeń wojskowych. Za nią w kierunku północnym i wschodnim rozciągało się właściwe miasto, zabudowane jakby wedle z góry wytyczonego planu. Ulice miasta biegną równolegle do siebie w dwu kierunkach, południkowym i równoleżnikowym, a przecinają się ze sobą pod kątem prostym. Ulic o kierunku równoleżnikowym jest trzynaście i oznaczono je na planie liczbami rzymskimi, ulic natomiast o kierunku południkowym jest siedem, a oznaczono je literami alfabetu od *A* do *G*. Ulice *F* i *G* przebiegają już za wzgórzem, otaczającym miasto od wschodu i zapewne należą do młodszej, a zarazem mniej zbadanej części miasta. Czworoboczne przestrzenie, leżące między każdą z dwu par równolegle przebiegających ulic, zabudowane są blokami, składającymi się zazwyczaj z dziesięciu domów. Poszczególne bloki, oznaczono na planie literami alfabetu i liczbami rzymskimi, tak np. bloki domów, leżących między południkowymi ulicami *A* i *B* i ich przecznicami, oznaczono literą *A* i naliczono ich trzynaście, domy między ulicami *B* i *C* oznaczono literą



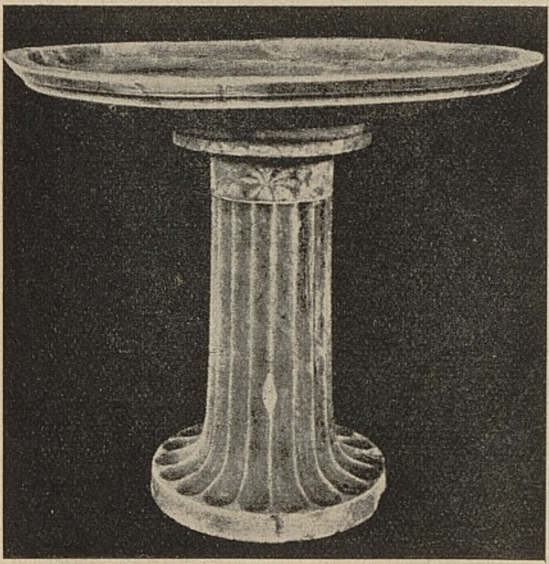
Olynthos. Żarna, składające się z dwóch płyt kamiennych, z których dolna była zaopatrzona w bruzdy, górna zaś, lekko wyżłobiona, przyjmowała zboże; przez szparę w środku przenikało ziarno podczas pracy między kamienie. Poruszano górną płytę zapomocą drewnianego wałka, włożonego nad szparą w specjalne wyżłobienia bocznych brzegów.



Olynthos. Kernos z palonej gliny z uchwytami, z V w. prz. Chr.

B, między ulicami *C* i *D* literą *C* itd. Ponadto jeszcze każdy poszczególny dom w danym bloku otrzymał swoją liczbę porządkową od *I* do *X*. Wreszcie w północnej stronie miasta rozciąga się podobna niezabudowana przestrzeń, jak na południu.

Dotychczas odkopano i odczyszczono w zupełności tylko niewielką ilość bloków, ale i to, czego dokonano, rzuciło wiele światła na naszą znajomość architektury i sztuki starożytnej. W bloku *B VI* odnaleziono



Olynthos. Podstawa marmurowa na owoce z 'Domu pstrego', w. V prz. Chr.

stały tu może jakieś baraki lub arsenał, podobny do tego, jaki niedawno uczeni niemieccy odkopali w Pergamonie. Jeden z całkowicie odkopanych domów przy ulicy *V* składał się z siedemnastu ubikacyj, a znaleziony w nim napis podał nazwisko właściciela, Zoilosa, syna Philokratesa, oraz cenę kupna, mianowicie 1200 drachm. W południowowschodniej stronie miasta odkopano szereg domów znaczniejszych rozmiarów, nazwanych przez uczonych willami. Wśród nich wyróżnia się zwłaszcza dom, leżący między ulicami *I* i *G*, który składa się z dziesięciu pokojów i jest wogóle jednym z najlepiej zachowanych. W północnowschodnim rogu tego domu znajdował się pokój mieszkalny, zwany andron (ἀνδρών); pokój, przylegający do niego od strony zachodniej, ma podłogę zabarwioną na kolor żółty, a ściany jego są wyłożone stiukiem, malowanym biało i czerwono. Dalej mieściła się prawdopodobnie pracownia, jak wskazywałyby na to stosy barwnych kamyczków do robienia mozaik, biała glinka, nagromadzona w większej ilości, rozcieracze do farb i wazy, zawierające jeszcze wewnątrz resztki farby czerwonej i niebieskiej. Na południe od tych pokojów biegł długi kurytarz — *pastas* (παστάς), zakończony portykiem, oraz znajdował się magazyn z resztkami czterech wielkich beczek — *pithoi* (πίθοι), przy czym na niektórych z nich zachowały się jeszcze napisy, podające zapewne cenę zawartości pithosów np. 53 drachmy, 2 obole itp. Magazyn leżał o trzy stopy niżej od poziomu vestibulu. bazę kamiennej kolumny, uzupełnioną cegłą wypaloną, co świadczy o tym, że jeszcze przed rokiem 348 używano w budownictwie takiej cegły. Wykopaliska w bloku *A IV* odsłoniły dwie ściany oraz bazy trzech kolumn, z czego można z wielkim prawdopodobieństwem wnioskować, że



Olynthos. Aplika ścienna z palonej gliny, przedstawiająca głowę kobiecą archaicznego typu. Znaleziono takie tzw.' maski'prawie w każdym domu (V w. prz. Chr.).

Na pozostałe pokoje składały się pokój do wypoczynku w dni upalne z zachowaną do dziś cysterną, fragmentarycznie zachowaną podłogą mozaikową, oraz bazami kolumn, na których osiadły spadłe z pierwszego piętra fragmenty mozaik, następnie kuchnia, łazienka, sypialnia i salą przyjęć — *oikos* (οἶκος). Na zachowanych dolnych częściach andronu widoczne są resztki pomalowania, a mianowicie szeroka listwa u dołu ściany jest w kolorze żółtym, a przerywają ją szerokie pasma, biegnące w regularnych odstępach; ponad listwą biegnie pas koloru niebieskiego, a nad nim fryz palmetowy. Pozostała część ścian jest pomalowana na kolor czerwony. Resztki malowania ścian stwierdzono również w kurytarzu, gdzie nad lamperią w kolorze białym wznosi się ściana, pomalowana na czerwono. Wobec tego mylnym jest pogląd, jaki dotąd utrzymywał się w nauce, a mianowicie że przejście od stylu rytego do reliefowego w malarstwie ściennym miało miejsce dopiero w połowie III wieku przed Chr., skoro wykopaliska w Olynthos wykazują, że stało się to o cały wiek wcześniej. Ponadto znaleziono w tej willi dwa marmurowe ołtarze, z których jeden jest ozdobiony malowidłem, przedstawiającym ptaka, zwanego żołną. Tego rodzaju ołtarze zwano w starożytnej Grecji *merops* (μέροψ), w dzisiejszej zaś *melissophagos*. Cała willa otrzymała nazwę pstrej od wspomnianego już wyżej malowania ścian i od wielu znalezionych tu kawałków stiuku, zabarwionych na kolory biały, żółty, czerwony, niebieski i pomarańczowy.

Podobnie jak właśnie omówiony dom otrzymał nazwę pstrego od znacznej ilości zabytków malowanych, tak inny dom od znalezionych w nim zabytków, sporządzonych z brązu, otrzymał nazwę ‘domu brązów’.



Olynthos. ‘Krasnoludek’ helleński, może komiczny Seilenos (IV wiek przed Chrystusem).

Składa się on z jedenastu pokoi, a w jednym z nich zachowała się mozaika, będąca połączeniem motywu krzyża i koła. Z zabytków brązowych znaleziono tu nakrywę brązową i oblamowanie brzegu tarczy, mającej rozpiętość dwu na pięć stóp. Oblamowanie jest blachą brązową, ozdobioną centkowaną plecionką. Jak pozwalają przypuszczać zachowane resztki tarczy, a mianowicie gwoździe i pierścienie brązowe, a także niewielkie kawałki drzewa, tarcza składała się z ułożonych na krzyż listew drewnianych, obciągniętych skórą, przymocowaną do brzegów tarczy gwoździami z brązu. Niezachowane antaby przymocowane były do tarczy przy pomocy brązowych pierścieni. Podobne tarcze znaleziono ostatnio w Olimpii, na atheńskiej agorze, w Noicattaro, w Italii w pobliżu Tarentu, a także we wspomnianym już arsenale w Pergamonie.

Ogólnie biorąc na znaleziska w Olynthos składają się oprócz monet głównie figurki terakotowe i wazy. Na ogólną liczbę 178 figurek kilka wykazuje jeszcze styl archaiczny, jak np. figurki, przedstawiające maski kobiece i matkę, karmiącą dziecko. Pozostałe wykazują albo cechy sztuki klasycznej, albo — i to znacznie częściej — rysy sztuki hellenistycznej i do złudzenia przypominają wyroby hellenistycznego przemysłu artystycznego. Wysokimi walorami artystycznymi odznacza się jedyna statuetka marmurowa, niestety z odbitą głową, znaleziona w domu B *VI*. Przedstawia ona Asklepiosa w pełnej wdzięku pozie, miękko i swobodnie opartego o laskę z wijącym się po niej wężem. Ciężar ciała spoczywa na prawej nodze, lewa zaś jest lekko podgięta i podciągnięta



Olynthos. Komiczny aktor płaczący (palona glina V w. prz. Chr.).

do tyłu, prawa ręka opiera się na prawym biodrze, a przerzucony niedbale przez lewe ramię płaszcz odsłania prawe ramię oraz torso. Wśród figurek terakotowych częste są przedstawienia Seilena, grającego na flecie, aktorów komicznych itp. typów i postaci, uważanych dotychczas za charakterystyczne dla sztuki hellenistycznej.

Ogółem odnaleziono 598 waz, wśród których znaczną część stanowią wazy rytualne tzw. kernoi, sześć wielkich kraterów ze scenami dionysyjskimi lub bankietowymi, wazy z przedstawieniem Triptolemosa, siejącego zboże i bóstw eleusyńskich z pochodniami, berłami i skrzynkami w rękach. Wśród naczyń użytkowych wyróżnia się *oinochoe*, dzban ozdobiony plastycznie sceną z młodzieńcem, uprowadzającym kobietę. Świadkiem uprowadzenia jest inna, stojąca z boku postać kobieca. Według interpretacji profesora Robinsona scena ta może przedstawiać albo Orestesa, uciekającego przed Furiami do siostry Elektry, albo mamy tu Astyanaxa, uciekającego z matką Andromachą w obecności babki Polyxeny. Druga interpretacja, pominąwszy już to, że Polyxena nie jest babką Astyanaxa lecz siostrą Hektora, jest w ogóle mało prawdopodobna. Piękną jest dekoracja naczynia, zwanego *guttus*, ozdobionego plastycznie sceną z przedstawieniem kobiety, czeszącej włosy.

Wśród zabytków znajduje się też 57 lamp; niektóre z nich są zaopatrzone w tubę centralną, tj. w cylindryczną rurkę, osadzoną na środku otwartego zbiornika lampy w jego wnętrzu, a służącą do zatykania lampy na drążek lub śpiczastą osadkę. Wreszcie wśród zabytków terakotowych należy się wzmianka również ciężarkom tkackim w liczbie 472.

Na zabytki brązowe składają się takie przedmioty, jak miecze, imadła od waz, zasuwy do drzwi, klucze, noże, sita, pierścienie oraz szereg drobniejszych zabytków.

Do zabytków z dziedziny architektury należą kapitele i bazy kolumn, części dachów i pojedyncze dachówki, ołtarze, podstawy terakotowe i marmurowe. Ze sprzętów domowych zasługują na uwagę żarna i wanny.

Miasto posiadało instalacje wodociągowe, dostarczające wody do publicznej fontanny. Resztki urządzeń wodociągowych znaleziono w kilku miejscach przy ulicy *A* i *IX* i na pagórkach w okolicy, zwanej Polygyros. Wodociąg składał się z terakotowych rur, ocementowanych w miejscach połączenia poszczególnych odcinków rur ze sobą i biegnących tunelami, specjalnie w tym celu wykopanymi, a sprowadzał wodę do miasta z sąsiednich gór, położonych w odległości 8 do 10 kilometrów od Olynthos. Wodociąg ten jest w ogóle jednym z najlepiej zachowanych wodociągów greckich z V i IV wieku przed Chr.

Profesor Mylonas przeprowadził nadto próbne wykopaliska w porcie Olynthos, Mekyberna. Jak ze znalezisk wynika, port był zamieszkany również w czasach hellenistycznych. Próbne przekopy, robione na południe od Olynthos w Hagios Mamas na pagórku świętego Jerzego dały resztki jakiejś byzantyńskiej budowli i niewielką ilość innych zabytków, wśród których wyróżnia się filar, pochodzący albo z epoki wczesnochrześcijańskiej albo byzantyńskiej, a ciekawy z tego powodu, że w dolnej części zdobi go refief, przedstawiający w sześciu warstwach, poczynając od góry, kentaura, pegaza, gryfa, słonia, byka i lwa lub panterę.

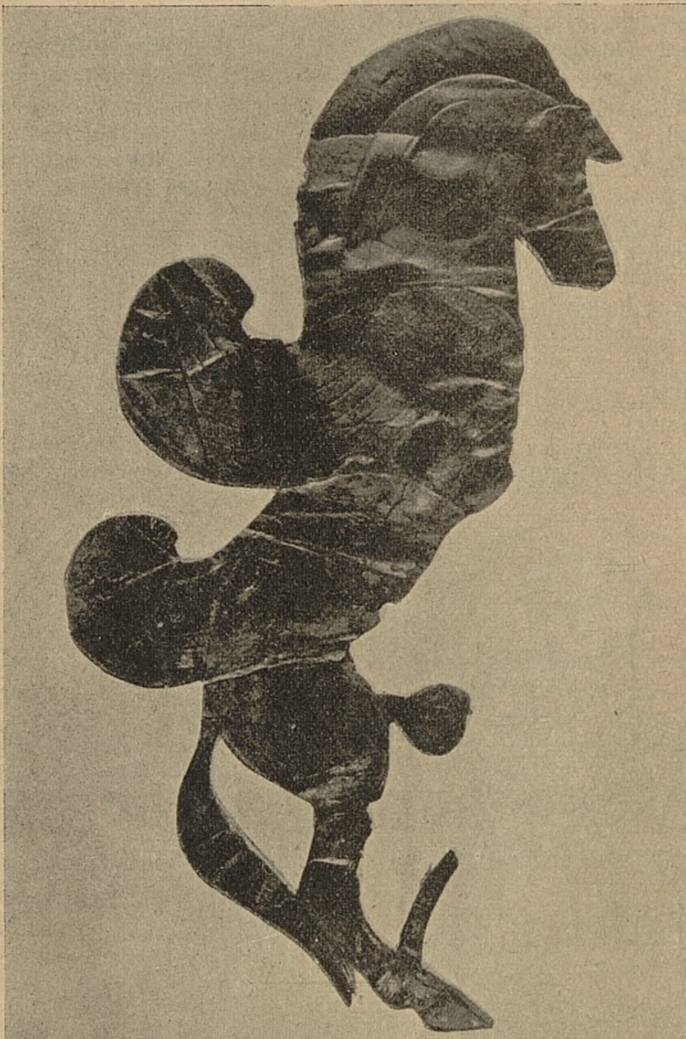
Olympia. Profesor dr Emil Kunze podaje w tygodniku The Illustrated London News (31 grudz. 1938, s. 1231) interesujące sprawozdanie z wyników wykopalisk, przeprowadzanych przez Oddział Niemieckiego Instytutu Archeologicznego w Athenach na terenie starożytnej Olympii. Uczeni niemieccy, jak wiadomo, jeszcze w latach 1876—1881 podjęli pracę na tym terenie, ale niebawem zarzucili ją głównie z powodu grubej warstwy ziemi, naniesionej tu i osadzonej przez wylewy Alpheiosu, a dochodzącej niekiedy, jak np. na miejscu starożytnego stadionu, do masy 75 tysięcy metrów sześciennych. Wskutek tego wydawało się, że ewentualne wyniki przyszłych wykopalisk nie będą proporcjonalne do poniesionych wydatków i trudów. Stan ten trwał aż do lata 1936 r., kiedy kanclerz Rzeszy Adolf Hitler przy sposobności inauguracji Olympiady w Berlinie podał do wiadomości Międzynarodowemu Komitetowi Olympijskiemu, że uczeni niemieccy będą kontynuować zaczęte ongi w Olympii prace. Tak więc ma ujrzeć światło dzienne w swej pierwotnej postaci to miejsce, na którym przed z górą dwoma tysiącami lat stawał do zaszczytnych zawodów kwiat greckiej młodzieży.

Prace wykopaliskowe odbywały się głównie na dwu terenach, tj. na miejscu starożytnego świętego gaju Altis i na olympijskim stadionie. Niektóre z budowli, znajdujących się na terenie starożytnego Altisa, odsłonięto częściowo jeszcze w ubiegłym stuleciu, jak np. krużganek, otaczający Altis od strony południowej, przy czym uważano go wówczas za budowlę pochodzącą z epoki hellenistycznej. Obecnie odkopano go w zupełności i okazało się, że pochodzi on z IV w. przed Chr. i jest ogromnie interesujący dla historii architektury zarówno z powodu swego planu, jak i ze względu na imponujące rozmiary. Jest to olbrzymia bu-



Olympia. Brąz trybowany, przedstawiający sfinksa (połowa VI wieku przed Chrystusem).

dowla w stylu doryckim, rozmiarami ustępująca jedynie świątyni Zeusa Olympijskiego. Długi rząd doryckich kolumn krużganka przerywał przedsionek, umieszczony na środku jego długości i wysunięty trochę w stronę południową, wnętrze zaś krużganka podzielone było na nawy dwoma rzędami korynckich kolumn. Przy odkopywaniu tej budowli, podobnie zresztą jak i innych, starano się pozostawić wszelkie odnalezione zabytki architektury in statu, a to w tym celu, by łatwiej można było z czasem odkopane rekonstruować.



Olympia. Skrzydlaty rumak (Pegasos ?) w płaskorzeźbie na blasze brązowej, jako ozdoba przytwierdzona do tarczy gwoździami (koniec VI wieku prz. Chr.).

Oprócz fragmentów architektonicznych znaleziono tu dwa ciekawe napisy: jeden, znajdujący się na tabliczce brązowej, zdobiącej ongiś bazę statui, jest epigramem na cześć Pheriasa z Aiginy, wspomnianego przez Pausaniasa zwycięzcy w zapasach chłopięcych w r. 464 przed Chr., drugi z napisów, umieszczony na brązowym nożu z IV w. przed Chr., zawiera dedykację dla Pana. Jest to pierwsze, znalezione w Olympii votum, ofiarowane Panowi, a przecież skądinąd wiadomo, że Pan miał tu w Prytaneion swój ołtarz, na którym corocznie składano mu ofiary. Przy przekopywaniu krużganku Echa, który otacza Altis od strony wschodniej, oddzielając go zarazem od stadionu, znaleziono na znacznej głębokości w pokładzie ziemi, którą zsypano tu jeszcze przed zbudowaniem samego krużganka, brązy wotywne takie, jak grzbiet tarczy, kilka hełmów korynckich i wspaniałą głowę lwa. W dalszych pracach wykopaliskowych, prowadzonych na terenie Altis, uczeni niemieccy mają zamiar odkopać przede wszystkim świątynię Zeusa w celu dokładniejszego zbadania jej historii, a także gruntowniej przekopać i zbadać poprzednio już przez Dörpfelda odkryte osiedle przedhistoryczne, pochodzące z drugiego tysiąclecia przed Chr. Zapewne wyniki tych prac rzucą wiele światła na początki kultów olympijskich.

Drugim, ważnym obiektem prac wykopaliskowych, był s t a d i o n olympijski. Jak już wspomniano, jeszcze w XIX w. odkopano go częściowo, przy czym odkryto wejście do niego i miejsce startu, zaznaczone na bieżni odpowiednio wyżłobioną taflą marmurową. W czasie obecnych wykopalisk odsłonięto również miejsce finiszu, zaznaczone analogiczną taflą, co pozwoliło na stwierdzenie długości starożytnej bieżni. — Wiadomo ze źródeł literackich, że stadion olympijski nie posiadał nigdy widowni, składającej się z kamiennych stopni, jak to miało miejsce, przynajmniej w epoce hellenistycznej, najpierw w teatrach, a za ich wzorem także i w stadionach greckich, lecz zaopatrzony był w nasypy ziemne, na których publiczność stojąc lub siedząc przypatrywała się zawodom. Na tym właśnie polega archaiczna prostota stadionu olympijskiego. Usypanie nasypu w stronie północnej było rzeczą łatwą z powodu znajdującego się tam naturalnego wzniesienia gruntu, natomiast na południu musiano go tworzyć sztucznie przez nawiezienie na to miejsce odpowiedniej ilości ziemi. Przed zaczęciem prac wykopaliskowych należało tu najpierw porobić odpowiednie przekopy w celu stwierdzenia ilości nawarstwień w stadionie i ewentualnego wysnucia z nich odpowiednich wniosków co do historii stadionu. W tym celu przecięto stadion w poprzek szerokim i głębokim rowem, sięgającym aż do dziewiczego gruntu. W ścianie tego przekopu wyróżniono pięć nawarstwień, które odpowiadają tyluż okresom rozwojowym stadionu. Każdą z poszczególnych warstw, poczynając od najniższej, a więc najstarszej, do najwyższej i zarazem najmłodszej oddziela od następnej cienka warstwa urodzajnej ziemi. Najstarszą z wyróżnionych warstw, archaiczną, datuje się na wiek VI przed Chr. W tym czasie stadion posiadał niskie, lecz regularnie biegnące nasypy tylko od strony północnej i południowej. Pozostałe boki stadionu otrzymały podobne nasypy dopiero po zbudowaniu świątyni Zeusa Olympijskiego w r. 460 przed Chr. W ogóle dopiero w tym czasie stadion

otrzymał ten zarys, jaki stał się wzorem dla stadionów późniejszych. Około połowy IV w. nasypy uległy znacznemu podwyższeniu.

Urządzenie stadionu były bardzo proste: oprócz wymienionych już wyżej płyt dla startu i finiszu należały do nich rury, doprowadzające świeżą wodę do stadionu oraz rząd kamiennych bloków, oddzielających nasypy od bieżni. Nadto stadion posiadał w jednym rogu rów w celu odprowadzenia wody ze stadionu do niziny Alpheiosu. W takim stanie pozostał stadion aż do czasów rzymskich, kiedy to jeszcze dwa razy go nieznacznie przebudowano i odnawiano, starając się odsunąć od niego powolny, lecz stały upadek. Stadion był w użyciu aż do IV wieku po Chr. Ostatnim, znalezionym w nim przedmiotem jest moneta z czasów cesarza Honoriusa.

Na znalezione przy odkopywaniu stadionu zabytki, oprócz wyżej wspomnianych, składają się — pomijając też fragmenty naczyń, umożliwiające datowanie poszczególnych warstw — głównie i przede wszystkim brązy archaiczne, wśród których dadzą się wyróżnić dwie grupy. Pierwsza grupa zabytków pozostaje w bezpośrednim związku ze stadionem. Tak na powierzchni archaicznego nasypu, otaczającego stadion od strony południowej, znaleziono wielką ilość okrągłych, brązowych tarcz. Napisy, znajdujące się na nich, wskazują, że są to vota, złożone tu niegdyś z powodu odniesionego zwycięstwa. Tarcze te, jak można wnioskować z otworów, widocznych jeszcze tu i ówdzie na powierzchni archaicznej warstwy nasypu, wisiały zawieszone wokół stadionu na drewnianych słupach. Gdy w wieku V przed Chr. poddano stadion przeróbce po usunięciu słupów, nie zważając na wiek tarcz i ich przeznaczenie, zrzucono je na nasyp i przysypano warstwą ziemi, użytą do podwyższenia nasypów. Na północnym nasypie, gdzie niewielkiego trzeba było podwyższenia z powodu naturalnego wzniesienia gruntu, a tym samym narzucona w niewielkiej ilości ziemia nie przykryłaby tarcz, wykopano na nie specjalne doły i tam je wrzucono. Taki dół — *bothros* — znaleziony w północnej części wspomnianego przekopu, zawierał, pominąwszy inne przedmioty, cztery tarcze, ornament z tarczy i nagolenice. Ponadto zarówno na nasypach jak i na bieżni odnajduje się sporadycznie różne części zbroi. Druga grupa zabytków brązowych nie ma prawdopodobnie nic wspólnego ze samym stadionem, a znalazły się one tu zapewne przypadkowo, przyniesione wraz z ziemią użytą do przebudowy stadionu. W. LEPIKÓWNA

SPRAWOZDANIE Z KONFERENCJI REJONOWEJ W WILNIE

W dniach 18 i 19 listopada 1938 r. odbyła się w Wilnie w Gimnazjum im. A. Mickiewicza konferencja rejonowa filologów klasycznych, w której wzięło udział około 60 filologów. Władze szkolne reprezentował p. wizytator Balicki. Hasłem tej konferencji było podkreślenie ważności wyników nauczania. Na program konferencji złożyły się dwie lekcje przykładowe samego kierownika ogniska metodycznego p. St. Wyganowskiego, w kl. I liceum humanistyczno-klasycznego na temat: *Zwykły tok lekcyjny* i w kl. III gimn. na temat *Słówka i gramatyka na lekcji*. Lekcje zostały przeprowadzone pod każdym względem świetnie, tak że naprawdę wiele z nich można się było nauczyć. Wyraz uznaniu dali nie

tylko uczestnicy konferencji, ale również i władze szkolne. Jedno, co mogłoby nasunąć pewne wątpliwości w związku z tymi lekcjami, to kwestia wyczerpania materiału programowego, zwłaszcza w klasach niższych, na co też zwrócono ubocznie uwagę w czasie dyskusji. Ponadto wygłoszono kilka referatów na tematy najściślej związane z zagadnieniami filologii klasycznej i jej nauczania w szkole.

W czasie dyskusji nad przeprowadzonymi lekcjami poruszono szereg spraw aktualnych i piekących. P. Wyganowski podkreślił między innymi hasło konferencji — wzmożenie nastawienia na wyniki, co przejawia się głównie w znajomości słówek, a z gramatyki głównie morfologii. Ponieważ obecnie w szkole materiał jest zbyt wielki w stosunku do ilości godzin, przeto praca musi iść w zawrotnym tempie, by wszystko dało się przerobić. Przy odpytywaniu słówek należy stosować z reguły tłumaczenie z łaciny na polskie. Analizując zaś tekst dobrze jest stosować rozbiór układowy, czyli według sensu zdania, podając zaś tytuł przerobionej lekcji (głównie w klasach niższych), trzeba w nim podkreślić nowość gramatyczną, po raz pierwszy występującą. Wypisywać słówka należy do połowy kl. III. Dokładnie trzeba podkreślać moment zadawania. Przy czytaniu autorów w liceum najlepsza jest metoda kombinowana, czyli czytanie autorów po kolei, dlatego, że uczniowie obcując przez dłuższy czas z jednym autorem, lepiej go sobie przyswajają. Również i w liceum trzeba ćwiczyć gramatykę i egzekwować słówka, co zresztą jest w pełnej zgodzie z programem, który stawia na pierwszym planie zrozumienie tekstu, a dopiero na drugim miejscu wiadomości z kultury. Należy przyzwyczajać uczniów do pracy pod kierunkiem. Zaprawianie naukowe jest to niejako praca laboratoryjna pod kierunkiem na nieznanym autorze.

Te sprawy poruszane w dyskusji nad przeprowadzonymi lekcjami omówił p. Wyganowski dokładniej w osobnym referacie pt. *Technika nauczania słówek*, z którego podajemy najważniejsze myśli:

Jeśli chodzi o tzw. 'słówka', to często niektórzy filologowie mają wrażenie, że ten dział wprowadza zamieszanie w całość lekcji, procedura zaś odpytywania słówek, zwłaszcza w klasach wyższych, trąci nienaturalnością. Według nich wszędzie powinna przodować metoda. Lecz pokazało się, że dzisiaj doskonałość metody zawiodła, albowiem i dawne metody dawały dobre wyniki. Aby zrozumieć tekst, a tym samym zdobyć wiadomości z kultury trzeba posiadać pewien zasób słówek, częstokroć ważniejszy niż nawet znajomość niektórych działów gramatyki. Przy poznawaniu słówek pracuje i nauczyciel i uczeń. Roztrząsając zagadnienie jak i jakich słówek uczy się młodzież, prelegent rozpatruje ugrupowanie słówek u poszczególnych autorów podręczników łacińskich. Autorowie podręczników wychodzą przeważnie od słówek oznaczających sprawy najbliżej obchodzące ucznia czyli z otoczenia ucznia. Dopiero z czasem przychodzą słówka więcej — że się tak wyrazimy — obojętne, z szerszego zakresu: a więc z życia państwowego, publicznego. Nauczyciel powinien wszelkimi siłami i sposobami dążyć do wzbudzenia zainteresowania przy nauczaniu słówek, w czym mu z wybitną pomocą przychodzą porównania z innymi przedmiotami, zapożyczenia itp. Przy odpytywaniu słówek wychodzić należy od całego zdania, nie zaś od pojedyńczych wyrazów.

Nie można zadawać słówek z nieprzerobionego materiału, gdyż to mija się z celem i nie jest umotywowane psychologicznie. Słówka z lekcji na lekcję powinny być zapisywane w osobnym słowniczku; należy je zapisywać po przetłumaczeniu całego ustępu zamierzonej lekcji, a ta czynność wcale nie przeszkadza nauce. Wśród nieznanych słówek nowej lekcji, o które nauczyciel pyta, często znajdzie się nieznany wyraz bardzo prosty, wielokrotnie już powtarzany. Pogląd prelegenta, że należy na tablicy wypisywać wszystkie słówka i zwroty do połowy kl. III, nie wydaje mi się słuszny; gotowe preparacje do wypisów posłużą uczniowi do przepisania, brakujące zaś słówka uzupełni z ogólnego słowniczka, a wszystkich się wyuczy. Wypisywanie na tablicy słówek pochłania nieoceniony czas, którego tak mało posiadamy. Można zwroty wypisać. Dalej prelegent zaznacza, że egzekwować należy słówka na początku lekcji szybko i stanowczo bez zahaczania o kulturę, wychodząc głównie od łaciny, w związku z panującą obecnie metodą łacińsko-polską. Jeżeli chodzi o podstawowy zapas słówek, to ta sprawa wymaga jeszcze szerszej dyskusji. Powtarzanie zasobu nabytych słówek należy odbywać drogą systematycznego, ciągłego, wprost uporczywego powtarzania. Oprzeć powtarzanie słówek na czytaniu tekstów można wtedy tylko, gdy się posiada silną klasę i więcej godzin łaciny. Przeglądając słowniczki ze słówkami nieraz trzeba ucznia zachęcić i pochwalić, nieraz zaś zganić itp., ponieważ ma to bardzo wielki wpływ na dalszy bieg rzeczy.

W zakończeniu p. Wyganowski wysunął kilka tez, co do których można mieć pewne zastrzeżenia, jakto zresztą dyskusja nad referatem wykazała:

1. W wynikach nauczania słówka odgrywają rolę decydującą.
2. Uczeń dochodzi do zrozumienia słówek na podstawie kontekstu.
3. Notowanie słówek i zwrotów następuje po przerobieniu lekcji; pisze je sam nauczyciel na tablicy w klasach niższych a nawet i wyższych.
4. Pytać słówek należy szybko i ostro.
5. Utrwalanie słówek odbywa się przez czytanie znanych tekstów i przez słowniczki znaczeniowe.

Nadmienić należy, że w najbliższym czasie ma wyjść osobny poradnik dla filologów.

Bardzo ciekawy był referat p. H. Łukaszewskiego pt. *Z doświadczeń nauczyciela łaciny w liceum.* W referacie swoim podkreślił prelegent przede wszystkim fakt, że w liceum uwaga jest zwrócona głównie na nauczanie, prawie odwrotnie jak to jest w gimnazjum, gdzie stosuje się wychowanie przez nauczanie. Liceum jest właściwie przygotowaniem do studiów naukowych, a z tym łączy się sprawa selekcji uczniów. Ten problem powinien być rozstrzygnięty jak najprędzej przez społeczeństwo. Przerabiany w liceum materiał powinien być żywy i interesujący, o nastawieniu przeważnie państwowym. W liceum można stosować różne metody. Organizacja pracy nauczyciela powinna się opierać na zasadach elastyczności, co zresztą w programie licealnym jest stosowane. Należy dalej stosować zasadę samodzielnej pracy ucznia, chociaż niekiedy nauczyciel może się posługiwać formą wykładu. Jeżeli uczniowie wykazują braki, a nie ma czasu na powtarzanie materiału z klas niższych, to należy

udzielić uczniom odpowiednich wskazówek; jeżeli jednak większość uczniów ma poważne braki z poprzednio przerabianego materiału, należy zatrzymać się i braki wyrównać. Należy być ostrożnym w obarczaniu ucznia wypracowaniami, jak również i źródłami w różnych kwestiach, gdyż wdrażanie ucznia w materiał naukowy powinno być powolne, a odbywać się pod kierunkiem nauczyciela. Kładziemy nacisk na dokładne opracowanie przez ucznia przerobionego materiału: opanowanie słownictwa i gramatyki. Prelegent wypowiedział się przeciw mieszance czytania, czyli równoczesnemu czytaniu obu przypisanych autorów. Również wypowiedział się autor przeciw przykładom militaryzmu w tekstach łacińskich (sprawa P. W.), natomiast proponuje w imię celów wyższych przykłady z kultury duchowej. Militaryzmu jest dość u naszej młodzieży, jak to wypadki polityczne stwierdzają. Należy tę sprawę zostawić innym przedmiotom, zwłaszcza czynnikom wojskowym. W resumé swego referatu wysunął prelegent kilka spraw najbardziej aktualnych związanych z liceum, a mianowicie: ścisły dobór kandydatów do liceum, ujednostajnienie wyboru autora i kolejności czytania, zamianę Liviusa na filozoficzne dzieła Cicerona i inne.

W wyniku dyskusji nad wymienionym referatem, co do którego nie obeszło się bez pewnych zastrzeżeń (np. w sprawie P. W. nie chodzi w łacinie o sposoby techniczne prowadzenia walki itp., a o przykłady na *virtus et disciplina Romana),* wysunięto następujące tezy:

1. Najwłaściwszą formą pracy w liceum byłaby nauka pod kierunkiem różnie pomyślana i przeprowadzana.

2. Przy każdym liceum powinna być biblioteczka filologiczna założona z funduszów dyrekcji, w której m. i. powinno się znaleźć kilka kompletów wydawnictwa F i l o m a t y.

3. W szkole powinien być komplet słowników chociażby najprostszych (uczniowie nie powinni nosić słowników do szkoły, ale mieć je w domu).

4. Dla każdego nauczyciela powinien być w bibliotece szkolnej P r z e g l ą d K l a s y c z n y i E o s.

5. Ilość przerobionego materiału powinna wynosić ok. 600 wierszy z prozy lub ok. 400 wierszy z poezji.

6. Przez cały czas liceum mocno akcentować słówka i gramatykę, które należy otoczyć specjalną opieką, większą nawet niż kulturę,

7. Korelacja z innymi przedmiotami.

Nadzwyczaj rzeczowy i bardzo gruntownie opracowany był referat p. St. Oświęcimskiego na temat *Omówienie najnowszych podręczników do nauki gramatyki.* Prelegent poddał dokładnej analizie podręczniki gramatyki Samolewicza, Auerbacha-Dąbrowskiego i Sinki. U Samolewicza jest jaśniej przedstawiona sprawa morfologii, natomiast u Auerbacha-Dąbrowskiego jest szersze ujęcie i szerszy pogląd naukowy; gramatyka Sinki do szkoły się nie nadaje; jest za trudna i brak w niej powiązania materiału. Może służyć ewentualnie jako podręcznik dla starszych klas, gdzie elementy są już opanowane. Ostatecznie pozostaje do użytku w szkołach Auerbach-Dąbrowski. Równocześnie podał prelegent szereg własnych zapatrywań i poglądów na układ gramatyki.

W dyskusji ustalono, że można używać w szkole i gramatyki Sinki, lecz znacznie lepszą jest gramatyka Auerbacha-Dąbrowskiego.

Nie mniej interesującym był referat p. Rudolfa Nowowiejskiego pt. *Korespondencja międzynarodowa młodzieży w języku łacińskim* i *Pieśni legionowe po łacinie.* Prelegent zaznajomił zebranych z faktem korespondencji międzynarodowej łacińskiej uczniów, która rozpoczęła się w Polsce w r. 1933. Korzyści z niej płyną następujące: 1. rozszerzenie i pogłębienie wiadomości z języka łacińskiego, 2. poznanie obcego środowiska, 3. rozszerzenie horyzontu myślowego młodzieży, 4. wzajemne porozumienie młodzieży różnych krajów, a tym samym i propaganda znajomości Polski u obcych. Prelegent omówił dokładnie techniczną stronę prowadzenia takiej korespondencji i zaznaczył, że należy ją zaczynać od kl. II i prowadzić przynajmniej przez 3 lata.

Następnie prelegent wygłosił krótki referat o pieśniach legionowych tłumaczonych przez niego samego na łacinę oraz odczytał a zarazem odśpiewał kilka tych pieśni w języku łacińskim. Trzeba równocześnie zaznaczyć, że p. Nowowiejski opisał przebieg całego zjazdu heksametrycznym wierszem łacińskim, który wobec wszystkich zebranych odczytał.

Oprócz wymienionych referatów wygłosił specjalny wykład naukowy profesor Uniwersytetu Wileńskiego Stefan Srebrny pt. *Ze studiów nad Aischylosem,* w którym omówił dokładnie niektóre tragedie tego dramaturga, zwłaszcza tragedię *Siedmiu przeciw Tebom.*

Do zreferowania na przyszły zjazd rozdzielono następujące zagadnienia:

1. Sprawa specjalnego słowniczka z grupami słówek, sposoby jego prowadzenia i obserwacje.
2. Jak uczyć i utrwalać wiadomości z zakresu morfologii.
3. Nauczanie kultury na podstawie podręczników (różnych autorów) kl. II i III.
4. Przygotowanie do obrony kraju w zakresie łaciny (Przysposobienie Wojskowe — P. W.).

Zjazd zakończył prof. Wyganowski serdecznym podziękowaniem pod adresem przedstawicieli władz, dyrekcji zakładu, prelegentów i wszystkich uczestników konferencji. W przemówieniu swym podkreślił brak sympatii dla łaciny wśród młodzieży.

Winę tego m. i. ponoszą i sami filologowie, którzy dotychczas nie zdołali zainteresować młodzieży swym przedmiotem. Nie należy jednak tej niechęci uważać za signum temporis: przewaga liceów humanistycznych świadczy o zrozumieniu roli łaciny wśród społeczeństwa. Rzeczą nauczycieli jest serdeczny stosunek do nauczanego przedmiotu i młodzieży.

NIKITA DUMKA

KONSTANTY CHYLIŃSKI

Dnia 6 lutego 1939 umarł we Lwowie prof. historii starożytnej K. Chyliński. Urodził się 14 paźdź. 1881 w Żmerynce na Podolu. Po ukończeniu gimn. w Petersburgu (1899 r.) wstąpił na Wydział hist.-filol. uniwersytetu; na podstawie pracy pt. *Dzieje królestwa Pergamskiego* uzyskał w r. 1903 dyplom I stopnia i złoty medal. Odtąd pełnił funkcje docenta w Wyższej Szkole Sztuki Stosowanej i W. Kursów Żeńskich. W r. 1908 habilitował się z historii starożytnej i uzyskał stypendium na dwuletni pobyt we Włoszech i Grecji. W r. 1919 przeniósł się do Polski i wykładał w Lublinie, od r. 1922 we Lwowie.

Przegląd Klasyczny wychodzi jako miesięcznik (rocznie 10 zeszytów) i obejmuje metodologię i dydaktykę filologii klasycznej, przegląd badań, bibliografie z przeglądem czasopism krajowych i zagranicznych, kronikę ważniejszych wydarzeń w świecie filologicznym.

Prenumerata roczna wynosi w księgarniach 20 zł. Cena pojedyńczego zeszytu w księgarniach 2·50 zł. Abonenci Filomaty korzystają z prenumeraty ulgowej. Prenumeratę uprasza się przesyłać czekiem PKO na konto „Filareta" 500.143. lub na konto rozrachunkowe Lwów nr. 39 „Przegląd Klasyczny"

Redaguje Komitet Redakcyjny: prof. Ryszard Ganszyniec, Lwów (filologia klasyczna), prof. Jan Safarewicz, Kraków (językoznawstwo), prof. Zdzisław Zmigryder-Konopka, Warszawa (historia starożytna).

Redaktor odpowiedzialny: Ryszard Ganszyniec, Lwów. Uniwersytet.

Administracja: Lwów, Uniwersytet.

Drukarnia Naukowa, Lwów, Ormiańska 8. — Tel. 253—10